

Joe Alex

Czarne okręty

Sam bądź księciem

ROZDZIAŁ PIERWSZY

p^ubisz ofiarę, którą odrzuć

Sternik Enkiklewes który żywot cały ^d na

, " , postarzał się wielce podczas owej zimy

morzu wychudł l r ' . r ,1

J • A • ,ł nagle, a oczy jego nabrały blasku, gdy

w osadzie, odżył ,6 . ••' J & . - • i ., . -

l -\ A.^^elosa na jezioro po spłynięciu lodów.

wyprowadził An^ . ' . .r l_7 l

Okręt także H0161'?1^ owe.! ^Y- Dn0 przeciekało

i Terteus wraz ^ dwoma najbardziej doświadczonymi

żeglarzami uszcz^"131 ^ P"^ dwa dni- nim orzekł' że ^

gotowi do odpłyn"3. , .

A ri h ilfl c^ nadeszła ł zanurzyli wiosła w wodę,

• \, wełniła radość, lecz pomieszana ze smut-

serca ich przepell. , , , , , . ' . . , .

kiem bowiem ^lele dni SPfidzł w ^^ osadzie na

palach, a oto zeg"311 nslzawsze ów widokł d0 którego

zdażyli przywykli^'.1 ludzł? których poczciwość poznali,

mieszkając pośró'1 nlch-

Gdy dziób ski^0^ słę ku rzece' pożegnali tez ostat-

nim spojrzeniem i uniesieniem rąk wysoki kopiec na

brzegu jeziora, ^zie w Imiennym grobie spoczywali

leżąc obok siebieich czter^ towarzysze, którzy już nigdy

nie zasiądą z nil" P^Y wlosłach i nie połączą głosów

swych z ich głosal111 w P168111 P^ wieczornym ognisku na

nie znanych jeszczG brzegach, ku którym zmierzali.

Następnego dl^ osiągnęli skraj puszczy i zanurzyli się

w krainę trzęsawisk, spędziwszy uprzednio noc w sasied-

niej, niewielkiej osadzie. Towarzyszył im w dalszej dro-

dze młody Me-sen z czterema wojownikami, znającymi

dobrze całą ową krainę, a wraz z nimi człowiek z owej

drugiej osady. Dużą wydrażoną z jednego pnia łódź,

którą mieli powrócić, przeprowadziwszy Angelosa przez

wodne bezdroża, uczepiono na sznurze za okrętem.

Wkrótce po odbiciu od brzegu Terteus pojał, że gdyby nie

oni, okręt wraz z załogą zgubiony byłby bez ratunku

wśród krzyżujących się, wezbranych, okrażających niezli-

czone wysepki nurtów.

Drugiego dnia w południe zanurzyli się w gęstą, ciemną

mgłę. Nabrzmiałe wiosennym przyborem wody rzeki

płynęły szeroko rozlane i powolne, wiatr ustał, a mroczne

opary otoczyły Angelosa tak ciasno, że wioślarze zaled-

wie dostrzegali końce wiosel. Stojąc pośrodku okrętu nie

można było dojrzeć jego dziobu. Angelos posuwał się

powoli, przedzierając przez niewidzialną, szumiącą leni-

wie wodną równinę, a stery przejęli z rąk Eriklewesa

mieszkańcy osady. Oni też wypatrywali przeszkód stojąc

na dziobie, choć gdy mgła rozwiewała się chwilami,

dostrzec można było jedynie płaski, niski krajobraz wod-

ny, zarośnięty aż po widnokrąg trzcina i ogołoconymi

z liści niskimi krzewami.

Spoza skłębionego obłoku białej mgły docierały przy-

tłumione, blade promienie słońca, a cisza była wielka,

gdyż nie słyszeli nawet krzyku ptaków wodnych, które

może unikały tej posępnej krainy, a być może, wygnane\

zimą do cieplejszych okolic, nie powróciły tu jeszcze. Po trzech dniach mgła ustąpiła, lecz nadal płynęli przez okolicę wielu grząskich jezior i stłumieni biegnących wśród nieskończonego, szumiącego morza trzcin. Otaczały one rzekę, tworząc wodny świat, aż po granicę widnokrzęgu pokryty błyskającymi szaro zwierciadłami nieruchomych wód, zielonkawych bagien i podmokłych wysep, nad którymi stał ciężki opar bagienny nie rozwiewający się nigdy.

Pośród tego rzeka parła z wolna, zalewając szerokie, bagniste mielizny, tocząc mętne, muliste wody głównym, krętym korytem i niknąc w oddaleniu, gdzie oko nie napotykało żadnego drzewa ni wzgórza.

Gdzieś leżał jeszcze na płatkach topniejącego lodu śnieg, a choć zima ustąpiła już, chłód był nocami przejmujący i wioślarze szczękali zębami, dziękując bogom za to, że przezornie wzięli z sobą futra i skóry zwierzęce, które tak dobrze służyły im dotąd podczas minionych mroźnych miesięcy.

Więc choć Me-sen i pozostali wojownicy z osady na palach zachowywali spokój, jak gdyby nie dostrzegając grozy wiszącej nad widnokrzem, niejednen z Kreteńczyków wpatrywał się w mijany krajobraz nasłuchując, czy nie usłyszy z dala łoskotu wód wpadających do ostatecznej otchłani, za którą nie mogło być nic, prócz śmierci. Przez cztery dni i noce stopa żadnego z nich nie tknęła ziemi, a jednak na piąty dzień w południe, gdy słońce przebiło się przez rozsnuty nad morzem trzcin szary opar, dostrzegli niską, rozległą wyspę, a być może wysunięty przylądek przytykający do rzeki, na którym ukazały się drzewa, pozbawione jeszcze liści i szare jak cały otaczający świat, a jednak drzewa, wysokie i górujące nad płaskim krajobrazem.

Gdy zbliżyli się wiosłując z wolna i kierując dziób okrętu ku owemu lądowi, ujrzeli wielką, szeroko rozrzuconą wieś, a nad dachami jej wysokie błękitne smugi dymu, które, łagodny wiatr pochylał ku północy, rozwiewając je i mieszając z pasmami mgły osłaniającej wnętrze lądu.

Zatrzymali się w pewnej odległości od brzegu, a Me-sen wraz ze swymi współplemieńcami popłynął ku brzegowi wydrażoną łodzią.

Stojąc na podwyższeniu dziobu ksiązę i Terteus patrzyli na szeroko rozrzucone niskie domy, z których wysypywali się ludzie i biegli ku granicy wód, by spojrzeć na zdumiewający, ogromny okręt, jakiego zapewne nikt tu nie widział i nie miał nigdy ujrzeć. Z dala mogli dostrzec, że część mieszkańców była uzbrojona, lecz druga część, przeważająca, stanowiły kobiety i dzieci. Najwyraźniej nie obawiano się tu obcych najeźdźców. Zresztą wieś nie była nawet otoczona ogrodzeniem lub wałem ziemnym, co także zdawałoby się o tym świadczyć. Niezmierzone bagna i rozlane naokół wody krętych rzek i strumieni stanowiły twierdzą, przez której labirynt żaden wróg nie zdołałby się przedostać bez pomocy urodzonego tu przewodnika, który cały swój żywot spędził przemierzając te okolice. A były to bagna ogromne, wielkie niemal jak stepy, przez które płynęli jesienią po wielkiej rzece. Łódź dobiła do brzegu. Wokół schodzącego na ląd Me-sena i jego towarzyszy zgromadził się tłum i przesłonił ich postacie ludzi patrzącym z okrętu.

Lecz najwyraźniej całą tę krainę zamieszkiwał jeden lud, a sąsiadujące osady nie pozostawały z sobą w wojnie i nienawiści, gdyż rozmowa na brzegu przebiegała spokojnie, jak gdyby mieszkańcy wsi znali przybyszów. W pewnej chwili tłum rozstał się nieco i Terteus dostrzegł Me-sena ukazującego okręt wysokiemu siwemu człowiekowi, wspartemu na długiej wyrastającej mu nad głową lasce. Starzec ów stał nieruchomo, a otaczający tłum trzymał się w pewnym oddaleniu od niego, jak gdyby przez uszanowanie.

- Zapewne jest to ich wódz lub kapłan... - rzekł Terteus do księcia. - Choć można by sądzić, że nie mają oni kapłanów, a naczelnicy wioski sami rozmawiają z bogami i składają ofiary, co wydaje mi się słuszne, gdyż ojciec mój także składa je w imieniu całego ludu.

- I moi przodkowie przynieśli na Kretę godność królewską połączoną ze składaniem ofiar... - Widwojofrpatrzył na brzeg, na którym Me-sen mówił wskazując ręką okręt.

- A przybyli z Grecji, jak głosi stare podanie, lecz nie byli tam długo, gdyż szli z północy wiodąc stada. Nim wsiedli na okręty, byli ludem dosiadającym koni i nie mającym siedzib. Cześć dla Byka zastali na wyspie, a gdy zdobyli ją, uznali go za swego boga, połączywszy starą wiarę z nową. Albowiem jak wiele innych ludów czcili w swej wędrówce, a i przedtem zapewne, Wielką Matkę. I dlatego, choć jesteście potomkami Byka, jedna z kobiet mojego rodu zawsze była Ariadną, Uosobieniem Matki, która zstąpiła na ziemię! - Roześmiał się pogodnie. - Któż wie zresztą, czy nie byli oni krewnymi owych ludów? Albowiem narody daleko potrafią wędrować, jeśli gna je pragnienie zdobyczy, głód lub trwoga. Być może przybyliśmy i my z owych północnych krain, a twój lub moi przodkowie także zamieszkiwali czas pewien pośród owych bagien? Urwał, gdyż Me-sen wraz z towarzyszami wszedł do łodzi i odbił od brzegu. Ujawszy wiosła, zanurzyli je szybko i ruszyli ku okrętowi. Po chwili byli już przy burcie. Stary Nasios zbliżył się do księcia, lecz wszyscy Kreteńczycy znali już na tyle mowę ludów północy, że pojęli słowa Me-sena, nim starzec /dołał je im wyłożyć.

- Chętnie przyjmą was oni! - zawołał Me-sen. - Jest bowiem zwyczajem tej krainy przyja/ne goszczenie obcych, których niewielu się tu pojawia. Lecz gdy dowiedzieli się, że jest was niemal stu, zafrasowali się, albowiem o tej porze cierpią na brak jada, a prócz ryb, których tu zawsze jest pod dostatkiem, niewiele więcej mają i dla siebie! Resztę pozostałego z zimy ziarna poświęcić muszą na siew, a świnie lub owcy nie mogą zabić choćby jednej, gdyż wszystkie niemal zabili już w czas mrozów, a póź' rstałe muszą zatrzymać przy życiu, inaczej nie mieliby z czego rozmnożyć znów wiosną ich rodzaju. Lecz rzekłem im, że mamy na okręcie dość ziarna, miodu i suszonego mięsa, a pragniemy jedynie wypocząć przy ognisku pod dachem i rozprostować członki, nim wyruszyście w dalszą wędrówkę.

- Dodaj także, dobry Me-senie, że obdarujemy króla owej wsi odpływając! - zawołał bogom podobny Widwojos.

Gdyby ktokolwiek rzekł w owej chwili Terteusowi, że w zagubionej wśród trzęsawisk barbarzyńskiej wiosce stanie się coś, co przemieni cały jego żywot, być może, uwierzywszy wyroczni, pomyślałby, że zdradziecko rzu-

cony oszczep lub wypuszczona z ukrycia strzała mogą go okaleczyć tak, iż nigdy już nie będzie zdolny do podźwignięcia miecza. Nawet najdzielniejszych i najbardziej przezornych spotykały bowiem podobne nieszczęścia. Lecz szczęście? Jakiegoż szczęścia mógł spod/iwać się tutaj on lub ktokolwiek z załogi Angelosa?

Jednak, że nikt niczego mu nie wróżył, niczego też nie przewidywał teraz, gdy wszedłszy za księciem do dużej izby w domu króla owej wioski, rozejrzał się mrużąc oczy, bowiem nie miała ona okien, a oświetlał ją jedynie migotliwy blask padający na ściany z obłożonego gładkimi kamieniami paleniska, na którym płonął wesoły ogień. Zasiedli do stołu na dwu stojących naprzeciw siebie prostych ławach. Prócz księcia, Perilawosa, starego Nasiosa, Terteusa i Me-sena, który był synem wodza, zajął tam miejsce jedynie król wioski wraz ze swymi czterema synami, a także, co zdziwiło gości, wysoka i smukła dziewczyna, zasiadająca po prawej ręce króla na tejże co on ławie. Nie ruszyła się ona też, gdy inne dziewczęta wniosły miski z polewką rybną i szeroki pękaty dzban miodu.

Bogom podobny Widwojos, przyjąwszy miejsce za stołem, pytał króla wioski o sprawy, które go ciekawiły, a ów odpowiadał rozważnie i bez zmieszania, okazując rozum i jasny sąd zadziwiający u człowieka, który cały swój żywot spędził pośród bagien, nie znając szerokiego świata ni obyczajów dworskich. Lecz zarówno król jak i jego synowie jedli wstrzemięźliwie i bez łapczywości, a postawa ich i zachowanie pełne były godności i zgoła nie barbarzyńskie.

Dziewczyna u krańca stołu siedziała z opuszczonymi oczyma i nie uniosła ich ani na mgnienie ku obcym, którzy rzucali na nią ukradkiem ciekawe spojrzenia, wiedzieli bowiem, że nie jest w zwyczaju ludów tu zamieszkujących spożywanie posiłków w przytomności niewiast, a szczególnie gdy przyjmowali u siebie obcych przybyszów. Lecz zapewne obyczaje owej wsi były nieco inne niżli tych, które poznali dotąd.

Choć blask ognia zaledwie ukazywał jej oblicze, siedzący naprzeciw dziewczyny Terteus dostrzegł, że jest piękna. A choć była rosła i dorodna jak dojrzała niewiasta, twarz jej była niemal twarzą dziecka. Chciał zagadnąć ją uprzejmie, lecz że bogom podobny Widwojos mówił właśnie do króla, a ów słuchał, nie byłoby rzeczą przystojną mówić równocześnie z nim. Niewiele zresztą znał słów w jej mowie, a nie wiedział, czy nie poczytano by mu tego za grubiaństwo lub nie wzięto za zaczepkę, gdyby odezwał się do niej pierwszy, choćby zachęciła go nawet spojrzeniem.

Tak więc siedział, pił parząc sobie usta rybną polewką i rzucał ukradkowe spojrzenia ku dziewczynie, a im dłużej na nią spoglądał, tym bardziej wydawała mu się piękna. Pomyślał także, że jest smutna, lecz nie mogąc spojrzeć w jej oczy nie umiał rzec, czy nie było to złudzeniem. Być może lico jej przybrało tak poważny i skupiony wyraz, gdyż wobec obcych mężczyzn nie godziło się jej uśmiechać i strzelać oczyma dokoła.

Bogom podobny Widwojos także spojrział na nią kilkakrotnie i chciał zapytać króla uprzejmie, kim jest owa piękna dziewczyna, gdyż był przeświadczony że musi być ona jego córką, bowiem istniało pewne podobieństwo między

nią a czterema królewskimi synami. Zresztą gdyby nią nie była, nie zajmowałyby zapewne tak poczesnego miejsca, lecz zajęta byłaby wraz z innymi dziewczętami, usługującymi gościom.

Król sam uprzedził jego pytanie.

- Zapewne i w twoim kraju, dostojny wodzu, niewiasty nie towarzyszą dojrzałym mężom podczas uczty. My także nie czynimy tego. I ona, choć jest jedyną córką moją, nie zasiadłaby tu, lecz gdy nadszedł dzień i dziewice mego ludu ciągnęły losy, sięgnęła dłonią i wyjęła spośród wielu ukrytych w dzbanie żołędzi jeden, wydrażony i wypełniony ziarnem świętego kłosa, pierwszego, który padł pod kamiennym sierpem w czas zeszłorocznego żniwa. Od owej chwili dawne jej imię zostało zapomniane i zwie się Wasan...

Zamilkł, a stary Nasios wyłożył im to imię jako Wiosna, pora, gdy zima odejść musi.

- I tak będzie się zwała do dnia, gdy zakwitnie pierwszy żółty kaczeniec, kwiat, któremu słońce podarowało swą świętą barwę. Do owego dnia też zasiada przy stole moim, a żywi się nie tym jadem, które my jemy, lecz plackami, miodem i mięsem przechowywanym dla niej w mroźnej porze. Albowiem są to ofiary, które musimy złożyć bogu. Mówię wam o tym, abyście widząc ją, spożywając ów posiłek nie sądzili, że przyjmujemy was posiłkiem lichszym, niżli sami jemy.

Bogom podobny Widwojos zdumiał się i chciał zapytać, czy piękna córka królewska znów powróci do swego imienia, gdy zakwitnie ów pierwszy kwiat wiosenny, lecz uznał, że w sprawach bogów i obrzędów nie należy pragnąć wiedzieć więcej, niżli mówią ci, którzy im cześć oddają. Zapytał więc uprzejmie o to, czy w Krainie tak bagnistej wiele jest miejsca, które można by obsiać ziarnem, i jaki plon ono daje. A król odpowiedział mu równie uprzejmie, choć można było dostrzec, że na chwilę zamilkł i zasępił się, jak gdyby dopadł go nagły smutek, o którym starał się nie pamiętać.

Terteus, który słuchając słów starego Nasiosa o pięknej dziewczynie przestał jeść i mimowolnie wpatrzył się w jej lico, dostrzegł, że dłoń, którą sięgnęła do miski, by ująć smukłymi palcami kawał mięsa, znieruchomiła, gdy ojciec wyrzekł pierwsze słowa o tym, co jej się przydarzyło. Lico zastygło na chwilę, lecz oczy rzuciły krótkie, szybkie spojrzenie ku Terteusowi, jak gdyby pragnęła przekonać się, czy spogląda na nią. Zapewne mimowolnie dostrzegła jego jasną, piękną głowę, szerokie ramiona i oczy wpatrzone w nią z zachwytem, bowiem opuściła wzrok, szybko uniosła dłoń ku ustom i poczęła jeść.

Lecz Terteus, który nie mógł oderwać od niej spojrzenia, spostrzegł, że lico jej i szyja, odsłonięta ponad białą grubą szatą z szorstkiej materii, zapewne utkanej przez nią samą, pokryły się ciemnym rumieńcem. Spuściła oczy niżej jeszcze, jak gdyby nagle zajęło ją nad wyraz mięso leżące na dnie miski, i nie uniosła już głowy do końca uczty, milcząc i rumieniając się.

Terteus odetchnął głęboko.

Wiosna... - rzekł w duchu. - Zaprawdę! Dobrze się stało, że wyciągnęła ów wydrażony żołędź, albowiem żadna z tych, które poznałem dotąd we wszystkich krainach, jakie bogowie zezwolili mi ujrzeć, nie była godniejsza, by nosić to imię! - I powtórzył w myśli: -

Wasan...

Gdy odsunąwszy ławy wstali od stołu, udali się na życzenie bogom podobnego Widwojosa w obchód wsi, gdyż zapragnął w swej uprzejmości poznać żywot i obyczaje mieszkańców, na co król zgodził się chętnie. Wieś była rozległa, a choć gdy podpływali ku niej, wydawało im się, że jest położona na wyspie, jednak ujrzeli wnet, że ciągną się za nią ku północy pola i las wysokich drzew. Król rzekł, że za owym lasem znów rozpoczynają się trzęsawiska, a choć sam przemierzył je raz łodzią i oddalił się od wsi o trzy dni drogi wiosłem, nie kończyły się one i nie dostrzegł ich krańca. Nie wiedział też, czy żyją tam ludzie, lecz jeśli mieli siedziby w owej stronie, musiały być one wielce odległe, albowiem nigdy ani on, ani nikt ze wsi, ani też ich ojciec i dziadowie nie napotkali żadnego człowieka z ludu, który by tam zamieszkiwał. Wsie plemienia mówiącego jedną mową, do którego należał on i jego lud, leżały wzdłuż rzeki, wypływającej z bagien. Lecz za bagnami rozpoczynała się inna rzeka płynąca ku zachodowi od swych źródeł. Bowiem z tej krainy trzęsawisk wypływało wiele rzek we wszystkich kierunkach. Tą właśnie rzeką, kierującą się ku zachodowi winni się udać, jeśli pragną dotrzeć do morza. Albowiem wie, że leży ono na północnym zachodzie, choć wielce odległe. Do źródeł tej drugiej rzeki dopływali też z zachodu kupcy, których przewożono wraz z ich towarami od osady do osady, gdyż zdani na siebie zginęliby, zbłądziwszy wśród bagien i wodnych bezdroży. On także pragnął, by dwóch z jego synów pomogło im dopłynąć do następnej wsi i zapewniło tam gościnę przybyszom. Bowiem Me-sen i jego towarzysze mieli stąd zawrócić do swej osady na palach, gdyż dalej nie znali już drogi. Rozmawiając tak obeszli wieś, zajrzeli do dwu chat na skraju, gdzie trzymano wychudzone, na pół zagłodzone krowy i owce, jako że utrzymanie bydła przy życiu było sprawą niełatwą w porze chłodu i śniegów. Ujrzeli też świnię, lecz nie przypominały one tłustych świń greckich, a raczej dziki leśne, barwą szpeciny i prędkością, z jaką się poruszały.

Powracali idąc grząską, namokłą od deszczów ścieżką ku rzece i rozmawiając, gdy nagle król zatrzymał się i wpatrzył szeroko rozwartymi, pełnymi trwogi oczyma w niewielkie wypełnione wodą zagłębienie, którego brzegi zaczęły już porastać pierwszymi zielonymi pędami roślin.

Przystanęli i inni, a że król nie rzekł słowa, bogom podobny Widwojos i Perilawos poczęli szukać oczyma tego, co przykuło uwagę starca. Lecz nie znaleźli. Terteus trzymał się z tyłu, idąc za córką królewską, która szła tuż za mężczyznami z głową lekko pochyloną i spuszczonego wzrokiem.

Ujrzał, że nagle i ona przystanęła, mimowolnie-unosząc dłonie ku ustom, jak gdyby pragnęła stłumić okrzyk. Myśląc, że ujrziała węża, skoczył ku przodowi, lecz gdy zbliżył się, dostrzegł, że król wioski, jego córka i synowie patrzą na krawędź owej kałuży.

I choć nie wiedział jeszcze, czemu zastygli nagle, jak gdyby porażeni trwogą, pojał, że patrzą na małe dwa żółte kwiatki, które pośród wielu innych jeszcze nie rozkwitłych otworzyły swe drobne korony tuż nad krawędzią wody.

Starzec z wolna odwrócił się i ujrawszy za sobą córkę, ujął jej dłoń. Pochyliła głowę, a później wyprostowała się i próbowała uśmiechnąć spoglądając ku niemu.

Kreteńczycy stali w milczeniu, pojmując, że są świadkami czegoś, co ma wielką wagę dla owych ludzi, lecz nie wiedząc, co by ta rzecz miała oznaczać.

- Czcigodny wodzu - rzekł król zwracając się ku Widwojosowi. - Kiedy rzekłem ci, że córka moja wyciągnąwszy los, poświęcona została bogu jako ofiara mego ludu, składającego dzięki za przepędzenie złej zimy i nadejście wiosny niosącej życie, nie rzekłem ci wszystkiego, bowiem sprawa ta nie była waszą sprawą, a mieliście odpłynąć jutro rano, gdy słońce wzejdzie. Wczoraj jeszcze kwiaty te zaledwie wschodziły i wierzyłem, że jeszcze dni kilka widzieć będę ukochaną córkę moją. Lecz oto zakwitł ów pierwszy żółty kwiat, a za nim drugi... - Urwał i odetchnął głęboko, przymknąwszy oczy. Lecz powściągnął niegodne wodza i króla wzruszenie i dokończył: - Chce prawo, by o świcie dnia następującego po owym dniu, gdy zakwitnie pierwszy z żółtych kwiatów, dziewica ofiarna popłynęła rzeką ku morzu, tak jak spływają rzeką śniegi zimy, aby ustąpić miejsca zieleni wiosennych łąk. Spętawszy ją, ułożą żywą na dnie łodzi obciążonej kamieniami i mającej w dnie otwory, aby mogła z wolna zatonać. Pchną ją wówczas na wodę i odpłynie od rodzinnych brzegów, zabierając z sobą zimę, ów czas mroku i śmierci, gdy nie kwitną kwiaty i ptak nie śpiewa. A gdy się tak stanie, bóg ześle wiosnę, aby królowała światu karmiąc ludzi i zwierzęta.

- Królu! - zawołał boski Widwojos nie mogąc powstrzymać okrzyku grozy. - Czyżbyś zniósł, aby zabito własną twą córkę, i godził się na to bez oporu?

- Wyciągnęła los... - odparł król cicho. - Co roku, gdy dnia poczyna przybywać, jedna z nich wyciąga ówżoładz, a gdy pierwszy kwiat słońca zakwitnie, odpływa wydrażoną łodzią. Jakże mógłbym oddawać inne córki mego ludu na ofiarę, chroniąc własną przed nieodwracalnym wyrokiem boga, który wskazał na nią pośród stu innych? Ma

2 - Czarne okręty t. IV
wiosen dziesięć i pięć. Raz już ciągnęła los z pozostałymi, lecz dnia tego inna przyjęła imię Wiosny. Gdyby później poszła do jednego z tych, którzy pragnęli jej za żonę, nie ciągnęłaby losu po raz drugi, gdy minęło lato i nastąpiła nowa zima. Lecz wzgardziła wszystkimi, którzy pragnęli ją wprowadzić do domu swego, nieszcześna, i oto rozgniewany bóg, widząc ją po raz wtóry, wskazał na nią! Cóż więc mogę uczynić? Jakże mógłbym sprzeciwić się prawom mego ludu? Zabiliby oni mnie i synów moich, gdyby ci stanęli w jej lub mojej obronie. I słusznie uczyniłby lud mój, bowiem czyn taki sprowadziłby nienawiść bogów na wszystkich! Kimże jest człowiek, aby im się sprzeciwiał? Gdybym sam mógł oddać żywot mój za nią, uczyniłbym to. Lecz bogowie nie przyjęliby mej ofiary. Nie zdałoby się to na nic...

Raz jeszcze spojrzął z rozpaczą na dwa małe żółte kwiatki i ruszył przed siebie z opuszczoną głową, a książę i Perilawos nie dotrzymując mu kroku pozostali nieco w tyle, pojmując, że pragnie być sam ze swym nieszczęściem. Czterej synowie postępowali krok w krok za ojcem, milcząc.

Wówczas stała się rzecz dziwna. Ta, której los miał się

wypełnić o świcie, odwróciła się nagle ku Terteusowi, który stał jak skamieniały, nie mogąc niemal pojąć znaczenia tego, co usłyszał. Stała przed nim i przywoławszy skinieniem starego Nasiosa, rzekła cicho, lecz nie kryjąc lica i patrząc Terteusowi w oczy jasnym nieulekłym wzrokiem:

- Chcą bogowie, abym jutro o świcie umarła. A że stanie się tak, więc nie będę kryła mych myśli, choć . w-innym czasie słowa moje byłyby zbyt śmiałe w ustaci niewiasty... - Zawahała się na mgnienie oka, lecz dołoń' czyła: - Nie wiem, czy na szyderstwo, czy też aby ofiara moja stała się większa, sprawili bogowie, że gdy wszedłeś, piękny cudzoziemcze, do izby ojca mego i spojrzales na mnie, serce moje roześmiało się do ciebie.... I wiedz, że gdybym żyła, nikt inny... Ty jeden tylko... Głos jej załamał się i zamilkła. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jak gdyby pragnąc upewnić się, że stoi przed nią i nie jest sama. Później odwróciła się i odeszła.

Terteus zrobił krok, jak gdyby pragnął pobiec za nią, lecz uniósł tylko dłoń do czoła i potarł je kilkakroć. potrząsając głową jak człowiek, który otrzymał niespodziewane uderzenie. W milczeniu spoglądał za oddalającą się smukłą postacią.

- Czy słyszałeś, starcze...? - rzekł wreszcie cicho. - Czy słyszałeś?

Stary Nasios westchnął i nie odparł nic, bowiem dostrzegł mękę malującą się na licu młodego żeglarza.

- Bogowie! - rzekł Terteus. - Czemu nie zginąłem wcześniej od strzały barbarzyńcy lub kreteńskiego miecza, gdy ksiązę ów pojmał mnie w niewolę? Cóż uczynię teraz? Czemuż nie wyruszyliśmy o dzień wcześniej? Nie ujrzałbym jej nigdy i serce moje byłoby spokojne!

Na drodze, którą szła dziewczyna, czekał na nią samotny stary człowiek trzymający w dłoni wysoką laskę. Zrównała się z nim i razem zniknęli pomiędzy zabudowaniami, tam gdzie odeszli pozostali.

Terteus ruszył z opuszczoną głową. Brwi miał zmarszczone, a wargi jego poruszały się, jak gdyby mówił do siebie. Lecz idący obok stary Nasios nie usłyszał słów, które wypowiadał.

W pewnej chwili Terteus przystanął, wyrwał miecz z pochwy i zamachnąwszy się, jak gdyby godził w człowieka, ściał nim mały kwiat o żółtej koronie, rozkwitły tuż nad ziemią przy ścieżce.

Schylił się, wziął go w palce i patrzył nań przez chwilę niewidzącymi oczyma. Później zmiął go w ręce i cisnął na ziemię.

Białowłosy wraz z Harmostajosem i dwoma innymi żeglarzami pełnił tego wieczora straż przy okręcie, przywiązanym do nadbrzeżnych drzew dwoma mocnymi linami. Rzucili też na dziobie i na tyle dwie kotwice, które trzymały Angelosa w pewnej odległości od brzegu, aby nie tarł dnem o piasek. Wykonali owe kotwice tej zimy podczas długich, beczynnych dni, gdy mroźne zawieje trzymały ich we wnętrzach chat. Uczynione byty w sposób prosty, lecz stały się niezwykle przydatne na rzekach, których nurt zawsze spychał stojący okręt ku brzegowi. Były to wielkie głązy oplecione mocno liną, tak aby nie mogły się z niej wysliznąć. Opuszczano je na dno i przytwierdzano drugi koniec liny do grubych pierścieni wbi-

tych w pokład. Rzucone w wodę z dwu stron trzymały okręt niemal w miejscu.

Białowłosy stał teraz i przypatrywał się Harmostajosowi, który znalazłszy na brzegu piękny, okrągły, płaski głaz, wniósł go wraz z nim na okręt i siedział oplatając go misternie, choć niemal po omacku, liną. Albowiem Harmostajos lubił wszystko, co było związane z przemyślnym użyciem sznura.

- Hej! Odezwiście się!

Usłyszawszy ciche wołanie z brzegu, Białowłosy podszedł do burty.

Noc była ciemna, więc choć na piasku nadbrzeżnym płonęło niewielkie ognisko, rzucając migotliwe blaski na wodę, nie mógł poznać wołającego. Jednak wydawało mu się, że był to Terteus.

- Czy to ty, Terteusie?

- Czyż nie słyszysz?! Chcę mówić z tobą!

Chłopiec stanął na bmcie i skoczył odbiwszy się ze wszystkich sił. Padł na nogi tuż przy brzegu, rozpryskując wodę.

Dostrzegł rosłą postać młodego żeglarza przybliżająca się w mroku. Terteus dotknął jego ramienia i położył dłoń na własnych ustach dając znak, aby zachował milczenie. Ruszył wzdłuż brzegu oddalając się szybko od zabudowań. Białowłosy poszedł za nim.

Wieś spała już. Spali także ich towarzysze. Wszyscy zmęczeni byli wielce pięcioma dniami spędzonymi na wodzie, przy wiosłach, gdyż kręte, niebezpieczne nurty i grząskie mielizny wymagały nieustannej uwagi. Niewiele zaznali snu w owym czasie, siedząc skuleni na ławach, otoczeni mrokiem, chłodem i przejmującą, studzącą krew w żyłach mgłą, rozciągającą się nad morzem trzęsawisk. Teraz, gdy zjedli dobrą wieczerzę i ogrzali się przy wielkim ognisku, usnęli ciężkim snem stłoczeni w dwu przestronnych chatach, które ofiarowali im mieszkańcy wioski na nocleg. Białowłosy także był zmęczony, lecz że na niego padła pierwsza straż, walczył z napływającą raz po raz falą senności ogarniającej umysł.

Idąc teraz za Terteusem ziewnął. Nie widział go od chwili, gdy postawili stopę na lądzie, kiedy wraz z księciem, Perilawosem, Me-senem i starym Nasiosem oddalił się, by spożyć posiłek w chacie królewskiej. Później Terteus nie przybył, by sprawdzić, czy ustalono kolejność straży, jak to zwykle czynił. Ustalili ją bez niego, rzucając los. Czegóż chciał teraz?

Oddalili się dość znacznie od zabudowań, gdy Terteus zatrzymał się nagle i zwrócił ku Białowłosemu.

- Nie pojmują oni naszej mowy... - rzekł. - Lecz pragnę mieć pewność, że także nikt z załogi nie usłyszy tego, co chcę ci rzec.

- Nikt z załogi? - zapytał Białowłosy ze zdumieniem. - Cóż się stało? - I odruchowo sięgnął dłonią do pasa, by sprawdzić, czy nie pozostawił miecza na pokładzie okrętu.

- Przywołałem cię - rzekł Terteus - bowiem nastał czas, gdy ciebie jednego mogę się poradzić... - Znów zamilkł.

Białowłosy otworzył usta i zamknął je znowu.

- Wszyscy oni są Kreteńczykami... - rzekł Terteus po chwili, zastanawiając się i ważąc słowa. - Kreteńczykami, którzy wyruszyli na wyprawę wraz ze swym księciem,

a mnie słuchają, gdyż on im tak nakazał. Nie chcę rzec, że nie są dzielnymi wojownikami i dobrymi towarzyszami. Okazali już nieraz, że serca ich są mężne... Gdybyśmy musieli obnażyć miecze o świcie przed obliczem wroga, choćby wielce przeważającego, nie lękałbym się stanąć wraz z nimi, gdyż nie zdrzeliiby wiedząc, że wielu z nich odejdzie do Krainy Mroku, i gardząc śmiercią walczyliby do końca... - Znowu urwał.

- To prawda...-rzekł Białowłosy, nadal nie pojmując.

- Lecz oto teraz, gdy przyszła na mnie chwila najcięższa, z tobą jednym mogę mówić, gdyż lękam się, że nikt z nich nie stanąłby przy mnie, narażając swój żywot na pewną niemal zgubę. Bowiem wieś ta jest wielka i o świcie stanie naprzeciw nas kilkuset mężów. A jeśli użylibyśmy podstępny, któż wyprowadzi nas z tych bezmiernych bagien, wskazując drogę ku odległemu morzu?

- Nie pojmuję cię, Terteusie... - Białowłosy potrząsnął głową w ciemności. - Wiesz, że związani jesteśmy wielką przysięgą, a nawet gdybyśmy nie złożyli jej, także nie zdradziłbym cię, cokolwiek by miało nastąpić. Lecz mów, cóż się stało od czasu, gdy zeszedliśmy na ląd? Na tle dalekiego ogniska ujrzał, że Terteus odwrócił głowę. Później spojrzął ponownie na stojącego przed nim chłopca.

- Gdy powiem ci, co nastąpiło, wydrwisz mnie lub posądzisz, że trudy podróży pomieszały mi zmysły - rzekł ze smutkiem. - Albowiem pojmuję, że nikt, komu bogowie nie odebrali rozumu, nie uwierzy mi. A być może to właśnie mnie bogowie odebrali rozum, bym jutro o świcie zginął tu marnie, choć tyle unikałem już niebezpieczeństw, odkąd po raz pierwszy uniosłem oszczep! Lecz wysłuchaj mnie do końca i nie drwij, póki nie wyjawię ci wszystkiego.

- Cokolwiek powiesz, Terteusie, nie będę drwił z ciebie - rzekł Białowłosy spokojnie.

- Słuchaj więc. Gdy wszedłem do izby w chacie owego króla, była tam dziewczyna. Siedziała naprzeciw mnie na ławie i nie rzekła słowa. A spojrzała na mnie raz tylko. Lecz gdy wstawałem z ławy po uczcie, wydało mi się, że odkąd żyję, ujrzeć pragnąłem właśnie jej lico i pragnąłbym patrzeć na nie, póki bogowie nie zamkną mi oczu. Czy możesz uwierzyć w podobne zdarzenie?

- Mogę, Terteusie, gdyż szczerowość jest w twoim głosie. Choć sam nie doznałem tego nigdy.

- Ani ja do tej pory, choć starszy jestem niżli ty niemal o dziesięć wiosen. Lecz nie na tym koniec. Król ów powiodł nas, aby ukazać nam swą wieś, a gdy powracaliśmy, podeszła do mnie owa dziewczyna i rzekła, że serce jej roześmiało się ku mnie, gdy ujrzała mnie po raz pierwszy!

- Zabierz ją więc z sobą na okręt i uczyni swą żoną, jeśli i ona tego pragnie!

- ...Rzekła mi też - ciągnął Terteus, jak gdyby nie słysząc jego słów - abym nie dziwił się jej szczerowości, tak nieprzystojnej niewieście, jutro o świcie bowiem musi umrzeć. Wyciągnęła los i złożyła ją na ofiarę w nurtach rzeki! Związana legnie na dnie dziurawej, obciążonej kamieniami łodzi.

Białowłosy milczał przez chwilę, później rzekł cicho:

- Cóż więc uczynimy? Czy pragniesz porwać ją nocą i uciec stąd?

- Gdybym to uczynił, dokąd popłyniemy nie znając drogi? Zabłąkamy się, a lud ów ścigać nas będzie na łądziach i nie spocznie, aż nie wygubi nas pośród bagien. Wówczas wszyscy zginęliby z mojej przyczyny... A zresztą, czy będą pragnęli narazić okręt i siebie na pewną zgubę dla paru spojrzeń, które rzuciła na mnie nieznajoma niewiasta? Jakże mogę iść do nich błagając, aby mnie wspomogli? Gdyby któryś z nich przyszedł do mnie i rzekł, abym znajdując się w miejscu tak nie sprzyjającym i w zgubnych okolicznościach, naraził całą wyprawę na zniszczenie dla jednej nieznanej dziewczyny, z którą nie zamienił i stu stów, cóż bym mu odrzekł?

- Więc zgodzisz się, by zginęła?

- Umrę u jej boku! - rzekł Terteus z uniesieniem. - Lecz nim to nastąpi, mieczem tym wyślę do Krainy Mroku wielu z tych, którzy pragną ją zgubić!

- Czynią oni tak, jak nakazuje prawo owego ludu - rzekł Białowłoso. - A ojciec jej jest królem. Jeśli on jej nie obronił, znaczy to, że sprawa ta jest dla nich święta i nic jej nie może odmienić. Więc nie z nienawiści pragną śmierci tej, na której spoczęły twe oczy.

- To jedynie pragniesz mi rzec? - zapytał Terteus gniewnie.

- Nie. Bowiem jeśli uderzysz na nich, nie będę kryć się przed ich gniewem, lecz stanę przy tobie z obnażonym mieczem. Skoro bogowie tak postanowili, umrzemy tu obaj.

- A ona wraz z nami?

- A ona wraz z nami - powtórzył jak echo Białowłoso. Zamilkli.

- A gdybyśmy udali się do księcia? - Białowłoso myślał gorączkowo. - Śpi on z Perilawosem w osobnej izbie. Zbudźmy ich!

- I cóż nam pomogą? Będzie odwoził mnie od czynów rozpaczliwych, gdyż ufa mi, potrzebny mu jestem' i pragnie, abym poprowadził okręt jego ku celowi wyprawy, którą przedsięwziął. Lecz czy odda żywot swój i swego ukochanego syna dla mej zachcianki, gdyż tak to osądzi?

- Związani są z nami wielką przysięgą... - rzekł Białowłoso z uporem. - A Perilawos wielką ma duszę, choć nie sądziłem tak początkowo. Jeśli on rzeknie, że stanie przy nas i zginie wraz z nami, księżę uczyni wszystko, abyśmy przemocą porwali stąd ową dziewczynę.

- To prawda, lecz nawet gdybyśmy zwyciężyli ich, czy nie przemieni się miłość jej ku mnie w nienawiść i wstręt, gdy ujrzy, że na czele naszych ludzi uderzam ' na ojca jej, braci i lud cały, mordując ich? Bo jeśli my ich nie zabijemy, oni uczynią to z nami.

- Cóż więc pragniesz uczynić? Jeśli nie oddadzą ci jej po dobremu, a nie może-

my odebrać jej siłą, cóż innego nam pozostaje?

Zamilkli znowu.

- Podstęp... - rzekł Białowłosy.

- Podstęp?

- Zapytałem cię, cóż uczynimy, gdy ani po dobroci, ani przemocą nie możemy jej porwać? Nie odrzekłeś mi nic. Więc sam sobie odparłem: podstęp.

- Jaki podstęp?

- Nie wiem...-Białowłosy

w ciemności potrząsnął głową ze zniechęceniem. - Lecz jeśli mamy tu zginać i nie uratować ani jej, ani siebie, być może jest sposób... Czy pragną ją zabić i ciało puścić z biegiem rzeki?

- Nie. Ojciec jej rzekł, że związaną i żywą złożą ją do łodzi obciążonej kamieniami, w której wywiercą otwory, tak aby rzeka zabrała ją z sobą i zatopiła z wolna.

- Zapewne otwory owe nie mogą być zbyt wielkie, gdyż obciążona łódź zatonełaby tuż przy brzegu... - rzekł cicho Białowłosy.

- Tak i ja sędzę. Ma ona zabrać z sobą zimę i spłynąć z nią w dal, aby uczynić miejsce wiosnie.

- Cóż, gdybyśmy ukryli się w innej łodzi wśród trzciny i czekali na nią, a gdy nadpłynie wyratowali ją i ukrytą przewieźli ową łodzią na okręt?

- A jeśli inne łodzie będą jej z dala towarzyszyły czekając, aż nurty ją pochłoną? Nie pytałem króla o to, lecz może tak być, bowiem zakręt rzeki jest w pobliżu i z pewnością nie będą chcieli stracić ofiary z oczu, lecz popłyną za nią czekając, aż stanie się to, co ma się stać.

- To prawda... - rzekł Białowłosy.

Znowu zamilkli.

- Nie... - rzekł Terteus z rozpaczą. - Nic nie uratuje jej ani mnie! A jeśli rzucę się na nich sam z mieczem w dłoni, powstrzymaj się i nie stawaj przy mnie. Po cóż i ty masz tracić młode życie, skoro rzecz ta ciebie nie dotyczy i pomoc twa na nic się nie zda, a przyniesie ci jedynie zgubę?

Białowłosy zdawał się nie słuchać jego słów.

- Tertensie! - rzekł nagle i chwycił go za ramię. - Mówił mi o tym Harmostajos zimą, gdy siedzieliśmy beczynnie w owej osadzie gawędząc i opowiadając to, cośmy widzieli i przeżyli wałęsając się po świecie! Opowiadał mi, jak podkradał się wraz z innymi towarzyszami do stojących przy brzegu w Amnizos okrętów kupieckich, gdy był chłopcem, aby wspiać się na pokład i ukraść coś, gdy inni odwracali uwagę straży! Ja także bawiłem się nieraz, gdy byłem dziecięciem, a nauczył mnie tego ojciec mój!

- Cóż pragniesz rzec?! Mów! - Terteus chwycił go za ramię i począł nim potrząsać.

- Puść! Czy pragniesz mnie zabić, nim przemyślę to! Wstrzymaj się na chwilę, a odpowiem ci! Nie wiem jeszcze bowiem, jak można byłoby rzecz ową uczynić... choć wymyśliłem już, jak zbliżyć się niespostrzeżenie do łodzi, w której pożegluje twoja miła!

Terteus puścił go, lecz pochylił się w mroku i dotykając

niemal jego twarzy, szepnął chrapliwie:

- Mów!

I wówczas Białowłosy rzekł mu, co miał na myśli.

- Lecz nie wiem, co później można uczynić, aby ją ocalić? - dodał. - Bowiem rzecz sama nie sprawi ani jemu, ani mnie wielkiej trudności.

Terteus milczał przez chwilę. Milczeli obaj.

Nagle młody żeglarz wyprostował się i wznosił ręce ku ciemnemu niebu.

- Wiem! - rzekł cicho. I rzekł Białowłosemu, co myśli później uczynić.

- A resztę pozostawcie mnie! - dokończył. - Jeśli bogowie, którzy zesłali na mnie tę dziwną omdlałość serca na jej widok, nie uczynili tego, aby mnie zgubić, wiem, co uczynię! Idźmy do Harmostajosa, a wierzę, że nie ulęknie się on i zgodzi z naszym zamiarem.

Weseli niemal, choć nadchodzący ranek mógł przynieść im klęskę i zgubę, jeśli sprawy nie ułożą się tak, jak tego pragnęli, ruszyli ku ciemniejącemu w oddali kształtowi okrętu, uśpionego na cicho szumiącej rzece. Lecz byli ludźmi gotowymi do każdego, najbardziej szaleńczego czynu, a gdy raz postanowili, spadł z serc ich gniotący ciężar. Przyszłość była w ręku bogów.

Na długo, nim przedświt począł wyłaniać z mroków nocy chaty i drzewa, mieszkańcy wsi powstali ze swych posłań. A uczynili to także żeglarze załogi Angelosa, choć wstawali klnąc i narzekając na los nie dający im zażyć do woli odpoczynku.

Lud zbierał się przy nadbrzeżu w miejscu, gdzie leżały wyciągnięte na brzeg łodzie, otaczając z dala szerokim koliskiem jedną z nich.

Gdy nadszedł pierwszy brzask, wystąpili z tłumu czterej dojrzały mężczyźni i uczyniwszy na dnie łodzi kilka niewielkich otworów naostrzonym krzemieniem poczęli przenosić z przygotowanego uprzednio kopczyka białe kamienie, których wiele leżało nad rzeką. Ułożyli je na dnie łodzi równo, bacząc, by jej nie przeciążyć, gdyż wówczas spełnienie ofiary połączone byłoby ze złą wróżbą, mówiącą, że zima nie odeszła daleko, lecz powróci prędzej niż winna powrócić, niosąc z sobą dłuższe i większe mrozy.

Gdy uczynili to, cofnęli się w tłum, lecz stali zbici w gromadkę, nie rozchodząc się, bowiem tego ranka pozostawała im jeszcze jedna wspólna praca. Wraz z królem mieli zepchnąć łódź na wodę, silnie, dziobem ku bliskiemu nurtowi, który pochwyti ją i nieuchronnie porwie z sobą. Gdyby uczynili to niewprawnie i łódź okręciłaby się i popłynęła dziobem ku tyłowi, nim dotarłaby do nurtu, to także byłoby złą wróżbą, choć nim nieszczęście nie spadnie, nie można przewidzieć, jak bóg zechce objawić swój gniew.

Tłum rósł i czyniło się coraz widniej. Choć gęste, zwarte chmury zakrywały niebo, wiedzieli, że wkrótce wstanie słońce. Czekali więc, pewni, że niedługo przyjdzie im czekać.

Lecz nim nadszedł orszak wiodący ofiarę, którą mieli złożyć wiosnie, do okrętu stojącego nie opodal tuż przy brzegu zbliżyli się od strony wsi obcy żeglarze, którzy spędzili w niej noc. Nadeszli w zwartym szyku, powiewając czerwonymi pióropuszcami na hełmach, a pancerze ich i oręż lśniły w bladym blasku powstającego dnia.

Zbliżyli się do okrętu i stanęli przed nim w dwuszeregu, dumni i wspaniali, wsparłszy uniesione włócznie o ziemię i opierając o nią zaostrzone dolne krawędzie wielkich, podwójnych tarczy.

Przed nimi w złocistym pancerzu przechadzał się ich wódz, a w pobliżu szeregów, wodząc okiem po zebranym tłumie, stał z obnażonym mieczem młody żeglarz, górujący postawą i urodą nad wszystkimi, wyniosły i czujny. Kreteńczycy czekali, nie wchodząc na okręt, gdyż bogom podobny Widwojos rzekł im, że zanim pożegnają gościnną wieś i jej króla, nastąpi na cześć nadchodzącej wiosny ofiara złożona bogu, w której wezmą udział dwaj jego synowie, mający odpłynąć z nimi. A miała to być ofiara ludzka, czekali więc z ciekawością na to widowisko, wypatrując, kiedy ukaże się ofiara.

I nie czekali długo, gdyż od strony chaty królewskiej ukazał się niewielki orszak. Przodem szedł król, a za nim pośród czterech swych braci nadeszła ubrana w białą szatę, wyprostowana, piękna dziewczyna, niemal dziecko jeszcze, lecz rosła i kształtna jak dojrzała niewiasta. Nadeszła nie patrząc w lewo ni w prawo. Raz jedynie spojrzenie jej zatrzymało się na lśniącym dwuszeregu żeglarzy i być może odnalazła tego, który stał najbliżej, nie spuszczać z niej wzroku.

Król zbliżył się ku łodzi i z wolna odwrócił. Tłum zamarł. W ciszy usłyszano wyraźnie kroki czterech niewiast, które podeszły niosąc białą płachtę zszytą tak, aby podobną stała się do długiego worka, otwartego z jednej tylko strony.

Otoczywszy dziewczynę, uniosły płachtę i zarzuciły, tak że spłynęła aż ku ziemi, kryjąc postać nieszczęsnej wraz z uniesioną głową o jasnych, rozpuszczonych włosach.

Wówczas nadeszli biało odziani młodzieńcy niosący sznur. Obeszli stojącą i spętali jej ciało. Gdy to się stało, ułożyli ją na ziemi i związali jej nogi. Nie mogła już teraz poruszyć się.

Młodzieńcy odstąpili sprawdzwszy moc więzów.

Nastała cisza. Wszystk'e oczy zwróciły się ku królowi. Przez chwilę spoglądał na nieruchomą białą kukłę, która kryła jego dziecko. Wreszcie powolnym ruchem unióś laskę.

Czterej dojrżeli mężowie, którzy uprzednio przygotowali łódź, wystąpili z ciżby i unieśli leżącą.

Tłum nadśluchiwał, lecz spod płachty nie wydobył się żaden stłumiony okrzyk ni jęk, gdy złożyli dziewczynę na dnie łodzi, o której dzień ocierały się maleńkie fale liżące piasek.

Czterej mężowie wyprostowali się i stanęli po bokach łodzi.

A wówczas król wyciągnął ramię ku najstarszemu ze swych synów i oddał mu wysoką laskę. Sam odwrócił się i ruszył ku łodzi. Zatrzymał się przed nią, a później unióś ręce i po trzykroć złożył głęboki pokłon wschodowi i powstającemu słońcu.

Gdy opuścił ramiona i zwrócił się ku łodzi, czterej mężowie przystąpili i chwycili za burty, zapierając stopy w piasek.

Król z wolna pochylił się, wsparł dłonie o szeroki tył łodzi i pchnął potężnie, a inni uczynili to wraz z nim tak składcie, że z cichym szelestem rozcinanego piasku zsunęła się w wodę i pomknęła wprost ku pobliskiemu

nurtowi.

Terteus przymknął oczy i otworzył je. Ściskając głowicę obnażonego miecza spoglądał na łódź, która z wolna docierała do granic nurtu.

Wszystkie oczy towarzyszyły jej. Za chwilę prąd pochwyty dziób i skieruje go w dół rzeki. A później, zanurzając się powoli, bądź zniknie za zakrętem, bądź też pochłona ją fale tuż przed nim.

Stary król wyprostował się i cofnął o krok. Lecz i on nie mógł oderwać oczu od łodzi. Stał nieruchomy zaciskając usta. Cały lud jego był tu zebrany, lecz nikt z nich nie wiedział, że ukochał on tę córkę bardziej niżli któregokolwiek ze swych dorodnych synów, choć oni to przecież, a nie dziewczęta, są chwałą ojców.

Wzrok macił mu się. Zdało mu się, że łódź musi skrócić w dół rzeki, lecz oto trwała w miejscu i jak gdyby...

Przetarł oczy. Szmer przebiegł przez tłum, a później okrzyk zgrozy przeleciał nad głowami i ucichł nagle. Tonąca z wolna łódź zatrzymała się na granicy rwącego nurtu i poczęła cofać, zbliżając ku brzegowi!

Król odwrócił się, zakrył ramieniem oblicze, a lud cofnął się z głuchym jękiem.

Albowiem nie bacząc na lekki prąd, który winien był ją zepchnąć w dół, łódź powracała z wolna i wreszcie, jak gdyby pchnięta niewidzialną dłonią, osiadła tyłem na piasku!

Lament straszliwy targnął wybrzeżem. Była to najstraszliwsza z wróżb, mogąca nieść jedynie zagładę im wszystkim, domom, ludziom, zwierzętom!

Bóg nie przyjął ofiary, a nurt wezbranej rzeki odrzucił ją ze wzgardą, nie bacząc na przeciwny prąd, wprost ku miejscu, gdzie była złożona.

Lecz gdy odważyli się spojrzeć ponownie, stała się rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca.

Oto od szeregu Kreteńczyków oderwał się ów wspaniały wojownik stojący na skrzydle i zbliżył do łodzi, przywołując starca, który był z nim i znał mowę plemion zamieszkujących trzęsawiska.

- Królu tej wsi i ty, ludu! - zawołał potężnym głosem ów wojownik. - Oto spełniła się przepowiednia, którą miałem we śnie, gdym dzisiejszej nocy spoczął strudzony pod waszym dachem! Ujrzałem, usnawszy, niewiastę ogromną, całą w bieli, a bił od niej chłód straszliwy i oczy jej były jako iskry lodu! Stanęła przede mną, a gdy we śnie pragnąłem złożyć jej mą cześć, pojmując, że jest boginią, a domyślając się, że to musi być najgroźniejsze z bóstw, Zima straszliwa i dławiąca życie, rzekła głosem ogromnym nie spuszczać ze mnie swych boskich oczu: "Gdy świt nastanie, poślubisz ofiarę, którą odrzucę! A odrzucę ją, aby lud mój wiedział, że nie pragnę więcej śmierci dziewic poświęconych mi przed nastaniem wiosny! Masz rzec im, aby od tej pory w miejsce żywej sporządzano postać utoczoną ze śniegu i topiono w wodach wezbranych. A na znak, że taka jest wola moja, cofnę łódź ową, rzece na przekór, i przyprowadzę ją do brzegu, od którego odbiła! Ty zaś, poślubiwszy ową dziewicę, odpłyniesz z nią i nie powróci ona już nigdy do swej krainy, aby owa ostatnia ofiara dopełniła się według mej woli!" To mówiąc zniknęła, a ja przeraziłem się wielce we śnie, nie pojmując, co by słowa owe mogły znaczyć, bowiem nie wiedziałem, co świt przyniesie. Wszelako teraz wypełnię

wolę bogini, a wy wraz ze mną poddajcie się jej, gdyż wyjawiała przed obliczem naszym, co znaczyły jej tajemne i mroczne słowa! Albowiem jest rzeczą straszliwą nie wypełnić woli bogów, gdy objawia ją widomie! Tak więc, choć obcy tu jestem, a nie spoczęło oko moje na żadnej z dziewcząt waszych dłużej niż na chwil parę, biorę sobie za żonę tę oto dziewicę i powiodę ją z sobą za morze, jak nakazała bogini! A uczynię tak, aby wam i sobie zapewnić szczęście, gdyż szalony jedynie może sprzeciwić się tak jasno objawionej woli bogów!

To mówiąc skłonił czoło przed łodzią, rozciął więzy obnażonym mieczem i rozdarłszy płachtę, wziął na ręce leżącą na dnie dziewicę.

Stanąwszy z nią przed ludem, uniósł ją wysoko prostując ramiona ku wschodzącemu słońcu.

3 -Czarne okręty Ł IV

A później zawrócił i wszedł pomiędzy zdumionych, spoglądających ze zgrozą towarzyszy, którzy rozstąpili się i zwarli za nim tarcze.

Niosąc dziewczynę, wszedł po pas w wodę i zbliżył się do burty okrętu, gdzie dwaj żeglarze, o włosach wciąż jeszcze ociekających wodą, czekali narzuciwszy już płócienne tuniki i skórzane kaftany.

Uniósłszy dziewczynę oddał ją w ich wyciągnięte ręce.

- Spryskajcie jej lico wodą, bowiem omdlała! - rzekł szybko i zawrócił.

Stanąwszy przed królem wioski zawołał donośnie:

- Panie! Oto z woli bogini waszej, straszliwej Zimy, zaślubiam twoją córkę i odtąd będę jej mężem, a ona żoną moją!

Stary człowiek spoglądał na niego przez chwilę, a w oczach jego, pełnych jeszcze przeżytej niedawno grozy, prześwitywać zaczęła radość.

- Uczynimy według woli bogini! - rzekł i odwróciwszy się, pokłonił się nisko ku wschodowi, bowiem nie Zima straszliwa, przed którą drżeli wszyscy, była głównym bogiem ludu jego, lecz życiodajne słońce. - I niechaj odtąd, jeśli nie pragnie Ona ofiary z dziewcząt, stanie się podług woli Jej, objawionej nam twymi ustami! Obyś wielu synów i córek dochował się z łona owej, którą nie ludzie ci dali, lecz przemożny i objawiony cudownie wyrok nie mylących się nigdy bogów! Zegnaj mi, a wraz z tobą wszyscy, którzy przybyliście nie swoją zapewne kierowani wolą! Obyście ujrzeli brzeg wasz rodzinny! I skinał na swych dwu synów, aby wraz z Kreteńczykami udali się na okręt.

A gdy wiosła zanurzyły się i wysoka dziewczyna w bieli uniosła w górę ramiona, żegnając brzeg rodzinny, lud pochylił się w niskim pokłonie. Bowiem spoczęła na niej dłoń bogini.

Samotnie stała na rufie okrętu spoglądając na niknące w oddaleniu domy wsi, aż wreszcie zakręt rzeki przesłonił jej ziemię ojczystą. Wówczas odwróciła się i stojący za nią Terteus ujrział, że z oczu jej płyną łzy.

Z dala stali dwaj bracia jej, nadal pełni grozy, nie śmiejąc podejść ni odezwać się do niej, a załoga Angelosa, siedząc przy wiosłach, także nie odrywała od niej oczu. Lecz choć młoda była niewiastą na pokładzie okrętu wypełnionego żeglarzami, nie padł żaden nieskromny żart. Bowiem szalenięc jedynie, któremu bogowie odejmą rozum, żartuje z tych, których naznaczyli oni wido-

mie swym piętnem.

A ona, otarłszy łzy i patrząc wprost w oczy Terteusa, rzekła, przywoławszy skinieniem starego Nasiosa:

- Zapytaj go, starcze, jak go zowią, gdyż nie dość, że nie znam mowy małżonka mego, lecz nie wiem nawet, jakie imię nosi!

I roześmiała się głośnym, szczęśliwym śmiechem, zapominając, że porzuciła na zawsze dom swój i ojca swego, aby ich już nie ujrzeć więcej.

Tego wieczora, gdy przybili do bezludnej wysepki na rzece, by rozpalić na niej ognisko i spędzić noc, Terteus zatrzymał się obok miejsca, gdzie Białowłosa siedział z Harmostajosem rozmawiając szeptem i śmiejąc się.

- Jakże dokonaliście tego? - rzekł pochylając się ku nim i zniżając głos. - Była chwila, gdy pomyślałem, że bogowie przeszkadzili wam i zginie ona w tonącej łodzi pośród fal rzeki. A wówczas nie wiem, co bym uczynił, ogarnięty szaleństwem. - Urwał. - Wyglądało to tak, jak gdyby sama bogini kierowała łodzią!

- Bo też i tak było... - rzekł Harmostajos. - Stojąc już na pokładzie okrętu, słyszałem cię mówiącego o twym śnie proroczym i uwierzyłem ci! Jakże szczęśliwi są owi, którym pojawiają się bogowie i boginie niosąc im w darze piękne dziewczęta! - I parsknął śmiechem, lecz natychmiast pohamował się nie chcąc, aby inni usłyszeli. Sięgnął pod skórzaną kaftan i wyciągnął długą pustą trzcinę. - Przechowam to! - rzekł. - Albowiem spośród wielu

opowieści, które pragnę przekazać moim wnukom, jeśli bogowie mi ich użyczą, ta będzie powtarzana najczęściej w długie wieczory zimowe. Lecz któż mi uwierzy? -

Znowu się roześmiał. - Najbardziej obawialiśmy się, że płynąc głęboko pod wodą, rozminiemy się z ową łodzią...

- rzekł Białowłosa. - Czekaliśmy ukryci przy dziobie okrętu, a gdy owi ludzie pochylili się, by ją pchnąć, ruszyliśmy zanurzeni głęboko, trzymając owe trzciny w ustach i oddychając przez nie. Wiatr i fale marszczyły powierzchnię rzeki, więc nie obawialiśmy się, że nas dostrzegą z brzegu, gdy płynęliśmy z prądem. Później, będąc już pod łodzią, łatwiej było oddychać, gdyż trzymaliśmy je tu u burty i nikt nie mógł dojrzeć ich końców wysuniętych nieznacznie z wody. A powracając ku okrętowi, trzymaliśmy je w dłoniach, płynąc głęboko pod powierzchnią, aby przypadkiem woda nie wypchnęła któregoś z nas zbyt wysoko! - Harmostajos znowu się roześmiał.

- Bogowie! - rzekł Terteus. - Któż by pomyślał, że rzecz podobna może się udać!

I odszedł ku swojej pięknej żonie, oczekującej go przy ognisku w towarzystwie księcia, Perilawosa i starego Niasiosa. Albowiem bogom podobny Widwojos i Perilawos byli jedynymi, którzy wiedzieli, jak przemyślnie bogini doprowadziła łódź ku brzegowi. Nikt inny nie miał się tego nigdy dowiedzieć, co było rzeczą słuszną. Albowiem w chwili klęski lub niebezpieczeństwa niejeden mógłby zwrócić się przeciw Terteusowi mówiąc, że spowodził na okręt nieszczęście, kradnąc ofiarę należną obcemu bogu, który oto mści się za zniewagę.

A Harmostajos z Białowłosym raz jeszcze spojrzeli na swe wydrażone trzciny. Nie powiedzieli Terteusowi o tym, jak Białowłosa nie pragnąc wysuwać zbyt daleko wylotu swej trzciny, zanurzył go nieopatrznie i opił się

wody rzecznej miast powietrza, a później z pękającymi z bólu płucami pchał łódź ku brzegowi i zawrócił płynąc na oślep ku okrętowi, wiedząc, że nie wynurzy się, by zaczerpnąć tchu. Wiedział, że jeśli nie zdoła już ruszyć ręką, wówczas zmusi swe ciało, aby opadło na dno i tam skonało. Albowiem gdyby wypłynął, wówczas wszystko byłoby stracone, zginąłby oszalały z bólu Terteus, dziewczyna i zapewne wielu innych, gdyż na wybrzeżu rozgorzały bój. W ostatniej chwili dotknął palcami dna okrętu i z wolna wynurzył głowę, chwytając powietrze i kryjąc się w cieniu burty, choć nikt nie spoglądał wówczas w ową stronę, gdyż oczy wszystkich skierowane były ku łodzi, która cudownym sposobem wróciła ku brzegowi.

Lecz po cóż miał mówić o tym Terteusowi? Harmostajos, który znał prawdę, gdyż pomógł mu, półżywemu, wydzwignąć się na osłoniętą przed oczyma ludzi zewnętrzną burtę okrętu, także już o tym zapomniał. Byli młodzi, wszystko skończyło się szczęśliwie, a zresztą któż rozważa nieszczęścia, które nie nastąpiły, lecz mogły nastąpić? Głupiec jedynie, bowiem wszystko jest w ręku bogów.

Płynęli jeszcze przez dni trzy, aż napotkali osadę, gdzie spędzili noc i dzień, i noc następną. Synowie króla opowiedzieli mieszkańcom o cudownym wydarzeniu, więc oddawano im tam cześć niemal boską, a niewiasty obdarowały piękną Wasan sztukami płótna, gdyż nie miała żadnego odzienia, prócz owej białej szaty, w której Terteus przyniósł ją na okręt.

Następnego dnia napotkali odnogę rzeki, którą ruszyli ku zachodowi wśród głębokich jezior i bagien.

Dzień ów wstał ciepły i słoneczny. W południe osiągnęli miejsce, z którego dostrzec można było z dala inną rzekę, płynącą ku północy.

Tam też, ściąwszy w okolicy wiele drzew i wyciosawszy z nich kloce, przetoczyli z wolna Angelosa. Zajęło im to nowe trzy dni.

Nadszedł wówczas czas rozstania z królewskimi synami, którzy rzekli im, że rzeka owa doprowadzi ich na północ i ku zachodowi, jak słyszeli od kupców, a dalej płynąc dotrą do morza.

Piękna Wasan łzami pożegnała braci i długo spoglądała za nimi, gdy oddalali się idąc przez zieleniejącą już łąkę ku łodzi swej pozostawionej na brzegu owej rzeki, którą niedawno opuścili.

A gdy załoga zepchnęła Angelosa na wodę i dziób jego skierował się ku północnemu zachodowi, odetchnęli wszyscy, bowiem po raz pierwszy od wielu miesięcy nie płynęli pod prąd, lecz z prądem, a mogło to oznaczać tylko jedno. Albowiem wszystkie rzeki zdrażają ku morzom, a płynąc pod prąd żeglarze muszą się od mórzwych oddalać.

Rozpięto wielki żagiel i potężna głowa Byka załopotwała po raz pierwszy nad tą rzeką, chwyciwszy ciepły południowy powiew wiatru.

Płynęli tak dni osiem, opuściwszy krainę bagien i przemierzając budzącą się do życia pod wiosennym słońcem ogromną puszcę, zarastającą oba brzegi. Rzeka zmieniła kierunek i pochyliła się ku zachodowi, a później nawet ku południowi. Wezbrany jej nurt płynął szeroko i rozlewał zatapiając nawet podmokłe lasy, tam gdzie brzegi były niskie.

Utrudniało to nieco żeglugę, lecz raz znalazłszy się pośrodku rzeki Angelos mknął jak jaskółka. A choć wody, które pruł, były mętne i burzliwe, słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie.

Ludzi ni osad ludzkich nie napotkali być może dlatego, że małe łodzie z trudem mogłyby utrzymać się na nurcie, a potów ryb także nie przyniosłby owocu. Osady, jeśli minęli je, znajdowały się zapewne w głębi, ukryte w lesie za rzeczną odnogą lub wśród puszczy, gdzie napastnik niełatwo może dotrzeć.

Dziewiątego dnia rankiem ujrzeli inną wielką rzekę, zmierzającą na spotkanie tej, którą płynęli, a w miejscu gdzie nurty ich zlewały się z sobą, by wspólnym korytem ruszyć ku północnemu zachodowi, dostrzegli na wysokim brzegu okolone wysokim ostrokołem miasto, a niżej przystań.

Lecz łodzie wyciągnięto daleko od brzegu zalewanego falami przyboru wód, a choć dostrzegli z dala ludzi stojących przed bramą owego grodu, minęli go płynąc ze zwiniętym żaglem i połową wiosł, które bardziej służyły im do sterowania okrętem niżli do poruszania go ku przodowi, bowiem nurt niósł ich z niebezpieczną szybkością i groził zatopieniem, gdyby nagle przed dziobem pojawiła się nieznana przeszkoda.

Tego wieczora wpłynęli w ujście spokojnego dopływu wielkiej rzeki i zatrzymali się tam, przybiwszy do brzegu przyzległej otoczonej dębami polanie. Nie wiedzieli, że przyjdzie im tam pozostać niemal przez dni osiem, bowiem wielka rzeka wezbrała jeszcze bardziej i żółty, spieniony nurt z rykiem począł podmywać brzegi, walać w wodę stare drzewa i wyrывая krzewy, które splątane płynęły unosząc się na wysokich rwących falach. Próba dalszej podróży byłaby szaleństwem, gdyż okręt nie słuchając sterów roztrzaskałby się o brzeg lub zatonął rozbity przez pnie pędzących drzew.

Na piąty dzień powódź zaczęła opadać, a gdy wreszcie wyruszyli z ujścia owego dopływu, pożegnawszy piękną polanę, rzeka nadal była mętna i niespokojna, lecz z wolna powracała do swego koryta, a jedynie pnie i gałęzie leżące na brzegach świadczyły o sile żywiołu.

Gdy minęły jeszcze cztery dni, rzeka skręciła ku północy. Wiosenne wody opadały ciągle, a ranki stawały się coraz cieplejsze i łąki nadbrzeżne pełne były kwiatów i rozśpiewanych ptaków.

Gdy nad głowami ujrzeli po raz pierwszy bociana, którego pożegnali w dalekiej ojczyźnie, wznieśli radosny okrzyk. Albowiem uwierzyli, że bogowie pozwolili im opuścić owe krainy chłodu, mroków i trzęsawisk, a powracają wreszcie ku światu tonącemu w blasku słońca, gdzie w błękitnym przestworzu unoszą się ojczyste ptaki. Wiatr nieustannie dał z południa, podnieśli więc wielki żagiel i płynęli środkiem szerokiego nurtu, weseląc się i śpiewając, pełni najlepszych nadziei.

Aż wreszcie, gdy minęły jeszcze trzy dni, w południe czwartego dnia rzeka opuściła lasy i rozlała się szeroko po płaskiej bezdrzewnej równinie, porośniętej aż po widnokrąg wysoką: trawą.

Piękna Wasan siedziała na dziobie, wsparta o drewnianą osłonę, i wystawiwszy lico ku słońcu zszywała kościaną igłą krótką tunikę, którą uczyniła sobie z części płótna ofiarowanego jej przez uprzejme niewiasty. Od czasu do

czasu unosiła jasną głowę znad swej pracy i zerkąła na Terteusa, który stał nieruchomo, wpatrując się w daleki widnokrąg. Za każdym razem, gdy poczuł na sobie jej spojrzenie, odwracał ku niej oblicze i uśmiechał się. Lecz gdy uczyniła to teraz, nie spojrzął na nią.

Stał wychyliwszy się jak najdalej ponad dziobem prującym spokojne wody, jak gdyby pragnął przybliżyć oczy swe do zajmującego go widoku.

- Bogowie! - rzekł półgłosem.

- Terteusie? Co? - rzekła, bowiem uczyła się już z wolna jego mowy.

Nie odpowiedział. Nie spojrzawszy na nią nawet, przeskoczył przez jej wyciągnięte smukłe nogi i ruszył szybko ku masztowi, pod którym rozpięty był purpurowy niegdyś, a dziś szary i spłowiały namiot księcia.

Wszedł pochyliwszy głowę. Widwojos spał na rozciągniętej na deskach skórze niedźwiedziej, a syn jego rylcem na glinianej tabliczce spisywał to, co przydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Czynił tak nieustannie, choć nikt nie wiedział o tym prócz Białowłosego, którego próbował nauczyć sztuki stawiania znaków, lecz nie nauczył, być może dlatego, że nigdy nie mieli dość czasu i cierpliwości, by doprowadzić rzecz do końca.

Nie zwracając nań uwagi, Terteus pochylił się i gwałtownie potrząsnął ramieniem księcia, który otworzył oczy i siadł szybko, sięgając po miecz, gdyż sądził, że w pobliżu musi znajdować się nieprzyjaciel, jeśli zbudzono go tak nagle.

- Książę! Boski książę!

- Cóż się stało? - Zerwał się, pochyliwszy głowę, aby nie uderzyć nią w dach namiotu.

- Nie wiem...-rzekł Terteus cicho.-A lękam się rzec o tym, co ujrzałem, gdyż być może bogowie odjęli mi rozum! Pójdź sam, boski książę!

Perilawos, słysząc to, także poderwał się i razem wyszli na pokład.

Miał słuszność Terteus, inni także dostrzegli już to, co on ujrzał pierwszy.

Wstali wszyscy z ław i patrzyli w milczeniu, przecierając oczy i zaciskając zęby, aby na dźwięk ich głosu złudzenie nie rozwiało się.

Albowiem na krańcu równiny, tuż u jej zbiegu z rozległym widnokregiem, dostrzegli szeroką, niebieską równinę, na której promienie słońca igrały migotliwym blaskiem.

A choć byli już niemal pewni, czekali, podczas gdy Angeles pod wzdętym żaglem zmierzał w owym kierunku.

Wielka biała mewa zakołysała się nad okrętem i odpłynęła ważąc się na ostrych skrzydłach.

Patrzyli nadal. Ujście rzeki rozbiegło się jak otwarty kielich kwiatu i pierwsza fala podeszła pod dziób okrętu.

Angelos zakołysał się i dziób jego przeciął następną falę, a później trzecią...

I wówczas dopiero, widząc nadbiegające, lśniące w słońcu białe grzywy, poczęli krzyczeć, bijąc się nawzajem po ramionach, płacząc i wyciągając ręce ku owej rozległej płaszczyźnie.

- Morze! - wołali jeden przez drugiego. - Morze!

Morze! Morze!

A później zamarli jedni z wyciągniętymi ramionami,

inni z dłońmi zwiniętymi w pięść i przyłożonymi do czoła. I niejednemu wydało się... choć może był to jedynie odległy biały obłok... że przez łyzy macające wzrok dostrzega białe oblicze Posejdona, jedynego Pana owej niezmierniej równiny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na pół ukryty
w mokrym piasku

Wiatr dał z południa, wypłynęli więc daleko w morze, kierując dziób ku północy, nim na znak Terteusa nie zwinięto żagla i z wolna, na wiosłach, okręt nie skierował się ku widocznemu na zachodzie niskiemu półwyspowi. Gdy zbliżyli się, dostrzegli, że półwysep ów jest łańcuchem piaszczystych wysepek, wybiegających od strony ukrytego w mgiełce słonecznej łądu i kończących się pośrodku morza największą wyspą, rozległą i nieco wyżej wzniesioną niż inne.

Lecz nim przybyli do pokrytego sypkim, złotawym piaskiem brzegu tej wyspy, bogom podobny Widwojos otworzyć kazał ostatni pithos z winem, który przechował przez zimę i czas wiosennej wędrówki, wierząc w duchu, że być może nadejdzie kiedyś chwila, gdy go otworzą, by uczcić boga wód niezmiernych.

Rozdano załodze płytkie gliniane puchary. Później książę zmieszał wino z wodą w dwu wielkich kraterach, a uczynił to sam, gdyż przeznaczone było ono na ofiarę. Podchodzili kolejno, wstając z ław. A później powracali z pełnymi pucharami, ostrożnie, by nie uronić nawet kropli na deski dna okrętu, gdyż byłoby to złą wróżbą. Wreszcie książę uniósł puchar i podszedł do nawietrznej, aby wiatr nie zwał ofiary na powrót i nie prysnął winem na pokład.

- Panie! - zawołał donośnie i zamilkł, jak gdyby oczekując odpowiedzi. - Panie! - powtórzył. - Otc przeprowadziłeś nas przez niezmierny i dziki świat barbarzyński, abyśmy mogli na smukłym okręcie znów dosiąść twych białogrzywych koni! Przyjmij dzięki nasze i niechaj łaska twoja doprowadzi nas szczęśliwie do brzegów, które opuściliśmy!

To mówiąc wyciągnął ramię i ulał z puchara wina, które ciemną strugą opadło w dół i zmieszało się z łagodnie pomarszczoną wodą zatoki. Inni uczynili podobnie i przez chwilę okręt kołysał się lekko, gdyż nie było nikogo, czyja dłoń dotykałaby wiosła lub sterów.

Wypili, rzucili puchary w morze i pozdrowili boga.

Później zasiedli na ławach, a zręczny Eriklewes doprowadził okręt do łagodnego brzegu.

Gdy wyciągnęli Angelosa na piasek i podparli, część załogi pozostała na miejscu dla przygotowania posiłku i ściągnięcia gałęzi na ogień, gdyż środek wysepki porośnięty był niskimi sosnami. Inni w pełnym uzbrojeniu ruszyli na obchód tego niewielkiego piaszczystego łądu.

Białowłosy ruszył za innymi wraz z młodzieńcem, którego zwano Deukionem. Choć tak długo płynęli już razem, mało go znał, gdyż Deukion nie był rozmowny. Wiedzano jedynie, że nim wsiadł na okręt, był tym, który dmie w miech u wytapiacza metali.

W Amnizos i Knossos wiele było takich warsztatów, niektóre z nich zajmowały się wykuwaniem oręza oraz naczyń z brązu i miedzi, inne jedynie uzyskiwaniem samego metalu, którego niewiele było na wyspie, a kupo-

wano go na Cyprze, zwłaszcza miedź, którą sprowadzano stamtąd okrętami, w surowych, kruchych bryłach, aby przetapiać na miejscu.

Także i dziś Deukion nie był rozmowny, choć zarówno on jak Białowłosa radowali się, że Angeles przebył całą szerokość owego olbrzymiego ładu, przez który przedarł się z takim trudem, tracąc ośmiu żeglarzy, a nieraz znajdując się blisko całkowitej zagłady.

Oddzieliwszy się od kilku innych par wojowników, którzy wyruszyli wraz z nimi, poszli wzdłuż brzegu. Zaginający się lekko ku lądowi łańcuch wysepek tworzył jak gdyby zatokę, obejmującą szerokim ramieniem spory obszar morza, gdzie fala była płytka jak na jeziorze. Z przeciwnej strony wybrzeże wyspy wystawione było ku pełnemu morzu. Fala uderzała tam ostrzej, wybiegając daleko na miękki, ciepły piasek i cofając się z cichym szumem. Tu właśnie doszli obaj, idąc krawędzią piasków i przyglądając się niskim, niemal karłowatym drzewom, rosnącym pośród wysokiej ostrej trawy nadmorskiej i kolczastych krzewów.

Wyspa zdawała się zupełnie bezludna i na piasku nie widać było żadnych śladów człowieka ni zwierzyny. Jedyne żywe istoty były niezliczone mewy, które krążyły nad głowami idących i kołysały się na przybrzeżnej fali, pokrzykując ku sobie. Na widok ludzi zrywały się bez płochliwości, gdyż były zbyt leniwe, by odejść.

Słońce przygrzewało mocno.

- Zapewne nie zostaniemy tu długo - rzekł Białowłosa rozglądając się. - Nie ma też żadnej zwierzyny, którą można by upolować, pozostaną więc jedynie placki i ryby, a przecież w pobliżu ciągnie się rozległy ład, który opuściliśmy, pełen saren, ptactwa i zajęcy. Widać go stąd jak na dłoni w oddali. Jutro po naradzie z Terteusem księżę każe podnieść żagiel i ruszymy wzdłuż wybrzeża! Przekonasz się wkrótce, że wróżba moja jest prawdziwa.

- Tak będzie... - Deukion skinął głową. Było ciepło, wyruszyli więc bez hełmów, pancerzy i nagolennic, a jedynie w opaskach na biodrach, opasani, / mieczami w pochwach i trzymając włócznie w dłoni. Nikt zresztą nie wierzył, aby na tej małej wysepce mogli natrafić na przeważającego wroga.

Ciemne, długie włosy Deukiona rozwiały się na wietrze.

- Nie zapominaj, po co przybyliśmy tutaj - dodał zgarniając dłonią czuprynę, która opadała mu na oczy. Białowłosa nie pojął jego słów.

- Po co?

- Jakże to? - Deukion roześmiał się i zaraz spoważniał. - Cóż powiedziano nam, gdy wyruszaliśmy na tę wyprawę? Przecież sam nieraz mówiłeś z boskim księciem, a Terteus przewodzący załodze jest twym przyjacielem i razem przybyliście na Kretę. Winienesz wiedzieć więcej niżli inni, a chcesz mi rzec, że nie wiesz, po co płyniemy? Czy pragniesz, bym ci uwierzył?

- Czyżbyś myślał o owej krainie bursztynu?

- A o czym by innym?

Deukion zamilkł. Ruszyli dalej w milczeniu.

- Czy wierzysz, że napotkamy ją? - zapytał znów Białowłosa bez wielkiego zaciekawienia.

Tak wiele rozmyślał w ciągu nieskończonego długich dni o nienawiści Minosa wiszącej nad księciem i jego synem,

że zapomniał niemal o celu wyprawy. Wydawało mu się, że znajdują się w nieustannej ucieczce, a przyczyna, którą książę podał wypływając z Amnizos, nie była przecież ważna. Mógł podać sto innych. Ważne było jedno, unieść żywot daleko poza lądy i morza, nad którymi królował znak podwójnego topora. Od chwili gdy opuścili Troję, wiedzieli przecież, że nie ma dla nich powrotu na Krete, dla żadnego z nich, ani dla bogom podobnego Widwojosa, ani dla któregokolwiek z wioślarzy. O tym, co nastąpi, gdy Angeles dotrze do owego morza na północnych krańcach świata, nie myślał niemal. Zresztą to Minos przecież wysłał tę wyprawę po bursztyn, nie rozważając nawet tego, czy dotrze ona do owej krainy, czy też nie, miała bowiem zniknąć z powierzchni ziemi, nim opuści granice znanego świata.

- Czy wierzę, że napotkamy ową krainę bursztynu? - Deukion zatrzymał się i spojrział na niego. - Gdy pracowałem u kupca Angoreusa, czynił on w swych warsztatach kolczyki, pierścienie, pieczęcie i naszyjniki z różnych kamieni i metali... z żelaza nawet... - dodał z cichą dumą.

- Były tam także bursztyny, niewiele, lecz przywożono je z zachodu. Kupcy fenicyjscy są jedynymi, którzy wiedzą, skąd przybywają. Lecz nie o tym chciałem ci rzec: bursztyn wygląda jak zwykły kamień, a dopiero gdy jest rozłupany, dojrzeć możesz ową złocistą barwę i połysk. Stąd wiele traci się szlifując kamień. A nie ma go ani w Egipcie, ani też w górach, ani na wybrzeżu lub w Grecji, gdyż wiadano by o tym. Wszyscy mówią, że przybywa z północy, przez krainy barbarzyńców... - Zastanowił się. - Lecz kryje się pod marną powłoką. Tym, którzy go nie znają, niełatwo go znaleźć. Nie lśni on jak złoto, srebro lub owe kamienie, które czasem błyskają w skałach. Wygląda niemal tak...

To mówiąc pochylił się i podniósł niewielki, białozółty kamień na pół ukryty w mokrym piasku.

- Piękny nie jest... - Białowłosey uniósł drugi kamień, leżący nie opodal pierwszego i zaczął obracać go w palcach bez zaciekawienia.

- A cóż to?! - rzekł nagle Deukion. - Pokaż! - Wyjął kamień z ręki Białowłosego i obejrzał oba z bliska, trzymając je na rozpostartej dłoni. - Daj nóż! Białowłosey sięgnął ku szyi, gdzie wisiał nóż, z którym nie rozstałby się za wszystkie bursztyny świata. Podał go Deukionowi, który położywszy miecz na płasko na piasku, oparł u jego brzeszczot jeden z kamieni i przyłożywszy do niego ostrze noża, lekko uderzył zwiniętą pięścią, a później ponowił uderzenie. Nóż zagłębił się nieco w powierzchnię kamienia. Wówczas Deukion uderzył mocniej. Kamień pękł na pół, ukazując ciemnozłote szkliste wnętrze.

- Bogowie! - zawołał cicho. - Rozbiłem go na pół, a za cały mógłbym kupić młodego niewolnika lub cztery owce, jeśli nie więcej! Cóż uczyniłem w głupocie mojej?!

- O czymże mówisz? - Białowłosey ukląkł w piasku i wziąwszy do ręki odłupaną połowę kamienia począł się jej przypatrywać.

- To bursztyn! - rzekł Deukion i przetarł oczy dłońmi.

- Czyżby bogowie rzucili czar na nas?! Jakże to możliwe, abyśmy znaleźli ów skarb, droższy niżli złoto i żelazo, leżący w piasku nadbrzeżnym?

Wyprostował się gwałtownie, chwycił miecz i wsunął do

pochwy, a później rozejrzał niepewnie, jak gdyby nie wierząc własnym oczom.

Ruszyli z wolna wzdłuż wybrzeża znajdując jeszcze osiem kamieni. Później, biegnąc niemal, zawrócili ku obozowisku.

- Boski książe! Boski książe!

Deukion dobiegł zdyszany do ogniska, przy którym siedział na skórze niedźwiedziej bogom podobny Widwojos, a naprzeciw niego piękna Wasan rozmawiająca ze 4-Czarne okręty t. IV

starym Nasiosem. Zatrzymali się obaj tuż przed księciem, a Białowłosey pierwszy wyciągnął dłoń, w której ścisnął trzy znalezione przez siebie bursztyny i złożył je na skórze u jego stóp.

- Cóż to jest?! - Terteus, który wraz z Perilawosem i Kamonem zbliżał się właśnie od strony drzew, przyspieszył dostrzegłszy dwóch wojowników nadbiegających od strony wybrzeża. Ludzie, zajęci swymi pracami wokół ogniska, także przybliżyli się z zaciekawieniem.

Książę wziął do ręki jeden z kamieni, a później drugi i pozostałe. Naokół stali milczący żeglarze wpatrując się w nie, jak gdyby bogowie naprawdę rzucili na nich czar. Książę powstał.

- Dzielni towarzysze moi! - zawołał donośnie, unosząc dłoń, w której trzymał największy ze znalezionych przez Białowłosego bursztynów. - Radujcie się, gdyż oto stało się to, w co nie mogłem uwierzyć w głębi ducha mego, choć wyruszyliśmy na tę wyprawę, by dotrzeć, nie bacząc na trudy i niebezpieczeństwa, do krainy bursztynu! Zaledwie stopy nasze dotknęły tego wybrzeża, a oto dwaj żeglarze, którzy wraz z innymi wyruszyli dla zbadania tej małej wyspy, znaleźli w ciągu krótkiego czasu tyle kamieni, ile wystarcza, by co najmniej jeden z was stał się bogatym i znacznym człowiekiem! Wierzyć więc wypada, że piaski te kryją wiele jeszcze podobnych skarbów, oczekujących nas, gdyż, jak powiada dawna mądrość naszego ludu, bogowie najbardziej miłują dzielnych!

A któż dzielniejszy niżli wy, którzy cały świat przebyliście? Ruszajmy więc niezwłocznie na poszukiwania, a jeśli okaże się, że wyspa ta zawiera wielkie bogactwo, podobne lub większe niżli to, o jakim śniliśmy, postanowimy, co dalej należy z nim uczynić!

I pierwszy ruszył ku wybrzeżu, a inni poszli za nim, wzniosłszy radosny okrzyk.

Szukali wszyscy, chwytając w dłonie każdy niemal kamyk nadbrzeżny i znajdując wiele tych, których poszukiwali, lecz bohaterem dnia stał się Perilawos, który idąc wzdłuż brzegu po kostki w wodzie dostrzegł nagle czystą bryłę bursztynu wielkości pięści dojrzałego męża. A była ona tak przejrzysta, piękna i foremna, że zebrali się wszyscy wokół niego, patrząc z wielkim podziwem, gdyż nawet boski Widwojos, nie widział podobnej w skarbcu królewskim, jak rzekł.

Był już niemal zmierzch, gdy powrócili do gorejącego wysokim płomieniem ogniska, rzucając kolejno łup swój na rozpostartą niedźwiedzią skórę. Postanowiono bowiem, że jeśli wyprawa powróci na Kretę, połowa zbranego bursztynu spocznie w skarbcu pałacowym Knossos, a druga podzielona zostanie pomiędzy wszystkich żeglarzy, którzy wyruszyli na pokładzie Angelosa. Podział będzie równy, nie bacząc, czy ów, na kogo część przypada,

jest sternikiem, księciem czy zwykłym wioślarzem. Jeśli natomiast bogowie zawiążą załodze drogę powrotu, wówczas zebrane bogactwa posłużą do ustanowienia nowego królestwa, bądź na stałym lądzie, bądź też na żyznej i pięknej, napotkanej w drodze wyspie.

A nie było w owym postanowieniu zbytnej chępliwości; gdyby bowiem udało się im powrócić z kilkoma pełnymi pithosami bursztynu, mogliby wówczas nakupić okrętów, broni, naczyń, narzędzi, ziarna, zwierząt i niewolników, ile by tylko zapragnęli, a wiele jeszcze bogactw pozostałoby im na czas przyszły.

Piękna Wasan czyściła przynieszone kamienie rąbkami swej płóciennej krótkiej szaty, układając je w złociste szeregi, a nim nastąpiła ciemność, nagromadzili ich tyle, że mocny człowiek zaledwie zdołałby udźwignąć ów skarb, gdyby wsypano wszystko do jednego worka.

Nie wszystkie bursztyny jednak były równie piękne jak ów znaleziony przez Perilawosa, a niektóre były mniej czyste i wyglądały jak gdyby "leżały w mleku, nie w morzu" - jak to określił Harmostajos.

Tej nocy, choć byli strudzeni długą podróżą, żaden z nich nie usnął prędko. Leżeli rozmawiając i snując marzenia o przyszłym życiu, pełnym dostatków i szczęścia dla nich samych i czekających w domu rodzin, gdziekolwiek los ich rzuci.

Albowiem pewni byli, że piaski tego wybrzeża kryją nieskończoną ilość owych bezcennych żółtych kamieni, które zdawały się tu leżeć od początku świata, a jeśli nawet wysepkę tę odwiedzali czasem ludzie, zapewne byli to nieokrzescani barbarzyńcy, nie pojmujący, po jakich skarbach deptają ich stopy. I choć nikt z nich nie wiedział, którędy wiedzie droga powrotu i jakie niebezpieczeństwa czyhają na niej, wszystko od owej chwili wydało im się łatwe i proste. Żałowali też umarłych towarzyszy, którzy, choć polegali broniąc Angelosa, nie będą z nimi w dniu podziału skarbów i nie zazną wiekuistej sławy, należnej odkrywcom krain tak dalekich i pełnych bogactw.

Nawet bogom podobny Widwojos i syn jego także nie usnęli prędko, bowiem i ich myśli błądziły wokół bursztynów.

Kamienie zsypane do wielkiego glinianego dzbana stały przy płonącym ognisku, gdyż nikomu nie wpadło na myśl przenieść je na okręt. Pragnęli je mieć w pobliżu, choć na tę noc.

- Ojcze! - rzekł Perilawos cicho. - Jeśli nazbieramy dość tych kamieni, rozpocznie się czas powrotu. Gdzież się udamy?

W głosie jego nie było radości. Póki płynęli, zdążając ku nie znanemu miejscu na krawędzi świata, mogli walczyć o to, by przebić sobie drogę, uratować życie, uchronić okręt i zdobywać jado konieczne do przetrwania. Cel był wciąż przed nimi, daleki i nie znany. Lecz oto dziś zakończyła się ich wędrówka przez niezmierny, barbarzyński ląd i wypłynęli na Morze Północy. A zaledwie na nie wypłynęli, przekonali się, że są u celu podróży. Od dziś pozostawał im już tylko powrót.

- Gdzież się stąd udamy, ojcze? - powtórzył, gdyż bogom podobny Widwojos zdawał się nie słuchać. Leżał przymknawszy oczy nakryty skórą niedźwiedzia, którą wielce polubił od dnia, gdy Perilawos wraz z innymi zabił owego potwora w lesie otaczającym osadę na palach.

Lecz syn jego, patrząc na migotliwe blaski ogniska pełzające po szczupłej, ogorzałej twarzy ojca, wiedział, że księżę nie śpi. I miał słuszną rację, gdyż Widwojos uniósł powieki.

- Miał już rok, odkąd opuściliśmy Knossos. W ciągu roku wiele się mogło wydarzyć i brat mój, uznawszy nas za przepadłych, rządzi swym królestwem bez niepokoju. Lecz jeśli dowie się, że Angelosa ujrzano gdziekolwiek na powierzchni mórz, po których żeglują jego okręty, wpadnie w przerażenie. Gdybyśmy mieli powrócić, wioząc z sobą tak wielki skarb i wskazując Krecie drogę do bursztynu, którą flota złożona z dziesięciu dobrze wyposażonych okrętów, korzystając z naszego doświadczenia, mogłaby przebyć tam zapewne i na powrót w ciągu jednego roku, czy nie uznano by nas za najdzielniejszych i najślawniejszych synów Byka? Osiągnęliśmy przecież granice świata, a powrócilibyśmy wioząc wory bursztynu jako widome świadectwo naszych czynów. Czyż ty, ostatni potomku krwi Minosa, nie zostałbyś w ciągu jednego dnia otoczony miłością całego ludu? Czy nie śpiewano by pieśni o tobie i o mnie? Czy nie czekano by z utęsknieniem, aż wstąpisz na tron władców naszego królestwa, aby poprowadzić Kretę ku nowym, nie znanym dotąd zwycięstwom? Cóż stałoby się wówczas z miłością i wiernością dla obojętnego na wszystko, nie dbającego o sławne czyny króla, który wysłał nas na pewną niemal śmierć i uczynił wszystko, aby spotkała nas ona jeszcze przed odbiciem od przystani trojańskiej? A przecież nie dałoby się niczego ukryć, gdyż wydarzenie to znane jest całej załodze Angelosa. Jakże mielibyście stanąć obok siebie, ty, smagły od słońca i z solą wielu mórz na wargach, młody, dzielny i już doświadczony dzięki tej największej z wypraw, i on, gnuśny, bezdzietny i starzejący się w swym pałacu pośród grona pochlebców, równie niedbałych o przyszłość Krety jak ich władca? Cóż więc musi wówczas uczynić, nim sława nasza i miłość ludu obudzona legendą tej wyprawy zmiotą go z tronu, a zapewne pozbawią także życia? Odpowiedz mi!

Perilawos milczał przez chwilę.

- Więc nie powrócimy do przystani w Amnizos... - rzekł cicho i skinął głową, jak gdyby przytwierdzał jakiejś myśli, którą wypowiedział w duchu.

- Więc nie powrócimy do przystani w Amnizos... - Widwojos siadł na posłaniu ze skór i wpatrzył się w ogień. Z dala, na tle gwiazd, widział rosłą postać przechadzającego się wartownika, ponad którego głową migotał wysoko czerwony płomyk odbity od lśniącego ostrza spiżowej włóczni. Dalej jeszcze rysował się czarny kadłub okrętu, a jeszcze dalej szumiała cicho rozległa zatoka. Stamtąd, gdy lekki nocny wietrzyk zawiewał nieco mocniej, dochodziła woń traw i kwitnących nocą ziół pobliskiego lądu. Księżę spojrział na syna. - Nie powrócimy do Amnizos... lecz powrócimy do świata. Ukryci w bezpiecznym zakątku będziemy czekali. Być może prześlemy wieść o sobie i o naszej wyprawie tym, którym będziemy mogli zaufać, lub tym, którym Minos wyrządzi krzywdę, co na jedno wychodzi. A tacy się znajdują. Nie ma bowiem władcy, którego wszyscy kochają, gdyż ów, który rządzi, musi jednych krzywdzić, a innych nagradzać. A cóż dopiero mój boski brat Minos! Zapewne skrzywdzi on wielu, a nagrodzi nielicznych. Nie wiemy jednak o tym

niczego pewnego, więc wstrzymajmy się, póki nie uzyskamy pewnych wieści. Daleka jest jeszcze droga przed nami, mój synu. Pociesza mnie jedno: ów skarb tu znaleziony, który zapewne urośnie jutro i dni następnych. Gdy trudno przypuścić, abyśmy postawiwszy nogi na przypadkowej wysepce natrafili na najbogatszy zakątek tej krainy bursztynu. Jest to miejsce bezludne, a przecież nie z bezludnych okolic przybywa bursztyn na południe. Więcej być tu musi takich piaszczystych wybrzeży, gdzie leży on czekając na tych, którzy pokonawszy niezmierzone niebezpieczeństwa, zapragną go podnieść. Mając ów skarb nie jesteśmy biedakami, choć byliśmy nimi jeszcze wczoraj. Albowiem wszystko, co posiadałem dotąd, pozostało w Knossos. Wierzę, że ów skarb bursztynowy wspomże nas wielce. Bogactwo bowiem jest potęgą równie wielką jak wojska i okręty. Umie ono przemienić myśli ludzkie, nakazując kochać tych, ku którym serce się skłania. Słowem: może być ono rzeczą mądrą i straszliwą. A nie ustane w staraniach, aby nasze było jednym i drugim!

- Pojmuję cię... - rzekł Perilawos sennie. - Ciesz się, że z wszystkich owych kamieni ów, który ja znalazłem, jest najpiękniejszy...

Ziewnął i owinał się szczelniej, gdyż od pełnego morza nadbiegł chłodniejszy powiew. Ognisko dogasało i mrok opadł na leżących wokół niego ludzi. Bogom podobny Widwojos westchnął i opadł na swą niedźwiedzią skórę. W tej samej chwili, nim dotknął posłania, coś wypadło ze świstem z ciemności, mknąc powietrzem minęło jego głowę i ocierając się o nią niemal rozpląnęło w mroku. Widwojos znieruchomiał. Leżał przez krótką chwilę zastanawiając się, czy nie było to przywidzenie sennego umysłu.

- Chwytajcie za broń! Za broń!

Okrzyk dobiegł od strony okrętu.

Książę zerwał się i dostrzegł, że wraz z nim podrywa się Perilawos sięgając po tarczę i miecz. Ludzie wstawali szybko, chwyając za oręż.

Lecz że nic nie nastąpiło po owych okrzykach, stali nie wiedząc co czynić, a niektórzy odsunęli się jedynie od ognia, bacznie wpatrując bystro w otaczającą ciemność.

Widwojos dostrzegł Terteusa, który usnął wraz z małżonką swoją w pewnym oddaleniu od innych. Teraz młody żeglarz wbiegł w krąg blasku rzucanego przez ognisko i zniknął pędząc z obnażonym mieczem ku okrętowi.

Usłyszeli pytanie, które zadał wartownikowi, i dwa głosy odpowiadające prędko.

W chwilę później Terteus wynurzył się z mroku, niosąc w dłoni długi, wąski przedmiot. Podszedł do ognia i przyjrzał mu się.

- Kreteńska... - rzekł ze zdumieniem. Później, unosząc strzałę nad głową, zawołał: - Przybliżcie się wszyscy! A niech kto dorzuci do ognia! - Zwrócił się ku Widwojosowi: - Boski książę, strażnicy czuwający przy okręcie słusznie uczynili budząc nas, albowiem gdy przechadzali się obok niego po piasku, usłyszeli świst i strzała uderzyła nisko, tuż nad ziemią, wbijając się w deski dna. Wyrwałem ją i oto jest! To nasza strzała, a nadbiegła ku okrętowi od obozowiska! Świadczy o tym jej lot, bowiem wbiła się tak, że gdy poprowadzić po niej okiem, natrafia ono na

ognisko, przy którym spaliśmy! Lecz któż, na bogów, mógł strzelić? Nie pojmuję tego, bowiem biegła nisko i nisko się wbiła. A gdyby ktoś z leżących dźwignął się wówczas, przebiłaby go niechybnie.

Słowa te wypowiedział półgłosem, lecz kiedy trzymając strzałę zwrócił się ku ludziom gęsto stłoczonym wokół ognia, mówił donośnie i wolno, aby każde słowo dotarło do nich:

- Oto strzała z naszych okrętowych zasobów, grot taki i podobne osadzenie znane są jedynie na Krecie, jak to wiecie dobrze, a inne ludy czynią rzecz tę inaczej. Nie nadbiegła ona z daleka ku burcie naszego okrętu, w której uwięzła! Rzeknijcie, który z was strzelił i czemu? Jeśli uczynił to przypadkiem, próbując cięciwy przed uśnięciem, niechaj wystąpi i powie to. Abyśmy wiedzieli! A nikt go nie ukarze. Nikt bowiem nie mógł uczynić tego żartem, gdyż strzelając w ciemność i wiedząc, że przy okręcie przechadzają się wartownicy, mógł ugodzić któregoś z nich!

Odpowiedziało mu milczenie. W rosnącym blasku ognia ludzie spoglądali po sobie.

- Czy nie ma takiego? - zapytał Terteus raz jeszcze. Znowu odpowiedziała mu cisza.

- A więc być może przydarzyło się to któremuś z was, gdy śniąc o minionych bojach z nieprzyjaciółmi, których napotkaliśmy, bezwiednie chwycił łuk i strzelił nie pojmując nawet, że to uczynił? Czy śnił z was który, że strzela z łuku?

Ponowne milczenie. Nikt nie odezwał się.

- A czy nie dostrzegł z was który, że towarzysz jego sięga po łuk?

- Spałem jak dziecko - rzekł Metalawos o potężnych ramionach - i śniłem o skarbach, które dam matce mojej. Bowiem trzusi się ona od świtu do nocy w cudzym sadzie oliwnym, odkąd podrosła i przestała być dzieckiem. Za owe bursztyny uczynię ją panią wielu niewolnic, które będą się trzusić dla niej.

Inne pomieszane głosy zdawały się mówić rzeczy podobne, a wszyscy zaprzeczali, aby dostrzegli owego strzelca. Terteus wzruszył ramionami.

- Niechaj wie ów głupiec czy nikczemnik, który strzela dla żartu lub innej przyczyny nad głowami swych śpiących towarzyszy, iż śmiercią będzie ukarany, aby nie zabawiał się tak więcej i nie mógł tego uczyć dzieci swoich! Więcej

nie mam wam co rzec, bowiem do jednego z was mówię,
choć nie wiem, do którego!

I odwrócił się.

Mrucząc i rozmawiając przyciszonymi głosami ludzie
rozeszli się i ponownie ułożyli do snu.

- Nim odejdiesz, by spocząć u boku twojej pięknej
małżonki, pragnę, Terteusie, zamienić z tobą słów kilka...

Bogom podobny Widwojos skinął na niego nieznacznie
i odeszli w ciemność, a Perilawos wraz z Białowłosym,
który pozostał przy młodym księciu, ruszyli za nimi.
Gdy zatrzymali się nad ciemnym brzegiem zatoki,
książę rzekł spokojnie:

- Strzała owa była przeznaczona dla mnie!

I opowiedział im, jak minęła go szczęśliwym trafem,
gdyż ów, który puścił cięciwę, uczynił to w tejże chwili,
gdy on opadł na posłanie, a przebiegła ona tuż nad jego
głową, nim zdążył lec na ziemi.

- Ojczy! - rzekł Perilawos. - Któż z nich odważyłby
się... Nie, któż z nich pragnąłby twojej śmierci?! Nie
uwierzę w to! I

tobie jedynie m
utracili: dom, ..
tam, gdzie żade
wiedząc, że włac
zawsze!

- To prawda
ów zyska dla sk
śmierć twego bo
jest to niewolnii
znalazł się tu z n:
że nie czas już t
rzekł Orneus ko
cząc dodał: - (
gdyby nie to, że
na Białowłosego
Ku jego zdr
śmiał się cicho.

- Nie doceń;
króla Minosa! Y
mógłbym przew
wszelkie sposób
Słusznie mawiaj
królewskiej. Ci<

znowu uderzyć?
- Nie wierze
Zaczeka on ter
stanie na prze;
bezpieczny. Lec
gdyż nie jest sz;
mogli go późni
będzie chciał za
życia waszego
jednego człowk

- Lecz czem

Będąc jednym z załogi wiele miał sposobności, aby napaść
na mnie, gdy byłem sam. Także i Perilawosa mógł zgła-
dzić, gdy ów zapuszczał się samotnie w las lub kiedykol-
wiek indziej, podczas snu albo wówczas, gdy oddalał się
od pozostałych. Nikt z nas nie miał się na baczności przed
innymi i zbrodnia taka nie byłaby trudna do spełnienia.

- To prawda, boski książę, lecz być może nie pragnai

narażać swego życia. Wie bowiem, że zginąłby w straszliwych mękach, gdyby został przez nas odkryty, a pojmują także, że los nas wszystkich zawieszony jest na cienkiej przędzy w ręku Sióstr Wiekuistych. Po cóż miał zabijać, skoro mógł go wyręczyć topór barbarzyńcy lub obca strzała wypuszczona z gęstwiny? Zapewne osądził dziś, że niebezpieczeństwa owe mamy za sobą, i pojął, że sam musi dokonać swego straszliwego dzieła, gdyż los go nie wyręczył. Wypłynęliśmy wreszcie na morze i doprowadzi nas ono wkrótce ku granicy znanego świata. Byłeś, książę: wodzem owej wyprawy i wiodłeś nas do boju pod świętym podwójnym toporem, dodając męstwa innym i wypełniając serca ich wiarą, że twa bogom pokrewna osoba wybawi ich z każdej zasadzki. Człowiek ów także wierzył w to. Lecz dziś zmieniło się wszystko, jak miniemy, Odnależliśmy krainę bursztynu, więc i on, podobnie jak wszyscy pozostali, otrzyma część skarbu, a droga powrotna łatwiejszą zapewne będzie niżli ta, którą przebyliśmy. Niebezpieczeństwa zostały pokonane, więc i bez ciebie okręt zapewne z łatwością powróci ku znanemu światu, kierując się odtąd na zachód, a później ku południowi. A on, jeśli pozbędzie się was obu, których kro; Krety tak nienawidzi, może liczyć na wielką nagrodę i dostatni żywot. A zresztą, jeśli otrzymał rozkaz, aby was zabić, jakże ma powrócić nie wykonawszy go? Widwojos nie uśmiechał się już.

- Cóż radzisz mi uczynić?

- Strzec się samotnych przechadzek, nawet jeśli ludzie są w pobliżu, a także nie zezwolić synowi twemu, aby oddalał się od nas samotnie bez przyczyny.

- Terteusie, słowa twe nie cieszą mnie! - rzekł nagle Perilawos.

Ze zdumieniem zwrócili się ku niemu. W mroku nie dostrzegali jego lica, lecz głos młodego księcia miał stanowcze brzmienie, jak gdyby wierzył, że to, co chce rzec, jest słuszne i winien im ową myśl przekazać.

- Nie sposób pośród trudów wyprawy i przy ciągłej zmianie przystani trzymać się nieustannie miejsca, gdzie zgromadzona jest cała załoga. Prócz tego, jak sam dziś widziałeś, wymierzył on w ojca mego, gdy wszyscy znajdowaliśmy się przy ognisku, nie czekając, aż się oddali. Tak więc, choć najmłodszy z was i niedoświadczony, inną dałbym radę, jak ustrzec nas przed owym zbrodniarzem - Zamilkł na chwilę, jak gdyby zawstydzony.

- Mów, synu... - rzekł Widwojos. - Każda rada, którą można rozważyć, ma tu znaczenie. A jakąż nam szkodę przyniesie zastanowienie się nad owym niebezpieczeństwem, tym straszliwszym, że nie można mu stawić czoła? Nieprzyjaciel skryty jest bowiem pod maską przyjaźni i nie wiemy, który z wiernych i dzielnych wojowników Angelosa na dnie serca kryje ów jad jak wąż w głębi swej paszczy.

- Otóż wierzę - rzekł Perilawos - że czekając, aż uderzy, oddajemy się w jego ręce i zezwalamy, aby wybrał czas i miejsce najbardziej dogodne dla siebie. A może on czekać tak długo, jak zechce, do chwili, gdy uzna, że ma nas przed sobą nie przygotowanych do odparcia uderzenia...

- A jakąż widzisz na to radę, Perilawosie? - zapytał Terteus nieco zniecierpliwionym głosem. - Nie wiemy, kim jest ów człowiek i jak chce wykonać swój zbrodniczy

zamysł. Musimy więc czekać, aż zapragnie zabić ciebie lub twego boskiego ojca i wówczas przeszkodzić mu!

- Masz słuszość. Lecz czemu mielibyśmy drzeć o żywot nasz nieustannie, mając przeświadczenie, że możemy zginać wśród snu lub gdy przechadzamy się nad brzegiem morza? Trudno żyć wiedząc, że lada chwila włócznie wyrzucona z zarośli może wbić się nam w plecy. Myślę więc, że to my winniśmy stworzyć mu sposobność, aby udźrzył i wpadł w naszą zasadzkę! Nie wie on przecież o tym co rzekł wam konający Orneus, i sądzi, że nikt nie może przypuszczać nawet, aby na okręcie krył się morderca. Tak więc, miast trzymać się miejsc, gdzie pełno jest ludzi być może ojciec mój lub ja lepiej uczynimy oddalając się swobodnie i jawnie, tak aby wszyscy to widzieli, młowanie lub zbieranie bursztynu. Nie wzbudzi to w niniejszych, że gotujemy zasadzkę, więc jeśli człowiek ów rzeczywiście dybie na nasz żywot, pójdzie za nami! A wówczas pozostali, którzy będą niepostrzeżenie posuwali się za nim, pojmą go widząc, że gotuje się do napaści! Tak więc, miast utrudnić mu napaść, ułatwimy ją, abyśmy go poznali!

Zamilkł. Milczeli wszyscy przez chwilę. Wreszcie Ter-teus rzekł:

- Będzie kiedyś z ciebie mądry król, Perilawosie! Albowiem wstyd mi przyznać, że w głupocie mojej nie pomyślałem o tym! Teraz, kiedy to rzekłeś, rzecz te wydaje mi się jedyną. Tak czynią mądrzy wodzowie, nie dając nieprzyjacielowi możliwości wybrania czasu i miejsca walki, lecz każąc mu wierzyć, że sam wybrał jedno i drugie, choć to oni przemyślnie doprowadzili go do tego. Tak, boski książę, uczynimy to! Lecz trzeba jeszcze jednego lub dwu ludzi, abyśmy mogli z dala czuwać nad wami nie budząc jego podejrzeń. Kogóż by można wtajemniczyć, skoro nie wiemy, kim jest ów morderca?

- Któż pełnił straż przy okręcie? - zapytał Białowłosey

- Albowiem pewne jest, że żaden z owych dwu strażników nie mógł być tym, który wysłał ku tobie strzałę, boski

jauMad 01 '{feusn 9iu zo9q •ids aż 'suMadedz
?l'Bpn UIBI uo Az9q -uisu^zo oSaf pcu bis /iuisi\vzpvivu
t '{fefod 3IU AVO 5[9IMO{Z3 ^qB 'OZOU^psfod Z33q •B5[SIU\$0
p znf Xui30JMod '5zfeis5[p[soq 'ZBJSI z3aq •?iuAz3 BpedA^
reu 03 'XuiXzop i XPBJBU op oS Xuipsndop SBZOMOM
ezs^sn 03 'o\$9i z eMo^s nulo^iu ^izpBJpz 9iu H(\s 'o\$
?3isXzJdBz i luAzon a\ Xp\$ y 'feqos z sis biuze(XzJd zXp3
.sotMO^Big \ak\ o nm siMod iisaf '3izp5q faida^fB^ -
,pMOUI 9lZp&q UIIU Z ZOI') } •OJ9IUIS feuUOJq3n9IU BU KOS
IZSM S^Z3MOM &IS AlUSI^MOL00 'B{OJ5[0\$9I5(SyAzJBqJBq
SaMo BIUO?! z ^feus\$fepe Xp\$ 'niMqo epAz p(od auluodez
[^[- •SofoAVpIy\^ I5[SOq f>[9ZJ - iSofBISOUIJBH O&IM V -
•XzsfaiuzoJ\$
3J5[OIS od 5lS ^q^B1S nSBZOMBZ XuOZ9ZJlSO BOJSpJOp^ "Al
)Jqo n^sAuleZ oSaupez iiaim 9iu XmsXqXp\$ ziu 'fazJoS 0l
qo^q SBZ3MOM v 'm^uui ?BpB\$XM qrq 'o\$3iu po ^ui93q3
Saza 'ofefod 9iu Xqt\$oui aż '-sj^upaC ais uiB'?[9q •^uJBJ9iqAM
lu o\$ lures 19iMO\$0q UJBU fel'Bp {sAum z^p\$ 'BUIM oSsf 0l
S[9I^[•9pIAV IISAUJ 9IU iiaa\ 'XuZSTl{S0d I X^SOJd 5[9IM0tZ3
\ lS9f Z39q •0\$3{Z 3IU 33ZJ UlXqtBI3l.[3 3IU 9Z5[B1 9IS9p
smouy o 3oqo 'nfoq M AuM^-ids i osiusizpotUJ 0l Au^sAm
m j •o\$ fe('eqoo5[9iMO\$0q suMad^z •pJ9iuis po UBSB^
l'OUI 0lU1OMH (\$0lUOd I ^MBJd^M fe^O ZBJ UO pMO^m
(p\$ 'UIBI tXq so[Bisoui.re]-[aż 'aapiM 9iuii 9fnpB'g 'lui^1

3lSOZOd pBU ISIM lEpBU 9JO15['BIU3ZJl'9pod Z 3psXzOO AUI
5ZOUI Ump q3I O&IM 5[BJ, •S9p9UJOUV I SOFBISOUIJBH -
ivei\'s nupd zo^ 'eusef &is BppXM v\ ZOSZJ 9iuui i 'Oł
iizpaiMod Xp\$ 'zapazJd y ~ "&zfeiS5(^SZJ -j E f my -
•UI9p2lSXuiod 9IU 3Z5[B1 UlXl O jOlUl^SO
[S sfBpBU 9IuXp9l' 0\$9l Op 'OKpIM 5[Bf -OtSOIM Ofefn I 3lMB{
u osfeizez im ZB>[qni 'aisofoMpi^ Xuqopod uioSoq '3iuui
3&dX^- •oq3p Sis ^luisazoJ sngyaJL- \vpweid Oł i -
•n?(unJ

5i5[mAuMpzJd M XqBt\$9iq zaai 'esopSuy 3pJ"q n5[
sfnqAzs feMO^S feM^ peu BUO XqBpusiMS 9iu zXp\$ 'szbis^
Powoli więc i z różnych stron powrócili do ogniska
i ułożyli się do snu.

A choć Terteus był przekonany, że tej nocy morderca
nie ponowi próby zabicia księcia lub jego syna, budził się
jednak kilkakrotnie i nasłuchiwał.

Lecz ciszę nocną przerywał jedynie miarowy oddech
pięknej Wasan śpiącej u jego boku.

Na bezchmurne niebo wszedł księżyc i nadbrzeże leża-
ło w jego łagodnym świetle, widoczne aż po granice
ciemnych wód zatoki. Spoczywający na brzegu Angelos
wyglądał jak wyciągnięta na brzeg wielka srebrzysta ryba.
Miarowo krążyły wokół niego dwa cienie, maleńkie z tej
odległości.

Terteus usnął wreszcie na dobre, gdy nad czystym
widnokrzem wstawać począł szary świt.

5 -Czarne okręty t. IV

^g-3'-

h-! 3

CT' 3 y S2. G 'S'

o y "•^i <S R.

N ^ - '

^ 3 3 N

3 5 n-3

0 ?- ^ . & O \$ ^ O- S; 5 S' ^ ^'O.^- g" g. TO W

''.'"" w 3 O' >-1 0 ^0

W 7- &3 '.^ C: ^ Cl

-' 3 N - S" S N

^^^łill^ g^g|-B':1^i | s

"lł-S^ii-i-i^^S-sl^? i s

^| gi ^ p. \$ f^ \$ 13 \$ s. l ^s\^ '-N

^irlii/rgT^;^^^;

iiiirl lił^^^

^ c g^ - S. 3. \$^ S :1- o- S ^ . 50-S. "

-1^8 ^^^^ ilSg^'

brzeża, gdzie mogliby upolować dość świeżej zwierzyny.
Białowłosy i Perilawos stanęli teraz niezdecydowanie,
nie wiedząc, w którą stronę się udać, nawet ów upragnio-
ny bursztyn spowszedniał im, skoro tyle go tu było. Z dala
dostrzegali pojedyncze postacie ludzkie zagubione w pia-
skach nadbrzeża. Poruszały się one i pochylały, a niektóre
znikały właśnie za zagiętą linią brzegu i wyniosłością
wyspy.

Obaj młodzieńcy ruszyli porośłym kępami trawy i ja-
łowca zboczem wielkiej wydmy ku środkowi wyspy po-
krytemu rzadkim lasem sosnowym. Z dala widać było, że
góruje nad nią niewielkie wzniesienie, jak gdyby łagodny
szczyt, na którym także stało kilka sosen.

Gdy znaleźli się tam w końcu, oczom ich ukazał się
rozległy widok zatoki, ciągnącego się za nią brzegu wiel-
kiego ładu i dalekich, zielonych wzgórz w oddaleniu.

Po drugiej stronie rozciągał się widnokrąg morski, na którym nie dostrzegli żadnej wysepki, łodzi lub żagla dalekiego okrętu. Morze to ciągnęło się na wschód i ku północy, gdy na zachód, za łańcuchem wysepek, mniejszych niżli ta, na której się znajdowali, zdawał się dalej ciągnąć ląd.

- Obyśmy znaleźli tam dość bursztynu! - rzekł Perilawos wskazując dłonią najbliższą złotawą linię piasków nadbrzeżnych na południu. - Wówczas podniesiemy żagiel i skierujemy się ku domowi, a jakikolwiek to będzie dom i gdziekolwiek będzie się on znajdował, pragnąłbym znów przekroczyć granice znanego świata, aby ludzie dowiedzieli się, że nie ma tu ani ostatecznej krawędzi ziemi, ani potworów straszliwszych niżli te, które żyją w naszych lasach i morzach, ani też olbrzymów i ptaków topiących okręty! Bo cóż warte byłoby to wszystko, na czym spoczęły nasze oczy, gdybyśmy zginęli w drodze i nie mogli przekazać wieści o tych żyznych, bezludnych niemal, barbarzyńskich krainach, do których okręty kreteńskie czy jakiegokolwiek inne, mając dzielnego wodza i nieulekłych żeglarzy, mogą dotrzeć tak łatwo, jak my dotarliśmy... Bowiem... - Urwał nagle. - A cóż to jest? - rzekł półgłosem i wyciągnął rękę.

Białowłosy spojrział przymrużywszy oślepienie blaskiem oczy, lecz dostrzegał jedynie mieniącą się w słońcu, połyskliwą i pomarszczoną wiatrem powierzchnię zatoki.

- Cóż widzisz?

- Bogowie! - rzekł Perilawos. - Po cóż wspomniałem o potworach i olbrzymach?! Oto one!

- Gdzie?!

Białowłosy chwycił go za ramię.

- Tam! Tam, w wodzie! Spójrz! Jest ich wiele i zdają się zbliżać do okrętu!

Białowłosy przysłonił oczy dłonią. Przez chwilę nie widział nic. Nagle serce zamarło mu w piersi.

Mniej więcej o tysiąc kroków od brzegu, na lewo od czarnego smukłego kształtu Angelosa spoczywającego na piasku, widać było pośród niewielkich fal igrające w morzu, ciemne połyskliwe kształty. A nie były to ryby, gdyż głowy ich i ciemne, lśniące grzbiety ukazywały się i nikięły, burząc wodę!

- Lud to jakiś straszliwy, który w wodzie żyje jak inne na twardej ziemi! - rzekł niemal szeptem Perilawos. - Cóż stanie się, gdy dotrą do okrętu?!

W tej samej chwili gromada podzieliła się, jak gdyby na dwie mniejsze, które rozplynęły się w przeciwnych kierunkach okrażając z dala wyspę i oddalając się coraz bardziej od brzegu. Białowłosy i Perilawos w milczeniu prowadzili oczyma malejące w słonecznej mgiełce głowy owych istot, a gdy znikły, spojrzeli na siebie.

- Zbiegnijmy i rzeknijmy o tym ojcu memu i Terteusowi.

Uczynili tak i znaleźli księcia wraz z Wasan i Terteusem na nadbrzeżu po przeciwnej stronie wyspy. Lecz choć Terteus nakazał, aby od tej chwili dwóch bystrookich wojowników czuwało nieustannie na szczycie wydmy, zmieniając się co pewien czas, jednak nikt już nie dostrzegł owych wodnych ludzi czy też stworzeń, jakich nigdy dotąd nie widzieli.

Angeles pozostał jeszcze dzień cały i noc na wyspie, a drugiego dnia o świcie zepchnęli go na wodę i pożeglo-

wali ku dalekiemu brzegowi, na zachód od ujścia wielkiej rzeki, którą przybyli z głębi ładu.

W ciągu dnia zbierali bursztyn na wybrzeżu, płynąc na zachód i przenosząc się z miejsca na miejsce.

Dwukrotnie Terteus, Białowłosy i Harmostajos czaili się, by dostrzec, kto podaży za Perilawosem idącym samotnie na łowy. Lecz nikt nie ruszył za nim po kryjomu lub jawnie, a nikt także nie śledził go z dala, choć czuwali ukryci, by ujrzyć skradającego się wroga lub kogokolwiek z załogi, idącego w tym samym kierunku.

Po pewnym czasie dali temu spokój, gdyż być może morderca ów odłożył wykonanie swego zamysłu, a być może Orneus mówił od rzeczy konając, a owa strzała, która przeleciała nad księciem, mogła być wypuszczona przypadkiem. Człowiek, który bezmyślnie puścił cięciwę, przeląkł się zapewne, gdy Terteus powrócił ze strzałą i przemówił do załogi. Po cóż miałby się przyznawać do tak głupiego uczynku narażając na drwiny towarzyszy? - Oby tak było! - westchnął Terteus, gdy naradzali się po drugiej nieudanej zasadzce. - Wszelako nie wolno nam osłabić czujności, gdyż ów nikczemnik może właśnie tego oczekiwać. A jeśli uda mu się, cóż nam z tego, że schwytamy go po zabójstwie i ukarzymy okrutną śmiercią? Uczynmy tak: ja nie odstąpię odtąd bogom podobnego księcia, co przyjdzie mi tym łatwiej, że wypełniając jego rozkazy winienem być nieustannie w pobliżu, gdy płyniemy po obcych wodach nie znając drogi przed sobą ani niebezpieczeństw, które na niej mogą czyhać. Ty zaś - zwrócił się ku Białowłosemu - będziesz towarzyszył Perilawosowi, który zresztą upodobał sobie w tobie od dawna i wszyscy wiedzą, że zaszczyca cię swą księżęcą przyjaźnią, choć jesteś jedynie synem ubogiego rybaka. Lecz że ty uratowałeś żywot Perilawosa, a ojciec twój pomógł nam uratować obu księząt, rzecz ta nikogo nie zdziwi. Nie chodź z nim jednak sam, bowiem zabójca ów mógłby, działając szybko i niespodzianie, zabić was obu, gdy tego się nie spodziewacie. Bierzcie z sobą zwykle kogoś trzeciego, jego... - wskazał Harmostajosa-lub nie wiedzącego o niczym wojownika, bowiem źle byłoby, gdyby zarówno księżę jak jego młody syn otaczali się wyłącznie małą garstką ludzi.

Tak więc trzeciego dnia ruszyli obaj wzdłuż wybrzeża, a poszedł wraz z nimi Kamon, który był sprawny w ciskanii włócznią i władaniu mieczem, a odznaczył się przy zbieraniu bursztynu, gdyż zebrał go najwięcej ze wszystkich.

Angeles stał na płytkiej przybrzeżnej wodzie utrzymywany w miejscu dwiema kotwicami, gdyż późnym popołudniem pragnęli wyruszyć, aby przebyć także i dziś nieco drogi, która, jak sądzili, musiała poprowadzić ich do Bramy Świata, gdzie ład południowy i ład północny, wspólnie otaczające ich rodzinne morze pośrodku ziemi, schodziły się pozostawiając jedynie cieśninę, za którą rozciągały się już tylko niezmierzone wody. Musiały one być połączone zapewne z tym właśnie morzem, po którym teraz płynęli. A że z Troi posuwali się nieustannie niemal pod prąd rzek, na północ, wierzyli teraz, że powrót zajmie im o wiele mniej czasu.

Wszyscy trzej szli wybrzeżem podnosząc od czasu do czasu leżące w piasku bursztyny. Brzeg pokryty był małymi białymi muszlami, dalej była piaszczysta skarpa,

a za nią las na niewielkich wzgórzach.

W pewnej chwili, gdy wynurzyli się spoza płytkiego przylądka, zasłaniającego widok, idący przodem Perilawos zatrzymał się nagle i cofnął unosząc rękę.

- Cóż dostrzegłeś? - zapytał szeptem Kamon zbliżysz się.

- To oni! - rzekł Perilawos oddychając ciężko. - Ów lud morza! Wyszli na wybrzeże i leżą na nim wygrzewając się w słońcu!

Szybko wdrapali się wszyscy trzej na skarpe i ukryci w zaroślach poczęli posuwać się w kierunku, gdzie spoczywały owe przedziwne istoty, okrażając je z dala, tak aby nie mogły ich dostrzec.

Po kilku chwilach Kamon, który szedł nisko pochylony, padł na trawę i począł czołgać się ostrożnie w kierunku morza.

Napiąwszy łuki, ze strzałą na cięciwie, posuwali się obaj za nim gotowi do przebicia morskiego potwora, gdyby któryś z nich, zwęszywszy obcych, chciał uderzyć na posuwającego się przodem towarzysza.

Wreszcie Kamon znalazł się niemal na skraju zarośli i znieruchomiał z głową ukrytą w gęstym krzewie, przez który spoglądał na leżący w dole brzeg.

Czekali. W pewnej chwili cofnął głowę, obrócił się ku nim i skinął ręką.

Zbliżyli się czołgając, wsparci na łokciach, nadal nie wypuszczając łuków z ręki. Wreszcie przypadli do ziemi obok niego.

Białowłosy położył łuk i powoli rozgarnął wysokie źdźbła trawy, przesłaniające mu widok.

Dostrzegł je natychmiast. Było ich około stu: wielkie, ciemne, wrzecionowate cielska leżące nieruchomo na piasku. Inne znajdowały się w wodzie. Pływały w niej szybko, wysuwając wysoko głowy, jak gdyby rozglądały się. Wreszcie jedno ze stworzeń na brzegu poruszyło się. Niezdarnie i z wysiłkiem, pełznąć po piasku i wlokąc za sobą krótkie tylne nogi podobne do płetw, dobrnęło do wody i po chwili zanurzyło w niej, a wówczas, gdy straciło dno pod sobą, stało się z nim coś przedziwnego. Śmignęło jak błyskawica i dołączyło do innych płasających w nurtach zatoki.

Patrzyli wstrzymując oddech. Po chwili inne stworzenie wyszło z wody na brzeg, poruszając się podobnie do pierwszego. Wszystkie miały pyski wąskie, podobne do psich, a choć z pewnej odległości trudno było rzec, czy ciało ich pokrywa lśniąca skóra czy sierść, wydawało się patrzącym, że jest to gruba szczecina.

- To nie lud wodny, lecz zwierzęta morskie... - szepnął Kamon. - A choć większe i cięższe niż człowiek, nie poruszają się szybko na ziemi. Nie obawiajmy się ich!

- Cóż chcesz uczynić? - zapytał niemal bezgłośnie Perilawos.

- Wypuścić strzałę w jedno z nich, a później ujrzymy, co się stanie. Jeśli nie biegają prędzej, niżli nam to ukazują, nie rzucają się na nas...

Zaledwie to wypowiedział, młody książę uniósł leżący na ziemi łuk, ukląkł i wymierzwszy w najbliższe stworzenie puścił cięciwę.

Strzała świsnęła ostro i wbiła się w bok leżącego potwora, który wydał z siebie wysoki, niemal ludzki głos i dźwignął na przednie kończyny, a później, znacząc ślad

ciemną krwią buchającą z rany, ruszył niezdarnie ku brzegowi. Lecz doznała go druga strzała z łuku Białowłosego trafiając w połączenie głowy z szeroką przechodzącą w tułów szyję i wbiła się głęboko w miękkie ciało. Zwierzę wrzasnęło raz jeszcze i upadło. Dźwignęło się ponownie i runęło na bok, nieruchome. Nie drgnęło już. Ukryci myśliwi czekali. Najbardziej zdumiało ich, że choć krzyk towarzysza wywołał niepokój pośród innych zwierząt, które poruszyły się i poczęły kręcić głowami, jak gdyby poszukując wzrokiem nieprzyjaciela, jednak żadne z nich nie uciekło nawet do wody, gdzie były szybkie i swobodne, wszystko bowiem wskazywało, że jest to ich żywioł przyrodzony.

Kamon wstał z mieczem w jednej ręce i włócznią w drugiej. Obaj jego towarzysze uczynili podobnie, zarzuciwszy łuki na ramię.

Ruszyli w dół ku spoczywającemu stadu nadal ostrożnie, lecz coraz pewniejsi siebie.

Zbliżywszy się do najbliższego zwierzęcia Kamon zatrzymał się. Spojrzał na niego i zawarczało niemal jak pies, szczerząc długie zęby i unosząc górną wargę, z obu stron której wyrastały długie, proste, szczeciniaste wasy. Kamon odskoczył o krok, a później pobiegł okrążając zwierzę od tyłu. Wziął krótki zamach. Włócznia utkwiała głęboko w szerokim grzbiecie. Przerzuciwszy miecz do prawej dłoni, ciał raz i drugi w głowę, aż krew trysnęła strumieniem na złocisty piasek.

Perilawos i Białowłosy szli tuż za nim, bacznie przyglądając się reszcie stada.

Na widok obcych nie znanych stworzeń zaczęło ono z wolna i niezdarnie podążać ku wodzie. Lecz nim tam dotarło, zdążyli jeszcze zabić kilka wielkich zwierząt, rąbiąc je mieczami i wbijając włócznie w gładkie powolne ciała.

Po chwili pozostałe były już w morzu i odpływały szybko, wynurzając głowy i oglądając się za siebie jak ścigani ludzie.

Wówczas myśliwi powrócili do leżących na brzegu ciał. Były to wielkie, ciężkie i niezwykle tłuste zwierzęta. Kiedy Białowłosy nożem rozplatał jedno z nich, ujrzeli, że ma ono całe pokłady żółtawego tłuszczu na bokach i grzbiecie. Mięsa także musiało w nich być wiele. Nie znali jednak jeszcze jego smaku.

Pobiegli więc co siłą do okrętu, przy którym ludzie zaczęli się już gromadzić na południowy posiłek. Gdy opowiedzieli o swej zdobyczy, załoga zasiadła przy wiosłach, pozostawiając jedynie kilku, aby przyprowadzili tych, którzy znajdowali się jeszcze w lesie polując. Z wólm na wiosłowali wzdłuż brzegu, aż natrafili na leżące w piasku widoczne z dala cielska.

Wszyscy dziwili się niezmiernie, prócz Terteusa, który - urodzony na małej wysepce pośród morza - widział kilkakrotnie podobne stworzenia, lecz pręgowane na białe i mniejsze. Zwano je w jego skalistej ojczyźnie Białymi Pannami i nie polowano na nie, bowiem krążyło od wieków podanie o pewnej bogini ściganej przez obcego boga, który żył na wybrzeżach Azji. Gdy dopadł ją i uczynił swą małżonką, ona nienawidząc przemocy utopiła się, lecz inni bogowie sztuką swą przemienili ją w Białą Pannę, a potomstwem jej były właśnie owe przedziwne stworzenia. Lecz tu, na barbarzyńskim morzu, cóż zna-

czyły domowe podania? Stworzenia te w niczym nie przypominały bogów. Było to mięso, wiele mięsa i tłuszczu!

Pozostali więc w miejscu owym cztery dni, wytapiając tłuszcz i przelewając go do wielkich dzbanów, gdzie zastygał. A piękna Wasan przyprawiała go znanymi sobie tylko ziołami, które znajdowała na skraju nadbrzeżnego lasu. Mówiła przy tym, że zioła owe chronią mięso przed szybkim gniciem, a także odbierają mu złą woń, która zawsze pojawia się w rybim mięsie po pewnym czasie. Ponieważ stworzenia owe żyły w wodzie, więc zapewne ich mięso i tłuszcz także winny być zmieszane z wywarem z owych roślin.

Białowłosy, który znał podobne sposoby zachowania rybiego mięsa, przyglądał się jej z ciekawością. Poszedł nawet do lasu, by odnaleźć zioła, po które zwykle posyłała go matka w czasie połowów. Lecz nie znalazł ich. Nie rosły w tej odległej krainie.

Tak więc, uczyniwszy sobie bogate zasoby mięsa i tłuszczu, a także wysuszywszy na słońcu wyglądzone ostrymi

kamieniami skóry owych zwierząt, które zdawały się bardzo silne i odporne, odpłynęli na zachód.

Brzeg skłaniał się łagodnie, lecz nieustannie ku południowi, więc serca w nich rosły, bowiem uwierzyli, że płyną wprost ku Bramie Świata, a stamtąd, jeśli wiatr będzie sprzyjający, mogą w ciągu dni dwudziestu dopłynąć do zachodnich wybrzeży Krety. Tak rzekł im Eriklewes który żeglował po wszystkich morzach, a jeśli nawet nie był gdzieś, znał wszystkie przystanie, miasta, cieśniny i wyspy z opowieści innych sterników.

A jeśli nie zechcą dopłynąć do rodzinnej wyspy, wiele znajdą zapewne w drodze wysepek i bezludnych wybrzeży o dogodnych przystaniach, gdzie będą mogli zawinąć i założyć królestwo, do czasu przynajmniej, aż bogom podobny Widwojos nie powróci do swego pałacu, by opasać skronie starą koroną Minosa. Myśląc o tym obiecywali sobie wiele. Czy był bowiem kiedy władca, który nie obdarował sownic i nie nagroził zaszczytami towarzyszy swych, z którymi odbył wielką i wiekopomną wyprawę?

A zresztą mieli bursztyn, mieli go już tak wiele, że sami nie wierzyli, aby mogło go tak wiele istnieć na całym świecie. Dwa ogromne pithosy, które dotychczas służyły im jako spichlerze do przechowywania ziarna, były go pełne po brzegi. Już to czyniło ich możnymi ludźmi, panami sadów, przestronnych domów, sług i niewolników, i przemienić musiało wkrótce w dostojników wiodących żywot pośród dostatków i otoczonych czcią ludzką. Bowiem głowy najchętniej i najniżej kłonią się przed bogactwem.

Lecz gdy zbliżyli się do szerokiego bagnistego ujścia wielkiej rzeki nadpływającej z południa, brzeg wygiął się ku północy.

Wówczas też ujrzeli w ujściu owej rzeki niewielki okręt, który wypłynął za nimi na morze i zawrócił szybko, kryjąc się pośród gęstych lasów porastających niska równinę otaczającą ujście.

Od chwili owego spotkania płynęli zwykle za dnia pełnym morzem, trzymając się zawsze z dala od lądu, lecz nie tracąc ziemi z oczu. Jeśli minęli jakieś osady, nie

wiedzieli o tym, nie natrafiając na nie, gdy wieczorami dobijali do brzegu. Dwukrotnie znaleźli ślady ognisk nad brzegiem, lecz to było wszystko. Ów okręt, który pojawił się teraz na tak krótko, był dla nich pierwszym widowym znakiem, że ziemie nadbrzeżne tego morza są zamieszka-
kane.

- Cóż uczynimy, boski książę? - rzekł Terteus, gdy stali na rufie, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął niski, prostokątny żagiel z szarego, nie barwionego płótna. - Czy zawrócimy, aby go doścignąć i zbadać, co za lud zamieszkuje tę krainę? Czy też popłyniemy dalej?

- Sprawą naszą jest, jak wiesz, Terteusie, opuszczenie tych północnych krain i powrót do świata. Uzyskaliśmy tu wszystko, co pragnęliśmy uzyskać. Ludzie, których tu napotkamy, mogą być przyjaźni, a mogą być wrogo usposobieni. Sprawą naszą jest unikać walki, bowiem niczego nie pragniemy zdobyć, a wszystko możemy utracić. Żywot każdego z was droższy mi jest niżli zwycięski bój z nieznanymi barbarzyńcami, od których niczego mi nie trzeba. A więc jeśli okręt ów nie próbował nas doścignąć, po cóż mamy zawracać z drogi, by przekonać się, kim są ci, którzy na nim płyną? Pozostawmy ich własnym sprawom.

- Więc pragniesz, boski książę, abyśmy dobijali jedynie do bezludnych wybrzeży, omijając wszelkie miasta i osady, na jakie natrafimy?

- Słusznie rzekłeś, Terteusie. Jest nas tu dość silnych, uzbrojonych i walecznych ludzi, aby odeprzeć pierwsze natarcie, gdyby napadnięto nas na lądzie. Jeśli tak się stanie, wsiądziemy na okręt, broniąc się, i czym prędzej odpłyniemy. A nie sądzę, aby nas ścigano na morzu, bo czyż może przemierzać te wody okręt szybszy niż Angelos, skoro nie ma takiego na naszym morzu, gdzie ludzie od wieków budują okręty i kształcą się w tej sztuce, podpatrując sposoby różnych innych ludów, których jest tak wiele i tak gęsto nasz świat zamieszkuje, podczas gdy tu nie napotkaliśmy człowieka do dziś? Jeśli więc okręt nasz jest niedościgniony dla wroga, a my nie zechcemy napotkać nikogo w otwartym boju, bowiem celem naszym jest powrót, nie zdobycz, jakże zmuszą nas do zbytecznego przelewu krwi naszych towarzyszy?

- Obyśmy umieli przepłynąć te barbarzyńskie wody w pokoju, jak tego pragniesz, boski książę! - Terteus uśmiechnął się. - Bowiem do tej pory, choć okręt nasz był równie szybki jak dziś, a załoga jego równie mężna, nie udało nam się ujść wrogom bez walki i bez utraty paru dzielnych towarzyszy.

- Płynęliśmy wówczas rzekami, gdzie wiele przymiotów naszego okrętu stało się bezużytecznymi, a niektóre przemieniły się w niedostatki, bowiem źle jest być wielkim w miejscach ciasnych. Lecz od chwili, gdy wypłynęliśmy na morze, nie musimy lękać się nikogo, jeśli będziemy czujnie strzegli siebie i okrętu nocą po dobieciu do brzegu... - Na wargach jego pojawił się lekki uśmiech. - Nie myślę tu o sobie i synu moim, gdyż nam, jak wiesz, śmierć grozi także i na okręcie...

- Nie poważyłby się... - rzekł Terteus niepewnie.

- Czemu nie? - Widwojos spoważniał. - Często oglądam się za siebie stając na dziobie lub na tyle okrętu i szukam oczyma Perilawosa, choć wiem, że siedzi na ławie i ćwiczy ramiona w sztuce wioślarskiej bądź też, gdy

płyniemy jak teraz, pod żaglem ze sprzyjającym wiatrem, zabawia się rozmową lub pieśnią z towarzyszami. Gdybyś mnie zapytał, czemu tak czynię, odpowiedziałbym d:

"Nie wiem!", albo pojmuję, że w biały dzień, siedzącego pośród przyjaciół, nic złego spotkać nie może. A jednak...

- Zawiesił głos i wzruszył ramionami. - Jest on jedynie moim dziecięciem - dokończył bezradnie - i dziedzicem największego królestwa morskiego, jakie znają dzieje. Chciałbym, aby nim władał i zyskał sobie sławę, która sięgnie po najdalsze wieki. Czy pragnąłbyś czegoś innego, gdybyś był mną i miał syna?

Terteus skinął głową.

- Pojmuję cię, boski książę. Lecz wybacz, że powtórzę t-u to, co mówię, gdy rzecz jaka nie leży w mojej mocy. Wszystko jest w rękach bogów!

- Być może... - Widwojos znowu się uśmiechnął. - Lecz sam mi kiedyś rzekłeś, że najbardziej kochają oni najmężniejszych i najbardziej roztropnych.

Terteus pragnął odpowiedzieć, lecz gdy otworzył usta, zamknął je ponownie. Uniósł ramię wskazując dalekie, zielone brzegi, wzdłuż których Angelos posuwał się pod żaglem ku północnemu zachodowi.

Książę szybko uniósł głowę. Dostrzegł je od razu, kilkanaście niskich okrętów o wysoko uniesionych dziobach! Musiały wynurzyć się niepostrzeżenie z ujścia owej wielkiej rzeki. Płynęły jeden za drugim długim szeregiem i wyraźnie dopędzaly posuwający się jedynie pod żaglem okręt kreteński.

Terteus przebiegł pomiędzy siedzącymi i leżącymi na dnie okrętu żeglarzami, stanął pod masztem i krzyknął wielkim głosem:

- Do wiosła, towarzysze! Okręt za nami!

Powstali spiesznie, porzucając kości i fujarki, na których niektórzy przygrywali sobie w takt pieśni. Inni budzili się z miłego popołudniowego snu i spoglądali półprzytomnymi oczyma, lecz i oni zrywali się ze skór rzuconych na deski i biegli na swe miejsca.

Fala była niewysoka, krótka i nieco spiętrzona. Długi kadłub Angelosa ślizgał się po niej w lekkich, miarowych rozkołysach, lecz tamte okręty, znacznie mniejsze niż on, zapadały się nieco i Wznosiły na wzgórkach wodnych.

Mimo to zbliżały się wyraźnie. Ich ciemnoszare żagle także były wzdęte wiatrem, a rzędy krótkich wiosła, widoczne z boku, błyskały wynurzając się z wody i natychmiast opadały w nią, jak gdyby ścigający pragnęli rzucić w krótkim pościgu na szalę wszystkie siły i dognać szybko ogromny obcy okręt.

- Płyn przez fa-le... Płyn przez fa-le... - rozpoczął miarowym głosem Terteus, najpierw wolno, a później coraz szybciej.

Obce okręty płynąc bliżej brzegu zrównały się z Angelosem i zrobiły zwrot kierując się ku niemu.

Pierwszy z nich wyprzedzał go nawet nieco i nadpływał próbując przeciąć mu drogę. Terteus w myśli dostrzegł już na lśniącej od słońca wodzie miejsce, gdzie musi ich spotkać. Cóż wówczas? Gdyby nawet uderzyli weń i zatopili swą potężną ostrogą, Angelos zwolni, stanie niemal, a wiosłarze będą musieli unieść wiosła lub cofnąć je, aby nie strzaskał ich przecięty okręt...

- Eriklewesie! W prawo! Ku północy!

Angelos skrzył miękim łukiem, oddalając się nieco

od nadpływających okrętów. Jeszcze chwila i znalazł się przed nimi, uciekając wprost na północ.

- Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le! Żagiel chwycił teraz pełną powierzchnią południowy powiew, a wiosła opadały i unosiły się coraz szybciej. Kątem oka Terteus dostrzegł małżonkę swą, piękną Wasan. Stała na dziobie, wyprostowana w swej krótkiej płóciennej szacie. Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy. Patrzyła na niego z oddali, nie poświęcając nawet spojrzenia nadpływającym nieprzyjacielskim okrętom. Poczul nagłą radość i skinął jej ręką. Odpowiedziała mu unosząc ramiona, lecz zaraz opuściła je, by odgarnąć włosy, które wiatr rzucił na jej lico, przesłaniając oczy. Terteus szybko odwrócił głowę. Nieprzyjacielskie okręty były już blisko. Coraz bliżej. Nie musiały nabierać szybkości jak Angelos.

Wykrzykując swe: "Płyn przez fa-le!" ku wioślarzom, Terteus za każdym razem powtarzał zawołanie nieco szybciej. Patrzył teraz z natężeniem, nie mrugnawszy nawet powieką, na dzioby ścigających okrętów. Było ich czternaście. Widział już wyraźnie wysokie włócznie w rękach wojowników. Bowiem, nie licząc wioślarzy, wypełnione były one wojownikami w skórzanych hełmach. Ostrza ich włócznie lśniły w słońcu, a więc były ze spiżu. Zapewne mieli także spiżowe miecze. A więc nie byli to barbarzyńcy, jakich napotykali dotąd, lecz lud, który umiał wytapiać metale lub kupował je od innych ludów. Dzioby tamtych okrętów, wspinające się na fale i zapa-dające w zielone bruzdy wodne, zbliżały się... Nie?... Tak!... Nadal zbliżały się...

"Jeszcze chwila - pomyślał Terteus - a poczną strzelać z łuków, jeśli je mają, a zapewne je mają..."

I mimowolnie spojrział w kierunku swej żony. Na szczęście, była na dziobie, w najdalszym miejscu. Gardło bolało go już i czuł, że zaczyna tracić głos, gdyż wołał zbyt donośnie, lecz nie przestawał krzyczeć. Musieli wiosłować równo, inaczej... Tamtych było zapewne niemal tysiąc stłoczonych na pokładach czternastu okrętów... Gdyby choć jeden dopędził i zatrzymał Angelosa,

nikt nie ocaleje. Może jedynie Wasan, gdyż żaden lud nie zabijał schwytanych dorodnych młodych niewiast, jeśli nie przeznaczał ich na krwawą ofiarę swym bogom. Lecz o jej losie nie próbował nawet myśleć.

- Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le!

Widział wykrzywione z wysiłku rysy wioślarzy, gdy pochylali się i prostowali posłuszni jego głosowi, który żądał od nich coraz więcej.

Znów spojrział na dziób najbliższego okrętu. Czyżby?...

Tak! Patrzył jeszcze przez chwilę. Był pewien teraz.

- Po-zo-sta-ją! Po-zo-sta-ją! - zawołał nie zmieniając rytmu okrzyku, aby wioślarze nie zgubili się i nie poczuli wiosłować nierówno.

Ku jego zdumieniu wydali wesoły okrzyk i mocniej nacisnęli na wiosła.

Patrzył teraz uważnie. Z wolna ślad Angelosa, po którym płynął środkowy okręt pogoni, wydłużył się. Boski Widwojos szedł teraz ku niemu od strony rufy, spokojny i wyprostowany jak zwykle, gdy zagrażało niebezpieczeństwo.

Terteus skinął na jednego z żeglarzy, który czuwał przy

maszcie gotów do przełożenia liną żagla, gdyby wiati
zmienił się nagle.

- Zwy-cię-ża-my! Zwy-cię-ża-my!

Oczyrna nakazał mu, aby przejął od niego zawołanie,
dotykając dłonią gardła, z którego nie mógł już niemal
wydobyć głosu.

- Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le!

Słuchał przez chwilę oceniając, czy szybkość zawołania
jest dostateczna.

Powiał nieco mocniejszy wiatr. Ogromny czarny żagiel
odpowiedział, pchnawszy okręt niemal w jednej chwili,
ścigający poczęli zostawać w tyle. Najwyraźniej siły ich
wioślarzy, choć zapewne mogli ich zmieniać, mając tylu
ludzi na pokładzie, także osłabły, a niewielkie żagle były
6 - Czarne okręty t. IV

niedostateczną pomocą przy obciążonych tyłoma wojow-
nikami kadłubach. Dzioby zapadały zbyt głęboko i unosi-
ły z większym trudem niżli dziób Angelosa. Mimo to
Terteus podziwiał szybkość owych żeglarzy, którzy na tak
niewielkich okrętach niemal pokonali na morzu najwspa-
nialsze dziecię cieśli kreteńskich.

- Aż dziw bierze, boski ksiązę, jak blisko byliśmy
Krainy Mroków! - rzekł Terteus ochrypłym głosem do
Widwojosa. - I któżby przypuszczał, że tak się może stać,
gdy niedawno płynęliśmy spokojnie wzdłuż owego wy-
brzeża!

- Nie przestali nas ścigać! - Widwojos wskazał za
siebie.

Okręty nieprzyjacielskie, choć pozostały już daleko
w tyle, płynęły nadal za nimi.

Być może liczą na to, że siły naszej załogi wyczerpią się
prędzej niżli moc ich ramion! - Terteus zerknął na ławy. -
Sądząc z tego, co zdołałem dostrzec z dala, mogą oni
zmieniać wioślarzy, sadzając na ich miejsce owych wo-
jowników, którzy mieli na nas uderzyć, gdy dopędzą
Angelosa.

- Szczęśliwie wiatr rośnie!

Widwojos spojrział w górę, gdzie południowy, silny
powiew szumiał głośno wzdymając ogromną głowę Byka.

- To prawda... - Terteus zbliżył się do unoszącego
i opuszczającego ramię nawoływającego miarowo żeglarza.

- Zwolnij nieco!

Tamten skinął głową. Głos jego stał się rozlewnie j szy,
a pomiędzy nawoływaniem powstała nieuchwytna prze-
rwa, podczas której wioślarz może oprzeć się na wiosła,
a zmęczone ramię przez mgnienie oka wypoczywa.

Ksiązę i Terteus spoglądali na ścigających. Nie, nie
zbliżali się już. Przeciwnie, niektóre z okrętów poczęły
zostawać w tyle i szyk ich załamał się. Płynęły teraz
osobno, rozrzucone, jeden za drugim, prócz trzech pierw-
szych, które posuwały się nadal obok siebie. Lecz odle-
głość ich ciągle rosła.

Ksiązę i Terteus ruszyli wzdłuż ław, przemawiając do
wioślarzy. Pot lał się strugami z szyi i ramion siedzących,
lecz wiosłowali miarowo, witając przechodzących uśmie-
chami.

Gdy Widwojos doszedł do ławy, na której siedział
Perilawos, spojrział z niepokojem, lecz i tu spotkał go
uśmiech.

Chłopiec miał twarz wykrzywioną z wysiłku, lecz wio-
sło pewnie tkwiło w jego dłoniach, a gdy pochylał się,

Widwojos mógł widzieć ciężkie sploty mięśni ramion napinające się i zwalnijące, gdy szerokie pióro wiosła powracało nad wodą, by zanurzyć się ponownie.

„Oblicze ma jeszcze dziecka... - pomyślał książę - lecz ciało jego jest już ciałem dojrzałego męża!”

Angelos płynął wprost na północ, a że niedawno minęła pora południowa, mieli wroga za sobą w pełnym słońcu. Był on już tak daleko, że Terteus z trudem dostrzegł dwa rzędy wiosel unoszące się po bokach najbliższego okrętu, płynącego nieustannie śladem Kreteńczyków. Inne pozostały już nieco z tyłu, a poweselał ujrawszy, że kilka najwyraźniej zaprzestało pościgu i płynie jedynie na żaglu, oddalając się z każdą chwilą od Angelosa, tak że ostatni z nich był już tylko punkcikiem na widnokręgu. Kilkunastu żeglarzy, którzy oczekiwali bezczynnie pod masztem, zasiadło teraz do wiosel na miejscu owych, którzy byli najbardziej wyczerpani, a na rozkaz Terteusa wliczono do nich Białowłosego i Perilawosa, jako najmłodszych, choć nie chcieli odejść od wiosel.

Mimo to obaj, gdy powstali, zatoczyli się i padli na deski oddychając ciężko. Inni, którzy zeszli z ław wraz z nimi, uczynili podobnie.

A piękna Wasan, chodziła pomiędzy nimi, lejąc do gnnianego naczynia wodę z dzbana i przytykając im do ust. Pili oblewając się, gdyż drżące dłonie z trudem utrzymywały miskę. Lecz uśmiechali się ku niej.

Terteus także zasiadł do wiosła, widząc, że nieprzyjaciel jest zbyt daleko, aby mógł być groźny i uczynić coś zaskakującego.

Płynęli nadal wprost na północ, mając po lewej na zachodzie ląd, którego brzeg biegł ku północy wraz z nimi. Z oddali dostrzegli jak gdyby wielką białą kredową skałę oświetloną słońcem. Później i ona pozostała za nimi, a na zachodzie otworzyło się morze.

Ale że maleńkie żagle na widnokręgu wciąż były widoczne, nadal płynęli na północ.

Słońce z wolna poczęło schodzić z tronu wspartego na promienistym szczycie niebios. A gdy tarcza jego dotknęła wreszcie krawędzi widnokręgu przed zstąpieniem do podmorskich pałaców Posejdona o Białym Obliczu, gdzie zwykle spędza ono noc, odłożyli wiosła i płynęli dalej pod żaglem, bacząc pilnie, czy na południu znów nie ukażą się niskie prostokątne żagle.

Nie zawrócili, gdy zapadła ciemność usiana gwiazdami. Po krótkiej naradzie postanowili płynąć ku północnemu zachodowi, wykorzystując sprzyjający wiatr, aby zatoczywszy wielki łuk powrócić za dnia na południe i płynąć dalej w pobliżu brzegów, pozostawiając daleko za sobą ujście owej wielkiej rzeki i wrogie okręty czatujące w nim na wędrownych żeglarzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

A wówczas zginiemy wszyscy

Przed świtem, nim słońce wynurzyło się z morza na wschodzie, ujrzeli przed dziobem okrętu linię dalekich brzegów zaledwie widocznych w bladym blasku dnia. Rozciągały się one na zachodzie, zajmując cały widnokrąg po tej stronie morza.

Terteus obudził księcia i stanęli razem na dziobie wpatrując się z troską w rosnące z wolna łagodne zielone wzgórza.

- Czyżby morze to było jeziorem, a próba nasza, by

wy dostać się stąd, miała zakończyć się opłynięciem go dokoła? – rzekł młody żeglarz kręcąc głową. – Pięknie zadrwiliby z nas bogowie, gdyby kazali nam powrócić do miejsca, z którego wypłynęliśmy! Wówczas pozostawałaby jedna tylko droga: powrót przez owe rzeki i bagna, które raz już przemierzyliśmy płynąc tu, gdyż innej drogi nie znamy. A nie wierzę, aby ów barbarzyński król znów pozwolił Harmostajosowi ściągnąć się z konia wężowym sznurem, który w rękę jego zamienia się w żywą istotę! Roześmiał się, lecz w śmiechu jego nie było wesołości. Brzeg stawał się coraz wyraźniejszy. Choć słońce nie wstało jeszcze, niebo nad głowami przybierało jasną błękitną barwę. Nadal nie było na nim chmur, a ciepły napływający z południowego zachodu powiew czynił, że minioną noc na tym morzu była niemal tak ciepła jak na ich ojczystych wodach.

– Być może czeka nas jeszcze nieco drogi ku północy...
– rzekł niepewnie książę. – W owej stronie nie widzę lądu. Terteus potrząsnął głową.

– Wczoraj, nim okręty barbarzyńców ruszyły w pościg za nami, płynęliśmy wzdłuż brzegów, które zaczęły pochylać się ku północnemu zachodowi, my zaś, aby oddalić się od pogoni, skręciliśmy na północ i tak płynęliśmy przez dzień cały, nie widząc już później lądu. Po zmroku skierowaliśmy się znów ku północnemu zachodowi i oto mamy ląd przed sobą. Oznacza to zapewne, że ciągnie się on od tamtego miejsca ku północy, odcinając nas od drogi na zachód i południe.

– Musimy teraz, nie zbliżając się do tych brzegów, płynąć wzdłuż nich na północ... – Książę także zasepił się.

– A jeśli pobiegną później ku wschodowi, okaże się, że miałeś słuszność nazywając morze to wielkim jeziorem! Lecz nie skarżmy się na los, póki nie mamy żadnej pewności, dokąd nas ów wiatr prowadzi.

Skierowali więc dziób Angelosa na północ i pchani sprzyjającym powiewem poczęli płynąć trzymając się z dala od brzegów, które wygięły się ku zachodowi, a później ponownie ku północy.

Po południu Terteus, tkwiący niemal nieustannie na dziobie z wzrokiem wlepionym w widnokrąg, dostrzegł nowy ląd i zagryzł wargi. Przez chwilę wpatrywał się w niemal niedostrzegalną koronkę wzgórz na północnym zachodzie. Później przeszedł wolno pomiędzy odpoczywającymi towarzyszami ku środkowi okrętu, gdzie w małym przeświecającym już otworami dziur namiocie bogom podobny Widwojos rozmawiał ze starym Nasiosem o obyczajach owego stepowego plemienia, które tak długo trzymało go w niewoli.

– Lękam się, że jest tak, jak przewidziałem... – rzekł Terteus wszedłszy do namiotu. – Pojawił się przed nami nowy ląd... na pomocnym zachodzie!

Inni także ujrzeli już owe wzgórza. Gdy książę i Terteus ukazali się pod masztem, dostrzegli, że wszyscy niemal wioślarze stoją i wskazują sobie nawzajem odległy ląd. Każdy zdawał się pojmować, że pułapka zamyka się, a sny o bogactwie i powrocie rozwiewają się oto na długo, jeśli nie na zawsze.

Stali więc w milczeniu, spoglądając na wzgórza rosnące po prawej przed dziobem okrętu. Po lewej był także ląd., Na wprost nie można go było jeszcze dostrzec, gdyż; zapewne leżała tam niska równina, a wielka odległość,

w jakiej się znajdował, kryła ją za widnokrzem.
Książę i Terteus wraz z całą załogą przeszli na dziób.
Wzdęty żagiel pchał okręt na północ bez pomocy wiosł,
więc choćby nawet pragnęli coś uczynić, musieli czekać,
póki ziemia nie przybliży się.

Piękna Wasan stanęła wsparta o ramię męża i widząc
jego pochmurne oblicze zapytała, czemu się smuci, miast
radować się z tego, że uniknęli pościgu.

- Ty jedna spośród nas wszystkich winnaś się weselić!
- odparł próbując odpędzić smutek, który ścisnął mu
serce. - Bowiem jeśli ład ów zamknął nas i nie ma z niego
ucieczki, być może powrócimy korytami rzek do miejsca,
gdzie ujrzałem cię po raz pierwszy. Wówczas zobaczysz
znów swą wieś ojczystą.

Potrząsnęła poważnie głową.

- Nie stanie się tak! - rzekła z pewnością w głosie. -
Gdyż pożegnałam ją na zawsze. A choć chciał bóg, abym
odpłynęła rzeką żywa, a nie martwa, jak odpływały inne
przede mną, przyjął on jednak ofiarę.

Terteus spojrział na nią spod oka, lecz nic nie odrzekł.
Przemysłny Eriklewes, oddawszy wiosła sterowe dwóm
swym pomocnikom, zbliżył się ku nim idąc z wolna
przez całą długość okrętu. Stanąwszy obok księcia spo-
glądał uważnie, lecz nie na dalekie wzgórze, a na wodę.
- Nie widać ładu przed nami na północy! - rzekł
wreszcie - choć jest on po obu stronach owego miejsca,
gdzie morze styka się z ładem...

- Cóż z tego? - rzekł Terteus. - Czy sądzisz, że nie
pojawi się tam? Zapewne cofnięty jest nieco i tworzy
głęboką zatokę...

- Nie! - Eriklewes potrząsnął głową. - Spójrz na
wodę. Czyż niczego nie dostrzegasz?

Wielu słyszało jego słowa i wszyscy zwrócili spojrzenie
ku niewielkim falom nadbiegającym i kryjącym się pod
dziobem Angelosa. Lecz nie dostrzegli niczego.

- Cóż chciałeś rzec, roztropny sterniku? - zapytał
książę. - Bowiem, jak widzisz, nikt z nas nie umie
wyczytać z tych wód tego, co tobie zdradziły.

- Panie mój, czy pamiętasz owe długie cieśniny, przez
które płynęliśmy po opuszczeniu Troi? Nieustannie mie-
liśmy wówczas prąd wody przeciw sobie, albowiem nie
stała ona w owych cieśninach, jak to się dzieje w zatokach
morskich, lecz posuwała się w jednym kierunku, jak to
czynią wody rzek. A przecież nie były to rzeki. Tak dzieje
się zawsze, gdy okręt wpływa w cieśninę dzielącą dwa
morza. Albowiem tak ustanowili je bogowie. Nigdy nie są
one równe, lecz zawsze wody przelewają się z jednego
morza w drugie... Jeśli myślę się teraz, niechaj gniew twój
mnie ominie, gdyż mówię jedynie to, co widzę i co
doświadczenie moje każe uznać mi za znak nieomylny.

Otóż w morzu tym dostrzegam prąd płynący na północ.
Nie widzicie go, gdyż i nasz okręt płynie w tym kierunku.
Trzeba na to oka człowieka, który niemal cały swój żywot
spędził wpatrzony w wodę. Morze to posuwa się wraz
z nami, lecz wolniej. Sądzę więc, że miejsce owo na
północy, gdzie nie widzimy ładu, jest cieśniną... A jeśli
pragniemy opuścić te wody, tędy będzie prowadziła nasza
droga. Nie wiem jednak, czy będzie ona łatwa i krótka,
czy też długa i mozolna, gdyż nigdy dotąd tu nie byłem!
To mówiąc skłonił głowę i cofnął się, a w serca wszyst-
kich wstąpiła otucha, bowiem Eriklewes nie należał do

tych, którzy rzucają słowa wiatrom płochym, aby poniosły je gdzie bądź.

Nadal nie zbliżając się ku brzegom, płynęli teraz na wprost na północ i wkrótce znaleźli się u wejścia szerokiej cieśniny, której brzegi rozeszły się znów na wschodzie i na zachodzie, tworząc szeroką zatokę morską okoloną niskimi wzgórzami.

A choć Eriklewes z coraz większą pewnością twierdził, że prąd niesie ich ku północy, czekali z zapartym tchem na to, co nastąpi.

Gdy minęło południe, dostrzegli, że brzegi zatoki poczynają zbliżać się ku sobie. Lecz cieśnina nadal jeszcze była rozległa. Przed dziobem ukazały się dwie wyspy, jedna mniejsza, pośrodku spokojnych wód, a druga większa, niemal przylegając do lewego brzegu. Obie były porośnięte lasem.

- Dym! - rzekł Perilawos, który stał obok ojca, wpatrując się w dalekie brzegi.

W rzeczy samej nad wyspą uniósł się wysoki słup dymu, przygasł nagle i znów wybuchnął w górę. Był ciemny i gęsty.

Terteus wydał załodze rozkaz, aby zasiadła na ławach i ujęła wiosła.

- Lękam się, boski książę - rzekł nie spuszczać wzroku z wysokiego pióropusza dymu, który unosił się nad ładem - aby nie był to znak, który stróżujący u wejścia do tej cieśniny dają swym towarzyszom, znajdującym się dalej, dla uświadomienia ich, że nadpływamy. Lecz nic się nie działo, żaden okręt ni łódź nie pojawiły się na gładkiej powierzchni spokojnych wód.

Skierowali się nieco ku północnemu wschodowi, ominawszy mniejszą z wysp od wschodniej strony i nadal trzymając się środka cieśniny, aby nagły atak z ukrytej przystani nie zaskoczył Angelosa.

Ziemie na wschodzie i zachodzie zbliżały się ku sobie coraz bardziej. Cieśnina zdawała się mieć kształt leja.

Okręt płynął szybko, gdyż sprzyjający prąd dawał się już wyczuwać wyraźniej, prąc z południa na północ.

Kraj po prawej był nizinny i płaski, a po lewej wyrastały niewielkie wzgórza. Wszędzie rósł las.

W pewnej chwili wydało im się, że na lewym brzegu dostrzegają zabudowania niewielkiej osady, lecz odległość była zbyt wielka, aby przekonać się, jak jest naprawdę.

Płynęli dalej. Drugi słup dymu urósł za nimi blisko brzegu i pochylony lekkim wiatrem stał na zachodnim niebie pokrywającym się z wolna czerwienią. Małe

białe chmury nadpłynęły
z południa długimi szerega-
mi. Nadal było ciepło.

Po drugiej stronie cieśni-
ny na najwyższym wzgórzu
urósł trzeci słup dymu.

Było cicho, tak cicho, że Białowłosy słyszał wyraźnie
chlupot wody o burty i plusk wiosła zapadających w spo-
kojną toń. Tęsknie spoglądał na przesuwany się z dala
brzeg, zielony, senny i piękny w ciszy dogasającego
słonecznego popołudnia późnej wiosny. Lecz podobnie
jak pozostali wyczuwał w owej chwili grozę. Jak gdyby
gdzieś pośród uspionych lasów nadbrzeżnych czaiło się
niebezpieczeństwo, które lada chwila miało runąć na
nich, a wówczas cisza przemieni się w zgiełk bitewny,
wypełniony wrzaskiem konających i szczękiem oręża.
Rozmowy ucichły. Płynęli w milczeniu. Cieśnina sta-
wała się coraz węższa. Widzieli już wyraźnie korony
poszczególnych drzew górujących nad innymi na obu
brzegach. Światło nadchodzącego wieczoru kładło się na
wody spokojne jak wielki staw, a zmarszczone jedynie
lekkim powiewem.

Żagiel zwiśł i Terteus rozkazał go zwinąć. Stał na
dziobie okrętu patrząc na mijane brzegi i myślał o słupach
dymu, które towarzyszyły im od chwili, gdy Angelos
wszedł w rozwarłe ramiona tego ładu. Przed sobą widział
wody cieśniny i radował się w duchu widząc, że słuszność
miał doświadczony Eriklewes, najwyraźniej bowiem tędy
wiodło przejście ku innym nie znanym wodom. To praw-
da, że płynęli na północ, nie na zachód, lecz w czasie
długich podróży okręty nieraz musiały nadkładać drogi
i przywykł do tego. Jeśli tylko odnajdą znów później swój
błękitny szlak, wiodący ku znanym okolicom, wszystko
inne nie miało znaczenia.

Wybrzeże po prawej było proste, las dochodził do
wąskiej linii piasków. Po lewej było bardziej pofałdowa-
ne, a w miejscu, gdzie cieśnina wydawała się najwęższa,
wyrastał wysoki przylądek...

Głos człowieka nawołującego spokojnie nad masztem
niósł się po wodzie. Angelos płynął z niewielką szybkoś-
cią, trzymając się ciągle środka nurtu. Było to najwęższe
miejsce przesmyku, nie tak wąskie, aby można było na
brzegach ujrzeć pojedynczą postać ludzką lub odróżnić
leżące głazy, a jednak trudno byłoby uniknąć walki,
gdyby...

Terteus potrząsnął głową. Szybko przeszedł do masztu
i nakazał zwiększenie szybkości. Cokolwiek miało nastą-
pić, jeśli miało nastąpić, źle byłoby, gdyby okręt musiał
dopiero nabierać prędkości. Głos pod masztem urósł
nieco:

- Płyn przez fa-le! - Wiosła uniosły się i cofnęły
zapadając w wodę. - Płyn przez fa-le... - Znowu uniosły
się i opadły, nieco szybciej.

Książę, w hełmie, pancerzu i nagolennicach, zbliżył się
trzymając w dłoni włócznię. Terteus wiedział, że stary,
kamienny, dwusieczny topór rodowy spoczywał w namio-
cie. Dziwne to było, że bogom podobny Widwojos, choć
ze słów jego wydawało się, że niewiele robi sobie z bogów,
zawsze miał go w ręce, gdy nadchodził czas bitwy. Najwy-
raźniej teraz, choć jak inni był w pełnym pogotowiu do
boju, nie sądził, aby niebezpieczeństwo mogło zagrozić

im znienacka.

- Gdy minie my to miejsce... - rzekł stanawszy obok Terteusa i wskazując przylądek - przesmyk rozszerzy się. Czy widzisz, jak brzegi uciekają od siebie...?

I rzeczywiście, choć lewy brzeg osłonięty był wzniesieniem przylądka i nie można było dojrzeć, co się za nim znajduje, wzrok sięgał ponad prawym i można było dostrzec za najwęższym miejscem szerokie, otwarte wody, zabarwione blaskiem wieczoru.

- Wygląda na to, jak gdybyśmy mieli wpłynąć na morze krwi! - Bogom podobny Widwojos patrzył w głąb cieśniny.

- Oby nie naszej krwi! - Terteus uśmiechnął się. Rysy jego były napięte, a wzrok przesuwiał się nieustannie po nadbrzeżu. Nie działało się nic, mimo to serce jego nie było spokojne. A przecież naokół był ciepły wieczór i puste, ciche wody. Nic nie zwiastowało walki. Owe dymy mogły być ostrzeżeniem dla osad i łodzi rybackich, gdyż zapewne i na tych wodach pojawiali się piraci. Lecz serce bito szybciej, a dłoń zaciskała się na rękojeści miecza. Odwrócili się obaj, słysząc okrzyk nadbiegający z tyłu. To roztropny Eriklewes wołał:

- Okręty za nami!

Ruszyli szybko na tył okrętu, a nawołujący żeglarz przyspieszył bez rozkazu rytm swego powtarzającego się okrzyku. Wiosła zanurzyły się głębiej i Angeles drgnął. Rozcinając potężnym dziobem nurty spokojnej cieśniny, zbliżał się teraz ku przylądkowi i największemu przewężeniu przesmyku.

Dostrzegli je wyraźnie daleko za sobą. Nie były to wielkie okręty, lecz długie niskie łodzie o uniesionych dziobach. Było ich kilkadziesiąt i płynęły zajmując całą szerokość cieśniny.

Terteus odetchnął głęboko. Choć wróg nadpływał w wielkiej przewadze, uczuł nagłą ulgę. Przeczucie nie myliło go! To, co musiało nadejść, nadchodziło!

Patrzył na ścigające łodzie, które nie zbliżały się już i zaczęły pozostawać w tyle. Były znacznie wolniejsze niż Angeles sunący teraz całą mocą swych osiemdziesięciu wiosel.

- Zbyt późno wyruszyli za nami! - rzekł książę wzruszając ramionami. - Oto mijamy gardło przesmyku i wkrótce znajdziemy się na szerokich wodach. Wówczas mogą powrócić ze wstydem do swych skrytych przystani, gdyż nie ujrzą nas nawet z bliska! Zaledwie skończył, gdy z dziobu dobiegł ich okrzyk:

- Okręty przed nami!

Terteus uniósł się na palce i spojrział. A to, co ujrzał sprawiło, że serce, gwałtownie łomocące w piersi, zatrzymało się na chwilę i zaczęło bić jeszcze szybciej.

Wyskakiwały spoza przylądka jedna po drugiej: długie niskie łodzie o kilkunastu wiosłach, a w każdej stali wojownicy. Było ich wielu, a ciągle spoza wzniesienia wypływały nowe. Były tak blisko, że zaledwie zdążył krzyknąć Eriklewesowi:

- Płyn prosto nie bacząc na nic!

Biegł ku przodowi. Zatrzymał się pod masztem i zawołał wielkim głosem:

- Gdy uderzymy w nich, wiosłujcie dalej! Wiosłujcie! Choćby wyrywali wam wiosła!

I pobiegł ku dziobowi wraz z tymi kilkunastoma, którzy

nie siedzieli na ławach.

Łodzie były tuż przed nimi. Najbliższa z pogarda śmierci szła z boku wprost na dziób Angelosa, pragnąc go zatrzymać. Znajdując się wysoko ponad nią, dostrzegł wyraźnie półnagich, pochylonych wiosłarzy i stojących pomiędzy nimi wojowników w skórzanych hełmach, którzy wymierzili łuki w nadpływający okręt. Pierwsza strzała świsnęła, za nią posypały się oszczepy. Terteus osłonił się tarczą i opuścił ją zaraz, gdyż w tej samej chwili dziób Angelosa zgrzytnął i uniósł się, a cały okręt przebiegło potężne drżenie.

Przecięta na pół łódź rozprysnęła się niemal, zmiażdżona spiżowym dziobem kreteńskiego olbrzyma. Spostrzegł wykrzywione wrzaskiem twarze, a tuż koło dziobu rozprute, buchające krwią ciało ludzkie zapadające się pod powierzchnię wzburzonej wody. Wszystko zniknęło nagle pod dnem Angelosa i odbiegło na boki rozgarnięte potężnym kadłubem.

W tej samej chwili usłyszał krzyk na lewej burcie. Druga nadpływająca łódź, obsypawszy wiosłarzy strzałami, uderzyła z ukosa wjeżdżając pomiędzy opadające wiosła. Część wiosłarzy zdążyła unieść je, lecz dwa złamały się z trzaskiem, a z łodzi skoczyli na burtę półnadzy wojownicy. Trzymając w rękach krótkie topory o podwójnych brązowych ostrzach rzucili się na wiosłarzy. Było ich jedynie kilku, lecz Terteus wiedział, że najcięższa godzina tej wyprawy nadchodzi. Następne łodzie były tuż-tuż, a z tyłu nadpływał rój pozostałych. Jeśli dopadną i unieruchomią Angelosa pośród tych spokojnych wód, staną się one grobem całej załogi.

Lecz okręt płynął dalej: siłą rozpędu i pchany nadal wiosłami. Gardząc niebezpieczeństwem, ludzie pochylali się nad wiosłami.

Na burcie trwał krótki, zażarty bój. Biegając tam Terteus dostrzegł uniesiony w górę topór, który opadł na grzbiet wiosłującego Kreteńczyka. Pomimo zgiełku doszedł go straszliwy, wysoki krzyk trafionego. W tej samej chwili napastnik padł przebity mieczem nadbiegającego Metalawosa o potężnych ramionach. Nie zasiadł on dziś przy wiosle i był jednym z kilkunastu, którzy musieli bronić wiosłarzy.

Metalawos wziął straszliwy zamach i drugi wojownik, gramolący się na burtę z nożem w zębach, runął bez okrzyku do wody z ciałem przeciętym niemal na pół. Terteus biegnąc odbił tarczą zamach topora i ciał z góry mieczem ostatniego z pozostałych przy życiu wrogów. Czując, że ostrze zagłębia się w miękkie ciało, nie spojrzał nawet, wrywając miecz z rany. Odwrócił się ku wodzie. Angeles wyminął już przylądek i parł rozpaczliwie naprzód, przedzierając się pomiędzy nadpływającymi gęsto łodziami nieprzyjaciela.

Jedna z nich pędząca wprost na okręt wykręciła tuż przy nim i nad pokładem świsnęły strzały. Lecz nie uderzyła. W owej jednej chwili, gdy ważyły się losy ucieczki, serce musiało upaść w jej sterniku, gdy pojął, że zagładę uciekającego okrętu musi połączyć z własną śmiercią. Druga łódź rozpędzona i godząca w bok Angelosa wpadła na pierwszą i wiosła ich splątały się. Lecz trzecia, pędząca tuż za nimi, wyminęła je zręcznie i natarła ostro, godząc nie w kadłub, lecz w wiosła okrętu.

Uniosły się one szybko, prócz jednego, tego, przy którym

leżał wioślarz z rozplatanym grzbietem. Zwano go Ene-
xeus i pochodził ze wschodnich krańców Krety, a był
skromny w mowie i dzielny w boju. Nie miał on już nigdy
ujrzeć rodzinnych brzegów, gdyż dusza jego uleciała
w owej chwili przez wielką ranę zadaną toporem i zapew-
ne byta J*^ w drodze ku Krainie Mroku.

Grad strzał i włóczni sypnął się z góry ku nacierającej
łodzi, a ze odległość była mała, więc wszystkie niemal
dopadły celu. Terteus stojąc u burty widział padających
wojowników i wioślarzy wypuszczających wiosła, jak
gdyby duch śmierci nagle przeleciał nad nimi.

Angelos parł dalej przed siebie, czarny i potężny,
górując nad niskimi, szybkimi łodziami, które rzuciły się
za nim jak drapieżniki za wielkim rannym zwierzem.

Wciągnęły złamane wiosła. Nikt nie słyszał już głosu
człowieka podającego rytm wiosłom, gdyż wszystko za-
głuszał wrzask atakujących. Terteus ujrzał Metalawosa
o potężnych ramionach zamierzającego się włócznią.

Świsnęła strzała. Żeglarz, stojący obok Metalawosa i mie-
rzący z tuku, rozkrzyżował ramiona i padł na burtę,
a z niej do wody, nie wypuszczając broni z ręki.

Towarzysze ujrzeni, że z najbliższej łodzi rzucono ku
niemu dwa oszczepy, które ugrzęzły w ciele, nim zniknął
pod powierzchnią wody, nadal trzymając łuk w martwej
dłoni.

Jedna tylko łódź była tuż za okrętem, gdyż inne zawra-
cały k " "ieniu, minawszy go z tyłu w pierwszym natarciu
lub nadpływając dopiero.

Białowłosy, który siedział przy wiosle, napierając na
nie z wszystkich sił i bacząc tylko, czy unosi się ono równo
z tym, które je wyprzedzało, gdyż nikt już nie podawał
rytmu, dostrzegł nadpływającą z boku łódź, która zrów-
nała się z okrętem.

Pochylił się niżej, widząc niemal w zasięgu ręki łuczni-
ków mierzących z dołu wprost w niego. A choć był
osłonięty wzniesieniem burty, wiedział, że może zginać
w tej chwili, gdyż podwyższenie z desek nie kryło całego
jego ciała.

Nagle wiosło szarpnęło wrywając mu niemal ramiona
z barków. Nagi wojownik barbarzyński skoczył z łodzi
i uwiesiwszy się u nasady pióra, szarpnął za nie szczerząc
zęby w straszliwym grymasie. Skórzany, rogaty hełm
spadł mu z głowy, nad którą płonęła grzywa czerwonych,
zmierzwionych włosów.

W tej samej chwili obok ławy mignęła biała, krótka
szata. Piękna Wasan z łukiem w ręku jak błyskawica
napięła cięciwę, pochyliła się i nie mierząc niemal wypuś-
ciła strzałę wprost we wroga znajdującego się w wodzie.

Później schyliła się, szybka jak wiatr, padając niemal na
kolana Białowłosego. Kilka strzał gwizdnęło nad nimi.

Białowłosy szarpnął wiosłem. Ucisk zelżał. Wyjrzał
szybko i ukrył głowę. Dostrzegł szeroko rozwarte ramio-
na, głowę i pierś tamtego, w której tkwiła głęboko wbita
strzała. Człowiek zanurzał się z wolna.

Wasan wyczołgała się podnosząc jedną z leżących na
pokładzie strzał. Pochylona pobiegła ku rufie.

Białowłosy napał na wiosło. Z drugiej strony okrętu
łagodnym łukiem nadpłynął ciśnięty niewidzialną ręką
oszczep z wąskim brązowym grotem i wbił się tuż obok
jego nogi.

Na rufie walczono, słyszał wrzaski i trzask jak gdyby

łamanych desek.

Lecz Angeles płynął dalej. Nie zwolnił niemal uprzednio? uderzywszy w barbarzyńską łódź, i nabierał teraz szybkości.

Nagle wszystko ucichło. Wrzaski pozostały gdzieś na wodzie, słabnąc.

Znowu rozległ się miarowy, zdyszany głos pod masztem. Wiosła uniosły się i opadły równo. Pod ich potężnym naporem okręt poszybował niemal po wodzie. Rzucili teraz do walki wszystkie siły, jak gdyby każde pociągnięcie miało stanowić o życiu i śmierci. I stanowiło, bowiem rozrzucona szeroko pogoń była tuż za nimi.

W zapadającym zmroku płynęli kierując się ku środkowi nurtu coraz szerszą cieśniną, której brzegi uciekały rozstępując się w dali. Przed nimi była rozległa, na pół zanurzona już w ciemności równina wodna.

Bogom podobny księżę i Terteus szli wolno wzdłuż okrętu. Oddychali ciężko. Kamienny, podwójny topór zboczony był świeżą krwią podobnie jak obnażony miecz młodego żeglarza.

Pod masztem leżało siedmiu umarłych towarzyszy, ósmy, który zginął w nurtach cieśniny, nie będzie z nimi złożony do grobu. Lecz że zginął w boju, usypia mu i uwieńczą głazami cenotaf: grób ku czci bohatera, którego ciało przepadło. Pogrzeb taki był równie godny, jeśli nie godniejszy niż inne, i zapewniał duszy zmarłego uroczyste zejście do Krainy Mroku.

Niemal połowa żeglarzy odniosła rany, a dwu z nich tak ciężkie, że pielęgnowająca ich Wasan w milczeniu kleciła głową nad nimi, choć wargi jej poruszały się tajemnym szeptem, będącym zapewne modlitwą jej ludu lub powtarzanym zaklęciem, mającym uratować ich przed wiekiśtą ciemnością. Ona sama miała zakrwawioną skroń, gdyż przelatująca barbarzyńska strzała wplatała się w jej jasne rozpuszczone włosy, wrywając ich kosmyk wraz ze skórą.

Okręt płynął na sześciu dziesiątkach wiosł, gdyż nie było już więcej niż sześćdziesięciu ludzi, którzy mogliby zasiać na ławach.

Roztropny Eriklewes, choć ranny w ramię, leżąc na dziobie wpatrywał się w mrok rozjaśniony wschodzącym księżycem.

Albowiem wisiała nad nimi nowa straszliwa groźba: podwodna skała lub mielizna na tych śródlądowych wodach, których nie znali. Gdyby Angelos utknął, niewidzialny pościg, czający się za nimi w ciemności, dopadłby ich w mroku lub o wschodzie słońca, a wówczas nikt nie uszedłby z życiem.

Obok Eriklewesa stał Perilawos z obwiązaną ręką.

Rana jego była lekka, strażował więc tu czekając, aż usłyszy głos sternika, bowiem Eriklewes osłabł bardzo i nie mógł zakrzyknąć głośniejszej. Gdyby dostrzegł przed dziobem przeszkodę lub po kształtowaniu się drobnych fal na powierzchni wyczuł z dala mieliznę, wówczas Perilawos miał donośnym okrzykiem zawiadomić ludzi stojących na tyle okrętu przy wiosłach sterowych. Umęczeni wiosłarze wiedząc, że żaden z towarzyszy nie da im zmiany, pochylali się zaciskając zęby i oddychając ciężko. Trzecią już godzinę gnali tak środkiem owej cieśniny.

Małe chmurki przesłaniały chwilami księżyc, zerwał sk

wiatr, początkowo lekki, później mocniejszy, i zaszumiał nad okrętem.

- Żagiel! - krzyknął Terteus unosząc się na krótką chwilę z ławy, gdyż zasiadł do wiosła wraz z innymi, gdy jeden z towarzyszy, ranny w czasie walki, runął nagle, wypuszczając z omdlałych rąk wiosło.

Rzucili się do masztu i w szarym świetle przedświt z wolna rozwinęła się ogromna głowa Byka o ślepych, białych oczach spoglądających w tarczę miesiąca.

- Zaprzeście wiosłować, lecz zostańcie na ławach!

- krzyknął Terteus i wyciągnawszy wiosło pobiegł na dziób, by zapytać Eriklewesa, czy okręt utrzyma przewagę nad pogonią płynąc pod samym tylko żaglem. Roztropny sternik długo wpatrywał się w wodę i skinął głową.

- Płyniemy nieco szybciej niżli uprzednio na sześciu dziesiątkach wiosła. Lecz jeśli ujrzysz pościg, niechaj ludzie wiosłują co sił, bowiem nie wiemy, jakie żagle mają barbarzyńcy przy swych lekkich łodziach. Jednego jesteśmy pewni: znają oni te wody po stokroć lepiej niżli my i będą umieli wykorzystać każdą sprzyjającą głębię i prąd, a znając tu każdą mieliznę wyminą ją, podczas gdy my jesteśmy w ręku bogów i na łasce naszych oczu, które mogą sprzeniewierzyć się nam w ciemności.

Mówiąc to nie odrywał wzroku od nurtu, lecz szczęśliwie cieśnina ta nie kryła podwodnych skał i piaszczystych mielizn tak ulubionych przez wodne ptactwo.

Ciemność trwała tak krótko, że nie mogli uwierzyć niemal, gdy na wschodzie poczał wstawać brzask.

Wokół nich była równina wodna, lekko pofałdowana, gdyż wiatr wiejący z południowego zachodu był coraz mocniejszy. Niebem szły rzędy białych, drobnych chmur jak stada mlecznych owiec.

Gdy weszło słońce, skonał jeden z rannych, imieniem Tamieus, który pozostawił w Amnizos żonę i czworo dzieci w domostwie brata swego, mającego kram z późniejszymi rodzajami wina, a zgłosił się na okręt, gdyż chciał zostać bogatszym niżli ów brat.

Ułożyli go obok umarłych towarzyszy i płynęli dalej gnani sprzyjającym, porywistym wiatrem, który sprawił, że pokonali wielką połać morza, a gdy nadeszło południe, znaleźli się pośrodku zielonobłękitnego bezmiaru wód, kołysani wysoką falą, którą wzburzyły gwałtowne porywy wiatru. Po lewej mieli pusty widnokrąg morski, a po prawej, na wschodzie, daleką, niksą linię brzegów i rozplywające się w słonecznej mgielece zarysy bardziej jeszcze odległych wzgórz.

W milczeniu posilili się wszyscy suchymi plackami z tłuszczem owych potworów morskich i popili je łykiem słodkiej wody z zapasu odnawianego na każdym postoju.

Wówczas piękna Wasan podeszła do męża, który stał wraz z bogom podobnym księciem na dziobie, naradzając się z nim i Eriklewesem.

- Człowiek ów zemrze... - rzekła wskazując maszt i leżących pod nim umarłych i rannych. - A umrze też i drugi, i może jeszcze jeden, jeśli nie nazbieram ziół, abym mogła je przyłożyć do ich ran. Muszą oni leżeć, choć kilka dni, na ziemi, nie na okręcie, gdyż kołysanie sprawia im cierpienie i rany ich nie zasklepią się łatwo.

Wyrzekłszy to stanęła naprzeciw nich wyczekująco. Jej krótka płócienna szata rozerwana była w kilku miejscach

i poplamiona krwią rannych, których pielęgnowała. Włosy miała nie rozczesane kościanym grzebieniem, a zakrzepła krew na skroni czyniła jej lico mniej pięknym i bardziej groźnym, jak gdyby była rosłą i silną boginią wojny, przybyła tu, by upomnieć się o tych, którzy dla niej przelali krew.

Terteus spojrział na księcia.

- Trzeba pochować umarłych... - rzekł Widwojos

z wahaniem. - Lecz jeśli natrafimy na brzegu na nowy ład, równie niegościnnie i wrogi jak owe dwa, które napotkaliśmy w ciągu ostatnich dni, czy znajdziemy dość sił, by zmierzyć się z jego mieszkańcami? Dziewięciu wiernych towarzyszy naszych utraciliśmy dziś bezpowrotnie, a co najmniej piętnastu długo jeszcze nie zasiądzie przy wiośle i nie uniesie włóczni.

- Czy zezwolisz mi, boski księżę, bym rzekł, co sądzę?

- zapytał roztropny Eriklewes.

- Mów, dzielny sterniku! - Widwojos zwrócił ku niemu oblicze.

- Słusznie uczyniło owo barbarzyńskie plemię atakując nas z dwu stron w wąskiej cieśninie, bowiem wodzowie ich mogli się spodziewać powodzenia takiego przedsięwzięcia. Jak wiesz, potomku bogów, zaledwie wymknęliśmy się z ich rąk, unosząc żywot, a udało się to jedynie dlatego, że okręt nasz potężniejszy jest i szybszy niżli wszystkie, które tędy płynęły kiedykolwiek. Gdyby był odrobinę wolniejszy, a ostroga naszego dziobu mniej potężna, zginęlibyśmy rozszarpani przez owych ludzi nadciągających z dwu stron w wielu łodziach. Lecz płynęliśmy przez owe krainy długo i poznaliśmy już nieco ich nadbrzeża. Sądzić możemy słusznie, że nie są one równie gęsto zamieszkane jak brzegi naszych mórz, gdzie każdą wyspą mogącą wyżywić stado kóz włada inny król... - Urwał i odetchnął ciężko, gdyż rana dręczyła go i czuł żar owładający jego umysłem. - Można więc sądzić, że jeśli będziemy płynęli jeszcze do późnego popołudnia z tak sprzyjającym wiatrem, jaki wzdyma nam teraz żagiel, ujdziemy daleko od owego przesmyku. Nie wierzę, aby barbarzyńcy owi widząc, jak potężny jest nasz okręt, pragnęli ścigać go na pełnym morzu, gdzie łodzie ich nie mogą gnać po wysokiej fali, lecz musiałyby je ona rozproszyc. A wówczas, gdyby nawet któraś z nich napotkała nas, prędko musiałyby się przemienić ze ścigającej w ściąganej. Zawrócili oni do swych siedzib pojmując słusznie, że nigdy nas nie dopędzą...A oto nie widać nawet za nami wzgórz ich krainy. Daleko już odpłynęliśmy. Możemy więc oddalić się jeszcze ku północy dla większego bezpieczeństwa, a późnym popołudniem poześlujemy ku owym brzegom, które widać w wielkim oddaleniu. Jeśli okażą się one bezludne i będzie tam zatoka, gdzie uda się skryć Angelosa przed oczyma mogącymi wypatrywać z morza, wówczas przybijemy do brzegu. Bowiem mając jedną trzecią załogi umarłą lub poranioną, jesteśmy jako okulały koń i trudno nam będzie zerwać się do biegu, gdy okoliczności nakażą. A wówczas zginiemy wszyscy.

Rzekł to i opadł na deski. Terteus w milczeniu skinął głową. Nie mógł nic dodać i niczego ująć ze słów sternika.

- Uczynimy, jak radzisz - rzekł bogom podobny Widwojos i późnym popołudniem skierowali się ku północnemu zachodowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niechaj umrze

o wschodzie słońca

Przed zmrokiem zbliżyli się ku brzegom usianym małymi wysepkami gęsto porośniętymi karłowatą sosną. Płynąc z wolna przez ów archipelag, pośród chmar wodnego ptactwa, pojęli, że nie jest to kraina zamieszkała przez ludzi.

Noc spędzili na jednej z wysepek, wysokiej i skalistej od strony morza, a mającej łagodną przystań od lądu. Nie rozpalili ognia w obawie, aby blask jego i dym nie zdradziły ich.

Przy bladym blasku księżyca pochowali we wspólnym grobie umarłych towarzyszy, a obok wzniesli drugi kopiec dla poległego żeglarza, którego ciało spoczywało na dnie cieśniny. Włożyli tam jego miecz i włócznię, której nie zdążył użyć, a książkę sypnął w pustą jamę garść bursztynu. nim towarzysze podeszli, by rzucić garść ziemi.

Odchodząc uradowali się, gdyż pożegnany bohater-skim pogrzebem odzyskał on miejsce w myślach wszechmocnych bogów. Wiedzieli, że uczczona przez towarzyszy dusza jego zapewne weseli się teraz schodząc z podniesionym czołem do Krainy Mroku. Każdy więc pozdrowił go w myślach swych i z lżejszym sercem zasiedli do wieczerzy. Lecz piękna Wasan nie znalazła potrzebnych ziół na owej skalistej i niemal pozbawionej roślinności wysepce, choć szukała ich długo, a księżyc świecił jasno.

I znowu świt wstał tak szybko, że zaczęli spoglądać na niebo z lękiem. Działo się to, jak gdyby ktoś odcinał co dnia większy płat z czarnego płaszcza nocy.

Widząc ze szczytu wysepki, że morze naokół jest puste jak okiem sięgnąć, przepłynęli krętą drogą wodną pomiędzy kilku skalistymi wysepkami do lądu. Wszędzie rósł tu las, lecz znaleźli tuż przy brzegu piękną polanę, a cieśle sklecili naprędce niewielką szopę, gdzie złożono rannych i można było rozpaść po zmroku ognisko osłonięte ścianami z wbitych w ziemię, stojących blisko siebie pni drzewnych.

Pozostali tu dni cztery. Niemal wszyscy ranni poczęli powracać do zdrowia, gdyż rany ich goiły się prędko. Piękna Wasan zbierała zioła, składając je w różne pęczki, a później wrzucając do spiżowego kociołka, gdzie długo bulgotały nad ogniem wydzielając silną i ostrą woń. Później zawijała łodygi, kwiaty lub liście w płótno i przykładała do nie zagojonych ran, a inny wywar kazała pić tym, których ciała dygotały od wewnętrzznego żaru.

Na piąty dzień, zebrawszy naręcze ziół rozmaitych i ukrywszy je na dnie pustego glinianego dzbana, rzekła, że mogą odbić od brzegu, bowiem nikt z rannych nie zemrze.

W owym czasie cieśle wykonali nowe wiosła w miejsce złamanych, a na żądanie Terteusa także dwa zapasowe wiosła sterowe, nie wiedzieli bowiem, co ich jeszcze czekać może.

Po naradzie postanowiono płynąć jeszcze przez pewien czas wzdłuż brzegu na północ, gdyż wiatr dał silny i nie mogli wyruszyć płynąć przeciw niemu przez pełne wzburzone morze, nie wiedząc, czy czeka ich brzeg za widnokrzem. Nie śmieli zresztą tego uczynić, nie mając pełnej załogi przy wiosłach.

Ruszyli więc na północ, nadal gnani wiatrem, z dala od brzegów, lecz nie tracąc ich z oczu. Wybrzeża owej krainy

zdawały się obfitować w wielkie i małe wyspy, które nieustannie pojawiały się przed nimi. Brzegi stawały się coraz bardziej poszarpane, uciekały w głąb i powracały znowu, tworząc nieskończoną ilość zatok.

Na trzeci dzień ujrzeli z dala na północnym zachodzie, za morzem, cień wysokich gór na niebie. Były one tak dalekie, że w pierwszej chwili Białowłosy, który je dostrzegł, sądził, że to ciemne obłoki.

Po noclegu porzucili poblizze brzegów i skierowali się przez pełne morze ku owym odległym szczytom.

Lecz były one dalej, niżli przypuszczano, i noc zastała ich na morzu w wielkiej jeszcze odległości od lądu. Wiatr ucichł, gdy zaszło słońce. Noc była ciepła. Od dnia, gdy śmierć spotkała ich towarzyszy, nie słychać było pieśni na pokładzie Angelosa. Okręt stał się po ich odejściu jak gdyby przestronniejszy i każdy wyczuwał pustkę w miejscach, które ongiś zajmowali umarli. Węzełki ich nadal leżały pod pustymi ławami, gdyż nikt nie chciał ich ruszyć. Nie było zresztą nowych wioślarzy, którzy zajęliby miejsca poległych, choć wciąż jeszcze więcej niżli osiemdziesięciu ludzi płynęło pod czarnym żaglem i w potrzebie każde wiosło mogłaby ująć para ramion. Lecz część rannych nie odzyskała jeszcze sił i niewielki byłby z nich pożytek.

Tego wieczoru nie było chmur na niebie. Słońce zaszło z wolna i długo spoglądali na jego wielką tarczę, dotykającą krawędzi wód i niknącą w ich głębinie.

Lecz ciemność nie zapadła, gdyż została po słońcu szeroka poświata na niebie i ludzie mogli z dala rozpoznać oblicze towarzyszy, a odległe góry nadal tkwiły na widokręgu w łagodnym półmroku, który nie chciał stać się nocą. Później blask urósł i rąbek słońca wynurzył się ponownie, oblewając morze ostrym blaskiem.

Nawet bogom podobny Widwojos, który zdawał się niczemu nie dziwić naprawdę, spoglądał na ów dziw z niepokojem. Gdyż nikt dotąd nie słyszał, aby powracało ono, zaledwie zanurzwszy się w fale morza!

Dnia tego po raz pierwszy nie ucieszył ich blask boga światłości. W ciągu całej nie kończącej się drogi słońca przez niebiosy spoglądali na nie z trwogą, lękając się, aby nie pozostało na wieki nad ich głowami przegnawszy noc, a wraz z nią wypoczynek czekający wszelkie strudzone stworzenia ziemi.

Dalekie góry na widokręgu urosły i wkrótce dostrzegli bliższe, pokryte ciemnym lasem wzgórze i linię brzegów u ich stóp. Widok ów pokrzepił nieco ich serca, bowiem wybrzeże to biegło łagodnie ku południowemu zachodowi i mogło wreszcie poprowadzić ku ojczystym stronom. Spędzili krótką szarą noc na brzegu skalistej głęboko wrzynającej się w ląd zatoki, do której szczęśliwie wpłynęli, jak pokazały późniejsze wypadki. Nigdzie tu nie było widać śladów człowieka, a okolica cała zdawała się pępą i mroczną, choć dzień trwał nad nią tak długo i słońce wznosiło się wyżej niżli nad innymi krainami ziemi. Z gór biegły ku morzu szybkie strumienie, spienione w kamiennych łożyskach, a woda ich była tak chłodna, że dłonie kostniały, gdy trzymało się je zanurzone w niej choćby krótko. Las świerków, przetykany dębami i brzozą, rosnący na zboczach wzgórz, rzadsze miał poszycie, a pnie drzew porastał ciemny zielony mech, choć na polanach rozkwitało wiele kwiatów, zwiastujących nadejście lata,

podobnie jak wszędzie na ziemi.

O świcie, gdy mieli opuścić to miejsce, runęła na nich spoza wzgórz gwałtowna i nagła burza siejąc gradem piorunów i zatapiając świat w potokach deszczu. Trwała ona do późnego popołudnia. Pozostali więc w owym miejscu na drugą noc, choć chmury odeszły równie nagle jak przyszły, roz pogodziło się, a rozszalałe fale morza, rozpryskujące się wysoko na nadbrzeżnych głazach, poczęły cichnąć i uspokajać się. Podziękowali wówczas bogom, że natchnęli ich, aby wprowadzili okręt do zatoki, choć nic nie zwiastowało zawczasu owej burzy. Albowiem na brzegu otwartego morza nacierające ogromne fale sięgnęły lasu, podmywając i porywając drzewa. Niechybnie pochwytyłyby też i roztrzaskałyby Angelosa lub uniosły go z sobą na pełne morze, aby tam zatopić. Tego wieczoru, gdy ostatni pomruk nawałnicy ucichł za widnokrzem, Terteus podszedł do Białowłosego, siedzącego na nadbrzeżnym głazie i ostrzającego miecz na skórzanym pasie, którym opasywał biodra w boju.

- Oszczędzają nas bogowie, jak dotąd! - Roześmiał się i przytrzymując dłonią jeden koniec pasa usiadł obok chłopca. - Burza nie uczyniła krzywdy nam ni okrętowi, a przez ów bój z barbarzyńcami przeszliśmy obaj, jak gdyby była to wojenna zabawa chłopięca! Myślę czasem, czy to nie dzięki tobie wyprawa nasza płynie jeszcze?... - Spoważniał nagle. - Być może w dniu twych narodzin postanowiono, że przemierzysz świat cały i włos ci z głowy nie spadnie? A d, którzy są z tobą, korzystają z tego. Białowłosy opuścił miecz. Potrząsnął głową.

- Gdy uciekałem z Egiptu... - rzekł cicho - był ze mną człowiek pewien, imieniem Lauratas. Ocalił mi on żywot... i sam zginął. A ja zapewne także nie mówiłbym tu dziś z tobą, gdyby nie twa małżonka. Uratowała mi żywot... - Pociągnął palcem po ostrzu miecza i wsunął go do pochwy. - A jeśli nie żywot, to przynajmniej wiosło, bowiem barbarzyńca ów, pochwycawszy je szarpał z całych sił, nie dając wiosłować nie tylko mnie, lecz i tym, którzy byli przede mną i za mną. Gdyby rzuciło się ich w wodę więcej tak śmiałych jak on, nie wiem, czy uszlibyśmy?...

I opowiedział Terteusowi o tym, jak piękna Wasan ugodziła strzałą wojownika, który uczeplił się jego wiosła.

- Nie rzekła mi o tym słowa! - Terteus pokręcił głową, jak to miał w zwyczaju, gdy chciał przemyśleć rzecz jakąś niespodzianą. - Byłem tak zajęty bojem i opędzaniem się od owych rwących się na burty barbarzyńców, że, prawdę mówiąc, zapomniałem o niej, a przypomniałem sobie wówczas, gdy pozbyliśmy się pościgu. Lecz zajęta już była opatrywaniem rannych, co zdaje się jej sprawiać wielką radość, gdyż nic innego nie czyni od tej pory! - Znowu się roześmiał, lecz spoważniał natychmiast. - Nie o tym przyszedłem z tobą mówić...

Zawiesił głos i rozejrzał się, jak gdyby pragnąc upewnić się, że są sami z dala od innych.

Białowłosy zerknął na nocne niebo oczyszczone burzą i obsypane gwiazdami migocącymi ostro naokół młodego księżyca, lecz pozbawione, jak się zdawało, na zawsze pełnej ciemności. Później zwrócił spojrzenie ku przyjacielowi i czekał bez słowa.

- Bitwa owa, śmierć tak wielu towarzyszy i to, co po tym nastąpiło, kazało nam zapomnieć o niebezpieczeńs-

twie, które nieustannie wisi nad bogom podobnym Widwojosem i jego synem!

Terteus wypuścił koniec pasa, a Białowłosy odruchowo ujął go w ręce i wsunawszy nań rzemień pochwy opasał się nim.

- Cóż mamy uczynić? - zapytał nie pojmując, czemu przyjaciel właśnie teraz o tym myśli. Bogom podobny ksiązę ni Perilawos nie oddalali się ostatnio od okrętu, gdyż polowano tu mało, więcej jedząc łowionych za dnia ryb i ptaków, od których roiły się mijane wysepki nadbrzeżne.

- Rozmyślałem nad tym... -Terteus wstał i podszedł do brzegu. Przez chwilę spoglądał na wzburzone fale nadbiegające w głąb zatoki z mrocznej, przemawiającej różnymi głosami równiny wodnej i załamujące się z głośnym szumem na krawędzi brzegu. Później zawrócił i stanął przed Białowłosym. - Poczynam lękać się, że jeśli morderca ów będzie pragnął wykonać swój zamysł, uczyni to wkrótce!

- Jakże możesz wiedzieć o tym, nie znając jego myśli?

- Białowłosy także się podniósł.

Mimowolnie spojrział na odległe ognisko, wokół którego krążyły ciemne postacie wynurzające się z mroku i niknące w nim ponownie.

- Wie on już, jak i my wszyscy, że minawszy ów przesmyk wyprawa opuściła wreszcie morze na północy świata. Ma więc prawo sądzić, że jedynie niepomysłne wiatry mogą powstrzymać nas przed osiągnięciem znanych wszystkim wód i lądów. Oby się nie mylił, gdyż ja nie mam owej pewności, choć cała załoga tak myśli. Wyprawa powraca, a bursztyn spoczywa w pithosach na dnie okrętu. Mając ów skarb Widwojos wiele może uczynić. Lecz coż robi, nim uczyni cokolwiek? Otóż napotkawszy pierwszy okręt kreteński ksiązę rozgłosi zapewne, że królewski brat pragnął go zabić. A wraz z nim syna jego. Wówczas człowiek ów będzie narażony na zgubę jak pozostali żeglarze z Angelosa, bowiem nie wykonał królewskiego rozkazu i zezwolił żywemu Widwojosowi powrócić wraz z synem do krain znanego świata. Musi więc działać w pośpiechu, bo któż z nas wie, jak daleko stąd znajduje się ów znany nam świat? Być może ujrzymy za dzień lub dwa krawędź znajomego ładu, którego nie spodziewamy się ujrzeć, bowiem nie wiedząc, jaki kształt ma ziemia, nie wiemy też, gdzie jesteście? Morderca musi więc uprzedzić tę chwilę! Nie wiem, czy będzie pragnął zadać cios dziś, jutro czy może innego dnia, odkładając nieco spełnienie swego czynu? Być może wstrzymuje go lęk lub brak sposobności, aby zabić obu równocześnie? Wiem jedynie, że jeśli pragnie tego dokonać, musi wkrótce uderzyć!

- Czy pragniesz znów zastawić sidła na niego, by schwytać go z zasadzki? - zapytał Białowłosy niepokornie.

- Sam nie wiem, co czynić! - Terteus siadł na głazie wspierając łokieć na kolanie. Z dala nadbiegały głosy ludzi śpiewających przy ognisku. Cień śmierci leżący od kilku dni nad załogą zdawał się wreszcie rozwiewać. Radowali się, że burza minęła, a brzeg ów powiedzie ich rankiem ku południowemu zachodowi pod pogodnym niebem.

- Znajdujemy się niemal nieustannie na morzu -

Białowłosy myślał na głos. - Jakże można na okręcie zastawić pułapkę i sprawić, aby chciał uderzyć na nich obu i wpadł w nasze sidła?

- Nie wierzę, aby pragnął uderzyć na nich na okręcie!

- Terteus stanowczo potrząsnął głową. - Śpią obaj w namiocie pod masztem, lecz tuż obok nich znajdują się ci, którzy czuwają nad żaglem, gdyby wiatr miał się zmienić. Prócz tego leżą tam ranni, gdyż na pokładzie łatwiej ułożyć ich niżli na dnie między ławami. Zresztą nie może on przewidzieć, czy będziemy jeszcze kiedyś płynęli nocą, gdyż, jak każdy z nas wie, lepiej okrętowi płynąć za dnia, a na noc przybijać do brzegu. Po cóż mielibyśmy żeglować nocą po nieznanym wodach, jeśli nie zmuszają nas okoliczności? Prócz tego na okręcie każde spojrzenie któregoś z towarzyszy może stać się przyczyną jego zguby. Niełatwo tam zabić dwu ludzi i ująć niepostrzeżenie. A gdyby któryś z nich krzyknął lub zbudził się wcześniej i stawił opór? Musiałby on zadać im ciosy w zupełnej ciemności, w ciasnym, niskim namiocie, a uderzywszy raz mieć pewność, że zabił. Za dnia na okręcie księżę i Perilawos są bezpieczni, bowiem nikt nie dokazałby takiej sztuki, aby w blasku słońca zgładzić dwu ludzi pośród ośmiu dziesiątków przebywających z nimi towarzyszy. Nie... - Znowu potrząsnął głową. - Nie uczyni on tego! Będzie pragnął ich zabić skrycie, na lądzie!

- Cóż więc uczynimy?

- Nie wiem! Księżę i syn jego pamiętają przecie, że człowiek ów jest wśród nas i winni strzec przed nim swego żywota, więc nie będziemy znów mówili o tym z nimi i wpędzali ich w nową trwogę. Lecz Harmostajos, ty i ja uniknęliśmy ran i potrafiemy czuwać także w nocy, skoro powinność nam każe. Rozmyślałem nad tym dziś i dostrzegłem jeden sposób: noce są tu krótkie, więc będziemy czuwali kolejno, lecz nie sprawując otwartej straży, aby morderca nie mógł odgadnąć, że nie śpimy. Ułożymy posłanie nasze w pobliżu boskiego Widwojosa i jego syna, a ów, który ma czuwać, leżeć będzie z otwartymi oczyma, mając łuk, włócznię i miecz pod ręką. Gdy ujrzy rzecz podejrzaną, zerwie się...

Białowłosy uniósł dłoń, nie dając mu dokończyć.

- Jakże pragniesz, abyśmy zrywali się z orężem w ręce, gdy ktoś z załogi wstanie i przejdzie w pobliżu posłania księcia lub Perilawosa? W ciągu jednej nocy dziesięciu ludzi może to uczynić dla różnych przyczyn?!

S-Czarne okręty t. IV

113

- To prawda - rzekł Terteus - lecz wynajdź godniejszy sposób strzeżenia ich snu, jeśli nie pragniesz w hełmie i pancerzu stać nad ich posłaniem, wymachując noc całą mieczem przeciw wrogowi, którego nie znasz, a nie wiesz nawet, czy naprawdę istnieje? Mógł on bowiem porzucić ów zamiar, chcąc połączyć los swój z losem nas wszystkich i nie pragnąc już powrócić na Kretę! Przecież i tak być może. Gdybyśmy choć wiedzieli, że chce uderzyć!

Białowłosy skinął głową.

- Pójdźmy do ogniska - rzekł - gdyż wieczera czeka. Inni zjedli już i układają się do snu. Później opowiem rzecz tę Harmostajosowi. Otoczmy ich naszymi posłaniami z trzech stron, leżąc w pewnym oddaleniu. Gdy ty wraz z małżonką swoją rzucicie futra, by legnąć na nich, my obaj ułożymy się naprzeciw, tak aby móc spieszyć na

ratunek księciu, jeśli zajdzie potrzeba. Gdy któryś z nas dostrzeże podejrzany ruch, krzyknie zrywając się, a to także może powstrzymać dłoń zabójcy, nim nadbiegniemy. Jeden z nas będzie czuwał nieustannie, a gdy nadejdzie czas, zbudzi następnego. Przedziwną jest rzeczą owa noc tak krótka i jasna, lecz w tym jednym przynajmniej wspomagają nas bogowie, gdyż gęstej ciemności już od dni paru nie było nad nami!

- To prawda... -Terteus skinął głową. -Przedziwna to rzecz i nikt nie uwierzy nam, gdy po powrocie będziemy pragnęli opowiedzieć o słońcu, które zaledwie zapada w morze na krótki sen i wynurza się pięć lub sześćkroć razy szybciej, niżby to uczyniło na Krecie!

Z wolna ruszyli ku ognisku idąc brzegiem morza.

W pewnej chwili Terteus zatrzymał się.

- A czyś dostrzegł... - rzekł niemal szeptem - inną rzecz, równie przedziwną? Morze cofa się tu, by po pewnym czasie podejść bliżej... Przez czas pewien wierzyłem, że to wzburzona fala cichnie i opada, lecz nie! Gdy przy płynęliśmy tu wczoraj przed zmrokiem, wyciągnęliśmy okręt pozostawiając go na krawędzi wód. Byłem przy tym i wiem, jak daleko został wyciągnięty, bowiem nie chciałem, aby mogła uderzyć weń fala i przewrócić go, gdyby morze wzburzyło się bardziej. A oto spójrz! Choć fala jest wyższa niżli wczoraj i dalej winna sięgać opadając na brzeg, cofnęła się!

Stanęli w półmroku, nie zbliżając się ku ognisku i spojładali na ciemny kadłub Angelosa, który tkwił na jasnym żwirze o kilkadziesiąt kroków od opadającego ku zatoce brzegu, gdzie fale załamywały się, wysyłając ku niemu długie jęczory piany.

- Dwakroć już morze podchodziło i odstępowało, odkąd tu jesteśmy!

Ujrzeni, że księżę wraz z synem i Eriklewesem stoja w pobliżu, patrząc na wodę. Podeszli ku nim.

- Dostrzegłem to już wprzód. Widzę to co dnia, odkąd wypłynęliśmy z owej cieśniny... - rzekł cicho Eriklewes, który wydobł już niemal pod okiem pięknej Wasan, lecz nadal jeszcze był słaby. - Rzecz ta jest niepojęta... Jak gdyby całe morze kołysało się lekko, niby woda w naczyniu, raz odchodząc od brzegu, to znów powracając ku niemu! Odchodzi ono teraz od nas. Lecz cóż się stanie, gdy zechce powrócić bardziej wzburzone i zalać brzeg, porywając okręt?

- Nie uczyniło tego dotąd... - Księżę wzruszył ramionami. Choć i on nie odrywał oczu od pomai s/czonej powierzchni zatoki. - A ruch tych wód jest powolny, więc nie powrócą gwałtownie...

Nikt mu nie odpowiedział. Wpatrywali się wszyscy w szumiące pośród mroku morze, nad którym stał księżyc w nowiu, otoczony z dala coraz słabiej lśniącymi gwiazdami. Brzask, który niemal od zmroku trwał na wschodzie, rozlał się szerzej. Świat począł szarzeć.

Terteus zawrócił ku ognisku i wydał rozkaz, aby strażnicy, czuwający na przemian przy Angelosie, dawali pilnie baczenie na morze i zbudzili go dostrzegłszy, że wody podchodzą bliżej.

Później, gdy cała niemal załoga usnęła, zasiedli do posiłku; jedli w milczeniu i bez chęci, gdyż trwoga znów ożyła w ich sercach, a na myśl powracały zasłyszane przed odpłynięciem opowieści o potworach, mroźnym końcu

świata, czeluści chłonej wszelkie wody mórz i wiele innych, wysłuchanych jako baśnie, mogące przerazić jedynie dziecko lub głupca, który nigdy nie zaznał żeglugi wzdłuż brzegów odległych krain.

Lecz jakże mieli ukoić niepokój, gdy po posiłku ułożyli się na mokrej ziemi i owinęli w skóry zwierzęce, by usnąć, a dzień, który zaledwie odszedł, znów powstał? Spoglądali więc z trwogą w błękitniejące niebo i zaciskali powieki, próbując usnąć.

Rankiem zepchnęli okręt na wodę i zwinawszy żagiel, gdyż wiatr wiał przeciwny, popłynęli wiosłując pod nadbiegające fale, wzdłuż wybrzeża, wymijając gęsto rozrzucone przy nim skaliste i nagie wysepki. Późnym popołudniem brzeg skręcił ku zachodowi. Morze nadal było niespokojne. Angelos ciężko unosił się na fali i opadał w głębokie bruzdy, torując sobie z trudem drogę przez pokryte grzebieniami pian morze. Byli już wielce utrudzeni, gdy wieczorem wpłynęli do nowej zatoki, jednej z wielu, które wchodziły w głąb tego ładu.

Tej nocy Białowłosa wraz z oboma przyjaciółmi nadal czuwał nad snem księcia, lecz nie nastąpiło nic, co by mogło wskazywać, że zabójca pragnie dokonać swego straszliwego dzieła.

Siedzieli kręgiem na niewielkiej łące nadbrzeżnej, mając po jednej ręce wzburzone morze, a po drugiej stronie wznoszące się, porośnięte rzadkim lasem zbocze, które przechodziło w poszarpaną ścianę skalną i ginęło w górze. Na brzegu spoczywał Angelos, po raz pierwszy opuszczony przez wszystkich, gdyż załoga cała była zebrana wokół księcia. Oblicza ich były poważne i milczeli wszyscy słuchając.

- Osądziłem - rzekł donośnie bogom podobny Widwojos, powstawszy i podchodząc ku środkowi kręgu - że w chwili tak ciężkiej winniśmy wspólnie zastanowić się, co nam dalej należy czynić. Bowiem brzeg ten nie tylko że nie prowadzi nas już więcej ku południowemu zachodowi, gdzie, jak przypuszczamy, znajdować się winny bramy prowadzące do krain, które opuściliśmy, lecz odchodzi, jak to sami ujrzeliście, ku północy. Wieje nieustannie przeciwny nam wiatr z południa, a widzimy przed sobą jedynie otwarte, wzburzone morze, na które musielibyśmy wyruszyć, walcząc z wysoką falą i wzmagającym się wiatrem, nie wiedząc, gdzie leży brzeg, ku któremu płyniemy, jeśli w ogóle leży on gdziekolwiek przed nami. Dobrze stanie się więc, jeśli wszyscy naradzimy się dziś nad tym, co nam należy od tej chwili czynić. Albowiem, jeśli postanowimy zgodnie cokolwiek, wówczas musimy to wykonać bez względu na niebezpieczeństwa lub przeciwności. Lecz gdybym sam postanowił bez waszej zgody, słusznie moglibyście rzec później, że powiodłem was ku zagładzie, choć można było postąpić roztropniej. Radźmy więc, a niechaj sternik nasz Eriklewes pierwszy wypowie, co sądzi o naszym położeniu, gdyż ma on najwięcej doświadczenia i nieraz już okazał, że radą jego nie wolno gardzić.

Zawrócił i usiadł, a roztropny Ateńczyk powstał i milczał przez chwilę. Później rzekł:

- Rada moja jest krótka. Jeśli dom nasz jest na południu, płynąć musimy na południe. To pojmuje każdy z nas. Lecz że w kierunku owym otwiera się morze, a nie wiemy, jak długo wypadnie nam płynąć, nim napotkamy

przychylne brzegi, czekać musimy na sprzyjający wiatr. Nie sposób byłoby płynąć pod wiatr na wiosłach przez wiele dni. Posuwalibyśmy się wolno, a nie wiemy, czy droga przed nami nie jest najdłuższą z tych, które dotąd odbyliśmy od jednego brzegu do drugiego. Musimy więc czekać sprzyjającego powiewu, który nam tę drogę skróci nie odbierając przy tym wszystkich sił. Straciliśmy bowiem wielu towarzyszy poległych w walce z barbarzyńskim plemieniem, wielu innych poniosło rany i moc ich ramion jest nadwątlona. Tak więc płynąć musielibyśmy pod wiatr nie mając nawet kilku ludzi, którzy zmieniliby wyczerpanych wiosłarzy. Złym byłbyś przywódcą, boski książę, rzucając wyprawę swą na takie przeciwności dlatego jedynie, że niecierpliwość nie pozwoliłaby ci czekać stosownej chwili. Rada moja jest taka: czekać na sprzyjający wiatr, a gdy nadejdzie, ruszyć na południe. Nim to nastąpi, niechaj ranni wracają do sił, by w dniu wyruszenia byli sprawni jak wprzód. Należy też upolować dość zwierzyny, abyśmy byli najedzeni i poczynili zapasy na drogę. Bowiem, jak rzekłem, nie wiemy, jak długo przyjdzie nam płynąć przez morze, nie widząc brzegów. Powrócił ku swemu miejscu i siadł na murawie, a inni osadzili, że słowa jego były słuszne.

Wówczas uniósł dłoń Metalawos o potężnych ramionach na znak, że chce przemówić. Książę wskazał mu miejsce pośrodku kręgu.

- Słusznie radzi roztropny Eriklewes - rzekł Metalawos - lecz miejsce, gdzie znajdujemy się, nie jest sposobnym ani dla wypoczynku, ani dla łowów. Brzeg tu skalisty i wznosi się wysoko przemieniając w poszarpane zbocza, a dalej, jak to widzieliśmy z morza, wznoszą się nagie góry. Jeśli więc, boski książę, pragniesz wysłuchać tego, co sądzę, rzekłbym, że winniśmy popłynąć nieco dalej ku północy korzystając ze sprzyjającego wiatru, który sam nas poprowadzi wzdłuż wybrzeża. Być może znajdziemy tam wkrótce bardziej sprzyjającą okolicę dla spędzenia kilku dni. Bo choć niektórzy towarzysze lękają się, że dotarliśmy niemal do krawędzi świata, rzecz ta wydaje mi się nieprawdziwa. Morze, po którym płynęliśmy, nie dążyło ku otchłani, gdyż prąd jego porwałby nas z sobą, nie widzę też znaków na ziemi i niebiosach, które by o tym świadczyły. To prawda, że słońce zachodzi tu na krótko, lecz wiele krain widziałem od dnia, gdy jako dziecko niemal wstąpiłem po raz pierwszy na pokład kupieckiego okrętu, i wiem, że każda z nich jest inna, a to, co wydaje się przerażającym dla przybysza, jest rzeczą zwyczajną i nie budzącą trwogi u jej mieszkańców. Tak więc rada moja brzmi: skoro wiatr sprzyja, płynmy wzdłuż brzegów ku północy, póki nie znajdziemy dogodnego miejsca i bezpiecznej zatoki, abyśmy w niej postawili nasz okręt i mogli upolować dość zwierzyny dla całej załogi na długą podróż i cam zaczękali na pomyślny powrót.

Powrócił na swe miejsce, a po nim wstawali inni, lecz mówili podobnie jak on i roztropny Eriklewes. A że ni książę, ni Terteus nie zdawali się mniemać inaczej, postanowiono więc, że w poszukiwaniu dobrego miejsca dla kilkudniowego postoju niezwłocznie wyruszą ku północy wzdłuż brzegów, co też uczynili.

Gnani sprzyjającym wiatrem po wzburzonym, usianym grzebieniami pian morzu, płynęli szybko ku północy, widząc przed sobą rosnące łańcuchy górskie. Wiele tu

było wysp i zatok, lecz były one posępne i skaliste, tak że nim nadszedł wieczór, w umysły ich poczęło się wkradać zwątpienie. Choć ludzie wypoczywali, a słońce świeciło jasno, nie słyhać było rozmów. Cień owej szarej, kamiennej krainy zdawał się padać na serca załogi Angelosa.

Terteus, siedzący pod masztem i nie spuszczaający wzroku z wolno przesuwanego się przed nimi groźnego widoku, uniósł się wreszcie i podszedł do księcia, który wraz z Perilawosem stał obok sternika.

- Cóż poczniemy, boski książę? Nigdy dotąd nie widziałem okolicy, która wydawałaby się tak wroga człowiekowi i wszelkiej żywej istocie. A przed nami w oddaleniu wyrastają góry wyższe jeszcze i bardziej posępne, spadające wprost ku brzegom. Jeśli więc pragniemy zawinąć gdzieś, lepiej może byłoby wpłynąć do którejś z owych zatok, otwierających się pomiędzy górami i prowadzących w głąb ładu?

Spojrzeli wszyscy na niebo. Słońce stało jeszcze wysoko. Książę powiódł okiem po mijanych brzegach. W łańcuchu rozświetlonych blaskiem słonecznym szczytów otwierała się szeroka wyrwa, którą morze wdzierało się do owej krainy. Zatoka osłonięta była wysoką skalistą wyspą, pozbawioną roślinności. Wyraźnie widzieli z dala białą koronkę pian u jej stóp, a nad nią chmary jasno

upierzonego ptactwa, wlatującego i osiadającego na czarnych głazach.

- Skieruj, roztropny Eriklewesie, okręt nasz ku owej zatoce! - rzekł bogom podobny Widwojos. - To prawda, że świat ów jest przedziwny i groźny, lecz wybrzeża Grecji podobnie opadają miejscami ku morzu, tworząc wysokie przepaści zawieszane ponad falami. A że okolica ta jest bezludna, jak można sądzić, tym lepiej dla nas! Jak dotąd ludy, które napotkaliśmy na brzegach tych mórz, okazały się wrogie obcym przybyszom. Na cóż więc nam spotkanie z plemionami, które mogłyby tu zamieszkiwać? Lepsza okolica posępna i odludna niżli żyzna i wesoła, lecz wypełniona krwiożerczymi barbarzyńcami!

Terteus uśmiechnął się.

- Gdyby nie to, boski książę, że nade wszystko pragnę, aby Angelos powrócił szczęśliwie do ojczystych stron, pierwszy namawiałbym cię, abyśmy płynęli dalej ku północy, nie zważając na to, że kierunek ów oddala nas od dnia powrotu. Gdyż choć nie pojmuję tego dobrze, jest w sercu człowieczym miejsce przedziwne, które każe oczom naszym poszukiwać nigdy dotąd nie widzianych łądów za widnokręgiem, a stopom zanurzać się w pyle krain nie znanych, ku którym pragnie wędrować. Gdyby nie owo pragnienie na dzie serca, wielu ludzi żyłoby spokojnie i bezpiecznie w miastach i wioskach, w których się narodzili, a tymczasem porzucają je oni i wyruszają gnani owym głosem, często prowadzącym ku sławie i bogactwom, lecz jeszcze częściej ku zagładzie.

- Pojmuję cię dobrze - rzekł Perilawos - bowiem nieustannie w tej podróży, patrząc na miejsca rozmaite, ku którym się przybliżamy, myślę o tym, co jest dalej za nimi, a także o tym, czy jest gdzieś granica, poza którą nie ma już niczego, a jedynie pustka niebios nad głową i kres rzeczy wszelakiej. Gdyż musi ona gdzieś istnieć.

- Czemu więc nikt nie dotarł do niej, metody książę? -

zapytał Eriklewes. - I ja rozmyślałem nad tym nie raz. Lecz nie znam nikogo, kto zbliżyłby się do owych granic lub słyszał o takim, który do nich dotarł. Okręt z wolna zbliżał się do urwistych brzegów gnany wiatrem.

- Być może miejsca takiego nie ma... - rzekł bogom podobny Widwojos.

Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Jak to, ojcze? - Perilawos po trzasnął głową. - Każda rzecz ma swój kres, więc i świat musi mieć granice. Być może zmierzamy ku nim teraz właśnie? A będzie to miejsce, gdzie lądy i morza kończą się, a gdybyś tam dotarł i wychylił się poza jego krawędź, dostrzegłbyś jedynie niebiosą nad sobą, przed sobą i pod sobą. Inaczej chyba być nie może.

- Świat musiałby wówczas być zawieszony pośród tego bezmiaru - rzekł Terteus - co nie jest rzeczą możliwą, gdyż runąłby w dół...

- Dokąd? - zapytał książę uśmiechając się.

Zamilkli wszyscy, szukając w umysłach swoich odpowiedzi i nie znajdując jej.

- Nie wszystko bogowie chcą odkryć człowiekowi... - rzekł Eriklewes. - Może to i lepiej, gdyż ci, którzy pragną wiedzieć zbyt wiele, nie są zwykle najszczęśliwszymi z ludzi.

- Ja byłbym! - rzekł Perilawos. - Byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybym dotarł do owej granicy świata, której nikt dotąd nie ujrzał!

- Być może zbliżamy się ku niej nie wiedząc o tym! - Terteus roześmiał się wesoło i ruszył w kierunku masztu, wzywając wioślarzy, aby zasiedli na ławach.

Skalista, wysoka brama w łańcuchu gór, opadających ku morzu, wyrosła przed nimi i gdy minął pewien czas, wpłynęli w nią niesieni łagodną falą przypływu. Jakież było ich zdumienie, gdy ujrzeli, że nie jest to zatoka, lecz odnoga morska, wdzierająca się pomiędzy góry i niknąca w oddaleniu. Wody były tu spokojne i nieruchome, nie wiał wiatr i nie docierały promienie słońca schodzącego z wolna na wieczorny spoczynek. Odbijały się one jedynie od jasnych wierzchołków gór przydając nieco blasku temu mrocznemu światu.

Angeles płynął pośrodku owych mrocznych wód, małeńki jak owad pośrodku jeziora, wymachujący osiemdziesięcioma nóżkami wioseł. Zwinęli żagiel i opuścili, gdyż zwiśł w ciszy, która ogarnęła przestworza.

Zatoka przed nimi rozdzielała się na dwa głębokie wąwozy, z których każdy szeroki był na kilka tysięcy kroków.

Zbocza nadal były urwiste i nieprzyjazne, lecz dostrzegli w skręcającym na lewo ramieniu wód łagodniejsze, pokryte lasem stoki i tam skierowali się.

Przybili w pobliżu ujścia strumienia opadającego z głośnym szumem z gór.

Naprzeciw nich, po drugiej stronie zatoki, stała niebotyczna, prosta niemal, czarna ściana skalna spadająca wprost do morza, lecz tam gdzie Angeles dotknął brzegu, otwierała się pośród gór jak gdyby rozpadlina, szeroka i łagodna, wznosząca się ku górze. Porastał ją las, a bliżej brzegu była wielka, porośnięta trawą i pokryta głązami polana, opadająca tarasami ku wodzie.

Tu spędzili noc, jeśli mogli tak nazwać ową porę, gdyż

niebo nad skałami nie stało się czarne ani na chwilę i nie ujrzeni nad nim gwiazd, choć było bezchmurne.

Tu przed świtem żeglarz imieniem Kalauros, pełniący straż na granicy lasu, zabił uderzeniem włóczni jelenia o rozłożystych rogach, który zbliżał się do potoku. Uznali więc, że lasy owe, wznoszące się nad ich głowami, mogą być pełne zwierzyny, i postanowili wyruszyć na łowy, aby upiec dość mięsa, które, przesypane solą i ugotowane w ziołach, przetrwałoby świeże, póki płynąc na południe nie dotrą do nowego ładu.

Bogom podobny Widwojos i syn jego, wziawszy łuki, lekkie oszczepy i miecze, byli już gotowi, wraz z czterdziestoma innymi, do wyruszenia. Postanowiono, że łowcy wyruszą idąc pod górę lasem rozrzućni szerokim półkolem, którego ramiona wysunięte będą ku przodowi, gdyż spłoszona zwierzyna rzadko biegnie wprost przed siebie, a zwykle ucieka na boki. Ułożono, że gdy łowcy osiągną daleki nagi grzbiet w górze, wówczas zejda i powracając zbiorą zwierzynę, którą upolowali.

- Czy ruszysz wraz z nami, Terteusie? - zapytał książe młodego żeglarza, który stał nie uzbrojony przy ognisku.

- Za twym przyzwoleniem, panie, pragnę wraz z kilkoma innymi oskrobać kadłub okrętu z wszelakich żyjątek morskich, gdyż dostrzegłem, że obrósł już nimi na zbytek, a także chcę obejrzeć go dokładnie i jeśli zajdzie potrzeba, użyć reszty smoły, którą jeszcze mamy, i zatkać szczeliny w dnie, gdyby pojawiły się między deskami.

Ciężka bowiem może nas czekać droga przez otwarte morza i źle byłoby, gdybyśmy nie dopatrzyli wszystkiego przed odpłynięciem, mając tyle wolnego czasu, ile go dziś mamy.

Lecz gdy odstąpiwszy o kilkanaście kroków jeden od drugiego, łowcy weszli w las, Terteus powierzył pracę ową roztropnemu Eriklewesowi, który choć był sternikiem znamienitym, nie władał jednak dobrze łukiem ni oszczepem, a prócz tego wciąż jeszcze nie był w pełni sił, mimo że rana jego zagoiła się. Sam zaś udał się za innymi, którzy zniknęli już w lesie.

Droga wiodła pod górę przez gęsty świerkowy las przetykany krzewami. Na niewielkich polanach kwitły poziomki i wiele kwiatów, lecz ptaków w gałęziach odzywało się niewiele.

- Cicho! - szepnął Harmostajos, gdy Białowłosy postawił nogę na suchej gałęzi, która pękła z trzaskiem. Harmostajos uniósł się na palcach i wysuwając głowę ponad rosnące gęsto splecione krzewy, usiłował dostrzec księcia i jego syna, posuwających się przed nimi przez las.

Ujrzał wreszcie wysoko nad sobą czerwoną wyblakłą tunikę Perilawosa, a nie opodal ciemną Widwojosa. Szli pochyleni, napięte łuki mieli uniesione na wysokość oczu i zdawali się podchodzić ku jakiejś zwierzynie, której Harmostajos, znajdując się niżej, nie mógł dostrzec. Białowłosy zbliżył się ku niemu, stąpając ostrożnie. Bez słowa wskazał oczyma w prawo. Harmostajos skinął głową odchodząc w lewo.

Rozeszli się nieco i poczęli posuwać ku górze za księciem i jego synem, otaczając ich z dwu stron. Lecz nie śledzili ich nieustannie wzrokiem, a oczy ich błądziły po lesie wpatrując się czujnie w poszycie. Terteus wierzył, że jeśli morderca ów zechce uderzyć, dzisiejsze łowy mogą być wielce dogodne dla jego krwawego przedsięwzięcia.

Cały obszar, po którym posuwali się myśliwi, był zasłonięty, tak że idący nie dostrzegali się nawzajem. Jeśli więc człowiek ów uderzy niespodzianie z dala, może cofnąć się szybko i niedostrzeżenie i pozostanie bezpieczny. Białowłosy wyteżał wzrok, nadsłuchując równocześnie. Z głębi lasu dobiegł daleki głos ludzki. Był to krótki triumfalny okrzyk. I znów nastała cisza. Lecz głos ten dobiegł z wielkiej odległości z ust kogoś, kto znajdował się wyżej niżli księżę i jego syn. Najwyraźniej komuś udały się łowy.

Białowłosy obejrzał się, by dostrzec, gdzie jest Harmostajos. Lecz nie ujrzał nikogo. Przyjaciel jego rozplynął się wśród krzewów. Gdy zwrócił wzrok pod górę, nie dostrzegł także księcia ni Perilawosa. I oni musieli nieco przyspieszyć, choć droga pośród pni, krzewów i leżących na zboczu porośniętych mchem gładów nie była łatwa. Ruszył więc, skradając się od drzewa do drzewa, aby idący przed nim nie dostrzegli go. Znowu mignęła mu w górze tunika Perilawosa.

Białowłosy zatrzymał się, przystanawszy za pnem wielkiego dębu. Ogarnął go nagle gniew. Lubił łowy, a wiele dni spędzonych na ławie Angelosa wzmogło jeszcze pragnienie zanurzenia się w lesie i cichego podchodzenia zwierzyny. Tymczasem był w lesie i szedł cicho, to prawda, lecz nie śledził za tropami zwierza, a szukał oczyma kogoś, kto zapewne nie istniał wcale, gdyż na dzień duszy chłopiec nie wierzył, aby wśród załogi Angelosa znalazł się nikczemnik mogący przeszyć ciało bogom podobnego Widwojosa lub jego syna. Któż mógłby uczynić rzecz taką, gdy znajdowali się wszyscy na krańcu świata z dala od swoich, a każda para rąk przyjaznych i każde ramię mogące unieść włócznię było jak gdyby ramieniem należącym do wszystkich, gdyż broniąc okrętu każdy walczył nie jedynie o siebie, lecz nastawiał pierś za wszystkich towarzyszy?

Ruszył znów pochylony, tak aby księżę i Perilawos nie mogli go dostrzec, gdyby odwrócili głowy. Lecz znowu zgubił ich z pola widzenia...

Gdzieś po lewej trzasnęła cicho gałązka. Zapewne Harmostajos także przyspieszył. Pragnął przywołać go, lecz nie uczynił tego dostrzegłszy za krzewami schyloną, posuwającą się szybko ku górze postać.

Nie był to Harmostajos, krępy i niewielkiego wzrostu, lecz ktoś wysoki i smukły, pochylony nisko i trzymający w rękach łuk ze strzałą leżącą na cięciwie.

Zapewne był to jeden z łowców, który pozostał nieco w tyle i zboczył teraz doganiając rozsypanych w półkole towarzyszy, których nie mógł dostrzec.

Białowłosy ponownie otworzył usta, by rzec mu, że tuż przed nim, w górze, znajduje się bogom podobny księżę z synem, więc winien zboczyć i nie piąć się na zbrocze wprost za nimi, gdyż może im spłoszyć zwierzynę.

Lecz człowiek ów dostrzegł najwyraźniej między drzewami tunikę Perilawosa. Błyskawicznie podniósł łuk i wymierzył trzymając środek cięciwy przy oku.

Białowłosy zmartwiał.

Wiedział, że nie zdąży unieść

oszczepu i cisnąć, nim tamten wypuści strzałę!

- Wstrzymaj się! - krzyknął na cały głos. I ręka jego dopiero teraz uniosła się, dźwigając oszczep. A wówczas tamten zwrócił ku niemu oblicze i napięty łuk.

W pierwszej chwili nie poznał go, tak bardzo rysy tamtego wykrzywił nagły lęk i nienawiść. Choć minęło jedynie mgnienie oka, pojął, że teraz tamten poszukuje go oczyma i nie może odnaleźć, gdyż Białowłosa stał za drzewem, niemal po pierś zakryty gęstymi, dzielącymi ich krzewami.

Poznał tamtego i ramię mające wyrzucić oszczep zawisło nad głową. Nie mógł uwierzyć w to. Jakże miał cisnąć z bliska śmiercionośnym narzędziem w pierś towarzysza, którego znał tak dobrze? Nie był on przecież mordercą! To nie mógł być on! Lecz tamten dostrzegł go i uskoczywszy za drzewo puścił cięciwę. W tej samej chwili Białowłosa odzyskał władzę w członkach i cofnął głowę za drzewo, a strzała minęła go ze świstem. Usłyszał zduszony okrzyk. Teraz! - pomyślał i wyskoczył zza grubego pnia. Nie myślał już. Musiał bronić swego żywota. Tamten nie mógł nałożyć jeszcze nowej strzały.

Szukał go oczyma nie znajdując. Nagle dostrzegł leżącą na ziemi postać. Człowiek ów szamotał się, trzymając szyję dłońmi, jak gdyby ważył go za gardło. Podbiegł i uniósłszy oszczep stanął nad leżącym, który widząc przed oczyma śmiercionośne ostrze znieruchomiał. Wówczas Białowłosa dostrzegł koniec sznura. Spośród krzewów wynurzył się Harmostajos.

- Zbyt późno go dostrzegłem! - rzekł niemal ze spokojem, jak gdyby mówił o zwierzynie. - Gdybyś nie uskoczył, ty właśnie stałbyś się jego pierwszą ofiarą! Obnażywszy miecz stanął nad leżącym, który usiłował dźwignąć się na kolana.

- Jeśli ruszysz się, przygwoźdżę cię do ziemi! - Harmostajos pchnął go lekko ostrzem miecza w pierś i człowiek z okrzykiem bólu opadł znów na ziemię. - Gdy drgnie choćby, przebij go - rzekł Harmostajos i błyskawicznym ruchem zerwał pętlę z szyi leżącego, przesuwając ją na jego ramiona. Ściągnął później sznur i okręcił dwa razy, wyciągnąwszy obezwładnionemu z pochwy miecz, który rzucił na jego łuk spoczywający nie opodal. Krzaki za nimi zaszeleściły. Odwrócili na mgnienie oka głowy.

Terteus wynurzył się na polankę i oczy jego spoczęły na leżącym.

- MierzyłwPerilawosa! - rzekł Harmostajos i pokiwał głową ze smutkiem. - A gdy Białowłosa krzyknął, chcąc mu przeszkodzić, skierował łuk w niego i wypuścił strzałę,

pragnąc zapewne, aby świadek jego występnego zamiaru umilkł na zawsze.

Terteus zbliżył się i stanął nad leżącym.

- Wiedziałem, że wśród załogi jest morderca dybiący na życie księcia - rzekł potrząsając głową. - Lecz że jesteś nim ty, Kamonie, przez myśl mi nie przeszło.

Leżący milczał. Oblicze jego powlekła bladość. Od chwili, gdy pętla rzucona przez Harmostajosa owinęła się wokół jego szyi, odbierając mu oddech i obalając na ziemię, nie rzekł słowa.

- Czemuś to chciał uczynić? - zapytał Terteus.

Lecz Kamon nic nie odrzekł. Spętali mu ręce za plecami i nogi w kostkach, tak aby mógł iść powoli, i poczęli zstępować z nim ku wybrzeżu.

A gdy powrócili łowcy, radośni i z oczyma lśniącymi weselem z udanych łowów, wlokąc kilka saren, rogacza, dwa lisy i wielkiego dzikiego kota o nakrapianym pięknym futrze, inni rzekli im o tym, co się przydarzyło.

O zmroku dogasającego dnia zebrali się wszyscy i zasedli kręgiem wokół stojącego pośrodku polany spętanego człowieka. Po obu jego bokach stanęli dwaj uzbrojeni ludzie czuwając, aby nie próbował umknąć lub sam siebie nie pozbawił żywota wiedząc, jaki los go oczekuje.

Gdy zaległo milczenie, Terteus powstał i zwracając się ku stojącemu zapytał:

- Cóż możesz rzec, Kamonie, na swą obronę?

Czekali patrząc na niego. Lecz milczał opuściwszy głowę. Nie poruszył się nawet.

Wówczas Terteus zwrócił się ku załodze i rzekł im, jak zimą, na jeziorze, konający Orneus ostatnim tchnieniem ostrzegł ich przed zabójcą, którego król Minos umieścił na okręcie, aby przeciął on nić żywota bogom podobnego Widwojosa i jego syna, młodego księcia Perilawosa, gdyby udało im się przemknąć przez zastawione wola królewską sidła i zniknąć poza granicami znanego świata, do którego sięga moc Krety. Opowiedział też, jak czuwali nad żywotem księcia i jego syna, a także o tym, jak zabójca wypuścił strzałę owej nocy i jedynie szczęśliwym trafem nie ugodził księcia.

- Od owej chwili zastawialiśmy na niego wiele sideł - dokończył. - Harmostajos, Białowłosy i ja czuwaliśmy nieustannie, by boski księżę lub jego syn nie znaleźli się sami w miejscu, gdzie zabójca ów mógłby ich ugodzić.

A oto dziś pojмалиśmy go wreszcie i stoi przed nami! - Po czym, zwróciwszy się ku księciu, rzekł z czcią: - Synu królów, potomku boskiego Byka, jest obyczaj, że ów, który godzi skrycie na żywot innego żeglarza, płynącego wraz z nim na "okręcie, sądzony jest przez wszystkich towarzyszy swoich. Bowiem choć bywa, że dwaj ludzie nienawidzą się wielce, winni oni stanąć przeciw sobie otwarcie jak mężowie. Ów jednak zasadzający się ukradkiem, by nikczemnie ugodzić w plecy innego, który wraz z nim zasiada przy wiośle, godzien jest umrzeć w mękach. Czyn taki sądzony bywa przez całą załogę okrętu, by nikt nie mógł rzec, że stała się owemu człowiekowi krzywda. Ty wszelako, który księciem jesteś i wodzem tej wyprawy, sam możesz stanowić sprawiedliwość nie pytając innych, co sądzą o winie jego. Rzeknij więc, czy twój wyrok go skarzę, czy też mamy to uczynić my?

- Uczynicie, jak nakazuje obyczaj! - rzekł krótko

Widwojos. - Godził on na żywot mój i syna mego, więc

nie ja winienem go sądzić!

- Dzięki ci, książę! - Terteus pochylił przed nim głowę. Później znów zwrócił się ku siedzącym w milczeniu towarzyszom: - Do nas należeć będzie wyrok na owego nikczemnika. Cóż rzekniecie?

W ciszy wieczoru nad spokojnymi wodami skalistej zatoki zabrzmiały słowa wypowiedziane przez wiele piersi. A były one tak dawne, jak dawno ludzie przemierzają morza na czarnych okrętach. I wielu podstępnych zabójców wysłuchało ich z ust swych towarzyszy, bowiem zawsze brzmiały one jednakowo:

- Niechaj umrze o wschodzie słońca!

Wyrzekli to i zamilkli. Lecz nie powstał z miejsc swoich, gdyż nie był to koniec sądu. Jak nakazywał obyczaj, oczy ich zwróciły się ku sternikowi. Eriklewes powstał i rzekł:

- Mnie bogowie powierzyli wiosła sterowe okrętu.

Czy pragniecie, aby duch jego, mszcząc się za śmierć zadaną ciału, zawiązał drogę powrotu naszego i sprawił, bym pobłądził sterując wśród skał, mielizn i na niespokojnych wodach?

- Nie pragniemy tego! - odparli jak jeden.

- A więc niechaj krew jego nie padnie na ręce żadnego z nas!

- Niechaj nie padnie!

Po słowach tych powstał i powiedział Kamona na brzeg. Tam wbili na krawędzi wód spokojnych gruby, świeżo ociosany pal i przywiązali do niego skazanego. A roztropny Eriklewes zatkał mu usta płócienną chustą i związał ją mocno, aby nie mógł rzucić przekleństwa za odpływającym okrętem.

Odeszli, pozostawiając dwóch towarzyszy z włóczniami, którzy mieli strzec go, aż do nadejścia poranka. W milczeniu spożyli wieczerzę i zabrali się do oporządzenia zabitych zwierząt. Pełna noc nie zapadła wcale, a niebo jaśniejsze było o północy niżli wczoraj. Nad górami trwał krótki, nie przynoszący wytchnienia zmierzch.

Gdy pierwszy promień słońca oświetlił szczyty gór stojących nad zatoką i nadszedł czas, by odpłynąć, ruszyli ku Angelosowi i zepchnęli go na cichą toń zatoki, starając się nie spoglądać ku nieruchomej postaci stojącej na brzegu.

Okręt zakołysał się i stanął tuż przy krawędzi wody, przytrzymywany dwiema linami i wyrzuconymi na ląd kamiennymi kotwicami. Wciągnęli je szybko i odwiązali liny. Kolejno ci, którzy byli jeszcze na brzegu, wskakiwali na burtę. Załoga ujęła za wiosła.

Terteus samotnie pozostał na brzegu. Zawrócił, ujął wielki głąz i podszedł do stojącego. Spojrzały na niego otwarte w męce oczy, lecz z ust, w których tkwiła szmata przewiązana mocno wokół głowy przez roztropnego Eriklewesa, nie wydobył się żaden dźwięk.

Terteus odetchnął głęboko. Pochylił się i dwoma uderzeniami kamienia strzaskał kolana Kamona, aby nie mógł się wyzwolić jakimś nie znanym im trafem i odejść z miejsca tego.

Spod chusty dobiegło głucho rżenie.

Nie unosząc oczu Terteus odwrócił się i spokojnym krokiem podszedł do nadbrzeża, a później skoczył chwytając za krawędź burty. Ramiona towarzyszy uniosły go

w górę i postawiły na dnie okrętu. Angeles, odepchnięty od brzegu, okręcił się powoli i ruszył ku wylotowi zatoki. Terteus z wolna podszedł do masztu i stanął patrząc przed siebie na gładkie wody rozcinane wysokim czarnym dziobem. Nikt nie rzekł słowa. Wiosła unosiły się i opadały coraz szybciej. I wówczas młody żeglarz usłyszał cichy płacz.

To małżonka jego, piękna Wasan, siedząc na dziobie zanosiła się łzami, ukrywszy lico w dłoniach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Posejdon o białym obliczu

Białowłosey spoglądał w milczeniu na postrzępione białe grzywy wysokich zielonkawych fal uciekających ku lądowi.

Stali wszyscy trzej tuż obok siebie, stykając się ramionami dla utrzymania równowagi, wsparci o wznoszącą się i opadającą miarowo burtę okrętu.

Białowłosey przyknuł na chwilę oczy. Któż by przypuszczał, że świat jest tak olbrzymi? Nie przerażało go to, lecz przepełniało coraz większym zdumieniem. Zdawało się, że w którąkolwiek stronę skierowaliby dziób okrętu, oznaczało to jedynie, że coraz to inne widoki będą mnożyć się przed nimi w nieskończoność, ukazując nowe lądy i dziwy...

Drgnął nagle, słysząc tuż obok siebie głos wypowiadający jego myśli, lecz nie będący jego głosem.

- Któż by uwierzył, że świat jest tak wielki?

To mówił Harmostajos, a w jego słowach zabrzmiało nagle zdumienie tak bardzo nie licujące z drwiącym zwykle głosem i uśmiechem, który nie schodził mu z oblicza.

Białowłosey otworzył oczy i dostrzegł ciemne nagie ramię przyjaciela wyciągnięte wskazującym ruchem ku dalekim brzegom.

Idąc wzrokiem za tym ruchem ujrzał znów odległą, postrzępioną czarnymi ostrogami i powyginaną linię skalistego, uciekającego stromo w górę, kończącego się •wysokimi koronami ostrych wierzchołków mrocznego lądu, przed którym tańczyły pośród strzelających w górę pian wysepki, nagie jak głowy rzucone w morze ręką olbrzymów.

Angelos płynął od świtu szybko ku północnemu wschodowi, gnany silnym, południowym podmuchem. Fale powstawały krótkie i wysokie, jak gdyby po burzy, choć świeciło słońce, a niebem szło jedynie kilka niedużych białych obłoczków, wędrujących wraz z okrętem. Nad głowami żeglarzy wiatr szumiał głośno w olinowaniu wielkiego żagla. Białowłosey westchnął.

Nie w tym kierunku pragnęli płynąć. Lecz po dopełnieniu sprawiedliwej kary na Kamienie książę ni Terteus nie pragnęli przebywać w pobliżu miejsca, gdzie pozostał nieruchomy, konający człowiek, choć wina jego była wielka.

A że wiatr był przeciwny, nie pozostawało im nic innego, prócz żeglugi ku północnemu wschodowi w poszukiwaniu łagodniejszego, sprzyjającego brzegu, gdzie zaczekać mogliby na podmuch z północy lub ciszę morską, która pozwoli im wyruszyć ku południowi na wiosłach, a - jeśli zajdzie konieczność - dalej podążyć w owym kierunku przez pełne morze, rzucając żywot na szalę łaski Posejdona i wierząc, że za błękitnym widno-

kręgiem kryje się przyjazny brzeg, który doprowadzi ich do znanego ludziom świata.

Za plecami stojących załoga drzemała z głowami wspartymi o ławy i tobołki, a niektórzy wygrzewali się z przymkniętymi oczyma, poddając nagie ciała promieniom słońca, choć nie grzało ono tak mocno jak w krajach, gdzie po raz pierwszy ujrzeli jego blask.

- Rok już płyniemy lub więcej niż rok - ciągnął Harmostajos leniwie - i jeśli ów kraniec świata, o którym tak wiele nam opowiadano, istnieje naprawdę, musi on znajdować się gdzieś przed nami!

Białowłosy nie odpowiedział, lecz Perilawos, który stał pomiędzy nimi, zwrócił ku Harmostajosowi oczy, a później ponownie skierował je ku mrocznym, czarnym górcom, których kamienne zbocza spadały wprost w morze. Oświetlające je słońce nie rozweselało ponurego krajobrazu, a raczej potęgowało jego grozę.

- Tak, nie jest to kraina, gdzie ludzie żyć mogą... - rzekł tak cicho, że niemal nie dosłyszeli go pośród szumu fal i zawodzenia wiatru w linach przytrzymujących maszt.

- A zapewne wkrótce nie napotkamy nawet zwierząt, gdyż i one wywędrowały z pewnością z tak niegościnnych okolic, mogąc żyć gdzie indziej, choć wokół ostatniej przystani napotkaliśmy ich dość...

Urwał nagle. Żaden z nich nie odezwał się, lecz wszyscy trzej znów pomyśleli o tym, co starali się od świtu przepędzić ze swych myśli. Tam, pośród dalekich, oddalających się na południe gór, była głęboka zatoka, na brzegu której pozostał przywiązany do pala Kamon. Czy żył jeszcze? Zapewne żył i nie umrze dziś, jeśli jakaś bestia nie zejdzie z gór i świecąc ślepiami nie podejdzie cichym, skradającym się krokiem ku bezbronnemu, nie mogącemu poruszać się człowiekowi, by rozszarpać jego nagie ciało i pożreć je rozdzierając z wolna pazurami.

- Nie jest to jednak koniec świata! - rzekł wreszcie Harmostajos siląc się na wesołość - gdyż jak okiem sięgnąć ku północy widać nowe góry, a jeśli za nimi ukażą się następne, uwierzę, że podróż taka mogłaby trwać wiekuiście lub do dnia, gdy u j rzelibyśmy wreszcie kraniec wód i białe oblicze Posejdonu wynurzające się spoza nich! Przyłożył dłoń do czoła, a Białowłosy poszedł za jego przykładem dostrzegając kątem oka, że Perilawos także oddaje cześć Panu Niezmierzonych Głębin, choć do niedawna wydawało się, że niewiele robi sobie z bogów. Lecz niebezpieczeństwa i nieustanne zagrożenie żywota każdego w końcu czynią pobożnym.

- Tak daleko zapewne nie dopłyniemy! - rozległ się za nimi spokojny, pogodny głos. Obróciwszy się ujrzeli Terteusa, który wraz z księciem zatrzymał się przy nich idąc ku dziobowi. - Wypatruję jakiejś zatoki pośród owych skał - rzekł wskazując górzyste brzegi - abyśmy mogli tam zawinąć, spędzić noc i wzięwszy dość świeżej wody, ruszyć ku południowi, gdy wiatr się odmieni.

Widwojos uśmiechnął się ku synowi.

- Czy przypuszczałeś, Perilawosie, gdy odbijaliśmy od brzegów świętej Krety, że dopłyniemy aż do miejsc, gdzie zapewne żaden z ludzi nie postawił nogi, a słońce zachodzi na tak krótko?

- Czy zezwolisz mi rzec coś, boski książę? - rzekł nagle Harmostajos.

- Mów, dzielny młodzieńcze! - Widwojos położył mu

łagodnie dłoń na ramieniu. - Znam cię z tego, że nie mówisz na wiatr, władco przemyślnego sznura!

- Patrząc na owe mroczne góry, na morze i na słońce, które na tak krótko opuszcza tu ziemię, pomyślałem, panie, że być może kraniec świata jest gdzieś w pobliżu, właśnie tam, gdzie ono nie zachodzi?

- Czemu tak sądzisz?

- Gdyż znalazłszy się na krańcu świata i patrząc w dół moglibyśmy widzieć je na zachodzie, nie mając przed sobą żadnej przeszkody, która zasłaniałaby je naszym oczom.

- Być może... - Widwojos zastanowił się. - Lecz jak wytłumaczysz to, że choć nie dopłynęliśmy do krańca świata, jednak kryje się ono na tak krótko, a co dnia na krócej?

- Nie mogę tego pojąć, boski książę, gdyż nie jestem człowiekiem uczonym, a nie umiem niczego prócz władania sznurem, jak zechciałeś w łasce twej rzec. Lecz rozważałem w swoim marnym umyśle, czy miejsce, gdzie słońce już nie kryje się naszym oczom, nie będzie, być może, ową krawędzią świata?

Umilkł zawstydzony.

Widwojos zdjął rękę z jego ramienia.

- Gdy człowiek napotyka sprawy, których dotąd nie poznał, zwykle przychodzi mu na myśl różne bajki i opowieści zasłyszane wcześniej. A jeśli nie zna lepszej odpowiedzi, wierzy owym opowieściom. Pragnąc bowiem pojąć rzecz każdą, usiłujemy ją sobie zawsze wyjaśnić, jak umiemy. Nie wiem nic o krawędzi świata, a zapewne nie więcej niżli ty, Harmostajosie, lecz pamiętam dobrze, że mówiono nam także o wielkich potworach zamieszkujących morze północy, o straszliwych olbrzymach i niezmiernych niebezpieczeństwach, pośród których wymieniono i ową krawędź świata. Gdy zbliżałem się teraz do was wraz z Terteusem, mówiliście o krańcu wód i białym obliczu ich boga wynurzającym się spoza nich. Cóż, świat jest wielki i nieodgadniony, lecz jak dotąd jedyne niebezpieczeństwa prawdziwe, których zazналиśmy, pochodziły od zwykłych, podobnych nam ludzi. Płynąc pośród barbarzyńskich plemion, które napadały na nas, straciliśmy w boju wielu towarzyszy. Lecz sprawa ta nie była cudowna. Po to właśnie wzięliśmy z sobą nasz oręż i nie na darmo wybraliśmy załogę spośród krzepkich i umiejących władać włócznią i łukiem młodzieńców. Przewidywaliśmy bowiem, że tak się może stać. Lecz prócz groźnej i nieznanej nam dotąd zimy, która, jak rzekli nam mieszkańcy owej wioski na palach, jest rzeczą zwykłą w ich krainie, nie napotkaliśmy żadnego zjawiska cudownego lub innego, groźniejszego niżli te, które dzielni żeglarze napotykają i na naszym morzu, znajdującym się pośrodku znanego świata. A jeśli mam być szczery, nie uwierzę w żadne z owych cudownych zjawisk, póki nie ujrzę go na własne oczy. Im dłużej bowiem płyniemy, tym lepiej pojmuję, że ocalenie nasze leży w roztropności naszych umysłów i sile naszych ramion, a nie w czym innym. Dlatego, choć nie umiem ci tego wyjaśnić, Harmostajosie, sądzę, że gdybyśmy płynęli wciąż dalej i dalej, nie napotkalibyśmy owej krawędzi świata.

- Lecz musi on przecież gdzieś się kończyć! - zawołał Perilawos. - Każda rzecz, choćby najrozleglejsza, ma gdzieś swój kres, ojcze! Rzekłeś już to, lecz nie pojąłem

cię wówczas, jak nie pojmuję teraz.

- Zapewne, lecz... - Widwojos zawahał się - być może świat ten jest większy, niż sądziliśmy, żyjąc daleko stąd i nie mając wieści prawdziwych od nikogo, kto dotarłby tutaj. Być może jest on tak wielki, że płynąc przez całą długość ludzkiego żywota nie dotarlibyśmy do owej krawędzi? Albowiem, jeśli bogowie rządzą światem, może wola ich jest, aby człowiek nigdy nie poznał prawdy do końca i nie dotarł do kresu ich królestwa?

- Może tak być, boski książę, lecz...-Terteus urwał na chwilę i potrząsnął głową - jeśli płynąc przez rok jedynie, dotarliśmy tak daleko, to gdzież dotarlibyśmy płynąc dziesięćkroć dłużej ku północy? Świat jest tu coraz groźniejszy i mniej przychylny człowiekowi. Jakiż musiałby on być tam?! - Wskazał północny widnokrąg, na którym widniały w białej mgiełce nowe wierzchołki dalekich gór.

- Czyż nie przypuszczasz, boski książę, że owe szczyty i poszarpane skały są oznaką zbliżania się naszego do kresu ziemi? Gdyż, choć jestem równie nieuczony jak Harmostajos, widok ów budzi w sercu mym niepokój i każe oczom spoglądać czujniej, jak gdybym znajdował się przed obliczem nieprzyjaciela.

- Na szczęście nie dowiemy się nigdy, co kryje się za owymi górami na północy... - Widwojos uśmiechnął się lekko. - Nie dowiemy się więc, kto z nas miał słuszość, ty czy ja, Terteusie. Gdy zawiniemy dziś do przystani, która wypatrzymy pośród tych skał, zaczekamy tam, aż nieprzychylny wiatr odmieni się i pożeglujemy na powrót, a gdy napotkamy ów przylądek, przy którym płynąc ze wschodu zwróciliśmy się ku północy, skierujemy nasz dziób ku południowi. A przecież wierzysz jak i ja, że po pewnym czasie żeglując ujrzymy ląd, wiemy bowiem, że dom nasz jest na południu i musimy tam powrócić. Kierujmy się więc teraz ku brzegowi i płynąc wzdłuż owych gór szukajmy zatoki, która nas dziś przyjmie!

Terteus zakrzyknął na załogę. Wioślarze z wolna wstawali, kierując się ku wiosłom. Perilawos i Białowłosy przeszli na lewą burtę okrętu, gdzie były ich ławy. Stanęli wyciągając wiosła i patrząc na pełne morze, zwróceni plecami ku lądowi.

Nagle Białowłosy skamieniał z drzewcem w dłoniach. Przez chwilę patrzył szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc poruszyć się ani złapać tchu.

Bowiem to, co drzemało w ich umysłach jako wspomnienie zasłyszanych bajek, przerażających opowieści, którymi straszono ich w Knossos i przed odpłynięciem z Troi, opowieści, z których niewiele już sobie robili, a których prawdziwości boski książę przed tak niedawnym czasem zaprzeczył, nagle przemieniło się przed jego oczyma w mrozącą krew w żyłach prawdę!

- Spójrz! - zawołał zduszonym głosem do Perilawosa i puszczając wiosło wyciągnął przed siebie drżącą rękę, nie mogąc poruszyć się z miejsca, jak gdyby stopy wrosły mu w deski dna.

Lecz Perilawos już dostrzegł. Twarz mu poszarzała i cofnął się o krok.

Okręt zamarł. Wszyscy już widzieli. Wszystkie oczy wpatrywały się z grozą w straszliwy widok.

O kilkaset kroków od burty okrętu wynurzyła się z wolna z głębiny wód szara, gładka, podłużna wyspa i nagle przyspieszywszy, jak gdyby nie płynął on pod

rozpostartym żaglem, lecz stał w miejscu, minęła go i okrążyła szerokim łukiem, zbliżając się ponownie. Wówczas dostrzegli, że nad przednią jej częścią wytryska obłok wody pomieszanej z parą.

Żaden z nich nie drgnął, gdy zbliżała się coraz prędzej, jak gdyby pragnąc wpaść na Angelosa i roztrzaskać go w drzazgi! Patrzyli, nie chwytając za oręż i nie poruszając się, a nikt nie wydobył z siebie głosu, nie zakrzyknął, nie ukrył twarzy w dłoniach. Zamarli.

I oto wyspa, miast wpaść na okręt, wyminęła go nagłym, lekkim łukiem, zostawiając głęboką bruzdę pośród fal. Wówczas z rosnącą jeszcze trwogą ujrzeni, że nie jest to wyspa!

Gdyż z fal wynurzył się olbrzymi ogon, podobny do ogona rybiego, i uderzył ze straszliwą siłą o powierzchnię morza, aż trysnął potężny słup wody i rozległ się grzmot, jak gdyby olbrzym trzasnął rozwartą dłonią w grzbiet otchłani. Dostrzegli też na jedno mgnienie dwoje oczu spoglądających na nich z gładkiej głowy tak przerażającej wielkości, że jeden jej cios musiałby zatopić okręt. A później wszystko znikło pośród wzburzonych pian.

Potwór odpłynął na niewielką odległość, zawrócił i nagle zniknął, by wynurzyć się nieco dalej na pełnym morzu, ogromny, górujący swym cielskiem nad kadłubem okrętu.

Stali nadal nieruchomi, widząc go to znikającego, to pojawiającego się w oddali, aż wreszcie rozplynął się w mgiełce słonecznej.

Wówczas Angeles ożył.

- Zwijać żagle i rzućcie się wszyscy do wiosła! - zawołał książe głosem wciąż jeszcze drżącym, lecz dośnym.

Skoczyli ku ławom i masztowi, nadal ogarnięci przerażeniem, lecz szczęśliwi, że jest ktoś, kto wie, co czynić należy w tak straszliwej chwili. Eriklewes położył stery na prawą burtę i Angelos łukiem skręcił ku lądowi, płynąc ku dalekiej linii czarnych skał otoczonych białymi pióropusząmi pian.

Wiosłowali jak nigdy dotąd, kierując się wprost ku brzegowi, gdyż lepsza była zwykła śmierć na skałach niżli ponowne spotkanie z owym ogromnym duchem otchłani morskich. Płynąc zaciskali zęby i napierali z rozpaczą na wiosła, czekając, że lada chwila rozlegnie się trzask pękających desek i zmiążdżeni potwornym cielskiem znikną w falach, aby tam znaleźć nie znaną dotąd ludziom śmierć w paszczy większej niżli wrota pałacu.

I byliby znaleźli niechybną zgubę, roztrzaskując się na nieprzystępnych skałach, gdyby roztropny Eriklewes, który choć drżał z trwogi, nie utracił przecież głowy, nie , wprowadził Angelosa w niewidzialny z pełnego morza przesmyk między górami, którym fale wdzierały się w głąb ładu.

A gdy wpłynęli na ciche i uspokojone nagle wody, prując je długimi uderzeniami wiosła, ujrzeni, że przesmyk ów rozszerza się, tworząc jak gdyby jezioro, otoczone ścianami skalnymi, lecz rozległe i mające w wielu miejscach brzeg łagodny i gotów do przyjęcia znużonego okrętu. Ujrzeni także zielony las świerkowy przetykany liściastymi drzewami, rosnący na zboczu góry wyrastającej na południowym krańcu jeziora, choć inne zbocza były nagie i mroczne.

Powoli, oglądając się za siebie, czy potwór ów nagle nie ukaże się za nimi, wpadłszy do przesmyku, aby dokonać tego, czego nie uczynił na morzu, dobili do brzegu i wyciągnęli Angelosa na pokryty drobnymi kamieniami niewielki półwysp, wysuwający się w głąb śródgórskiej zatoki, cichej jak staw.

Idąc półwyspom ku lasowi oglądali się jeszcze ukradkiem ku otwartej bramie przesmyku, za którą jaśniało pełne morze. Lecz powierzchnia wód była cicha.

Podobnie do zatoki, w której pozostawili konającego Kamona, i tu widać było, że wody odchodzą odnogami dalej w głąb owej krainy, jak gdyby morze wyrwało długie głębokie wąwozy pośród gór. Krańca owych odnóg nie było stąd widać, gdyż rozchodziły się kreto pośród kamiennych stromych ścian niknąc w oddaleniu.

Białowłosy odetchnął zeskoczywszy z burty i poczuwszy ziemię pod stopami. Ruszył za innymi ku pobliskiemu lasowi i nigdy jeszcze nie ucieszył go tak widok trawy, która zieleniła się na niskim grzbiecie małego półwyspu.

Wreszcie postępujący przed nim Widwojos zwolnił, nim doszli do pierwszych drzew.

- Boski książe nie zechce chyba, teraz nam rzec, że potwory powstały w lękliwych umysłach tych, którzy lubują się w zmyślaniu straszliwych opowieści... -szepnął idący obok Białowłosego Harmostajos, który odzyskał wesele ducha otrząsnąwszy się z trwogi.

Białowłosy spojrzał na niego surowo i niechętnie. Sam jeszcze odczuwał skurcz w gardle. Wierzył, że owa żywa wyspa, która ukazała się im na morzu, mogła być zesłana jedynie przez bogów jako ostrzeżenie, gdyż inaczej jakże można było sobie wytłumaczyć, że nie starła ich z powierzchni wód rzucając martwych na dno królestwa Posejdona? Świat nie mógł znać takich stworzeń. Pływając po morzach pożarłyby przecież wkrótce wszystkie ryby i wszystkie okręty, bo któż by się im oparł?

Lecz widząc w oczach przyjaciela niespodziewany, beztroski niemal uśmiech, sam mimowolnie uśmiechnął się, lecz spoważniał w mgnieniu oka.

- Zamilcz! - odparł także szeptem, osłaniając wargi dłonią. - Albowiem nie wiesz, kto z Wielkich tej krainy słucha nas teraz i czy nie obrażasz swą drwiną boga tych gór, ściągając na nas zemstę!

I przyłożył zwiniętą pięść do czoła, a Harmostajos poszedł za jego przykładem, choć nadal uśmiechał się jeszcze kącikami ust.

- Cóż cię tak cieszy? - spytał zdumiony Białowłosy.

- Ujrzałem największe i najstraszliwsze stworzenie, na jakim spoczęły kiedykolwiek oczy człowiecze, i uratowałem żywot! - Harmostajos potrząsnął głową ze zdumieniem, poważniejąc na chwilę. Lecz wnet się rozpogodził. - Ileż wina wypiję w gospodach Knossos! Któż nie będzie pragnął wysłuchać opowieści o owym grzbiecie, wielkim jak wzgórze, wynurzającym się z fal, opływającym nas wokół lekko jak delfin i łypiącym oczyma osadzonymi pod paszczą, która zapewne połknąć mogłaby całego Angelosa, gdyby ów potwór nie był zbyt leniwy, syty, a może dla innej przyczyny, której nie zechciał nam objawić! Dość że nie połknął mnie, żyję i oto stąkam po zielonym lądzie, a słońce świeci mi nad głową! Czyż nie jest to dostateczna przyczyna, by radować się tym pięk-

nym popołudniem! Oby jeszcze Minos chciał umrzeć i boski Widwojos lub nasz przyjaciel Perilawos zasiedli na tronie Krety! Jakimiż bohaterami nas wówczas lud obwoła!

Białowłosy pragnął odpowiedzieć, lecz księżę zatrzymał się i załoga otoczyła go kręgiem.

Piękna Wasan stanęła wsparta o ramię Terteusa. Nadal była blada i drżąca, a tak jeszcze ogarnięta trwogą, że nie rozczesła nawet kościanym grzebieniem swych jasnych włosów, co zawsze czyniła przed zejściem na ląd, gdyż była niewiastą i nieustannie pragnęła być piękną.

- Nim ów straszliwy widok ukazał się nam, wynurzając z wodnej otchłani - rzekł księżę spokojnym już i jasnym głosem - stałem na pokładzie z kilkoma z was i rzekłem im właśnie, że nie wierzę w owe potwory, którymi straszono nas przed wypłynięciem! Rzekłem także, że nie wierzę, abyśmy zbliżali się ku krawędzi świata... Lecz teraz, gdy najdzielniejsi z nas poznali ową trwogę straszliwą, która nawiedza człowieka, gdy staje naprzeciw nieśmiertelnych mocy, widzę, że moce owe sprzyjają nam, a potwór ów ukazał się jako ostrzeżenie. Tak bowiem tłumaczę sobie jego pojawienie się i niechęć do czynienia nam krzywdy... Być może nieśmiertelni bogowie widząc, że zbliżamy się ku krawędzi świata lub innemu miejscu niosącemu nam niechybną zagładę, a pragnąc nas uratować przed nią, nakazują nam, abyśmy nie posuwali się dalej, lecz zawrócili... Nie znamy ich woli i pragnień, winniśmy jednak ukorzyć się przed nimi, gdyż za ich zgodą pokonamy wszelkie przeciwności i niebezpieczeństwa, lecz bez niej zginiemy jak ptaki rażone na niebie ogniem błyskawicy i ślad nawet nie pozostanie po nas, a nie ocali żywota nikt, kto zaniósłby do ojczyzny wieść o tym, gdzie i jaką śmiercią zginęliśmy! - Urwał na chwilę i ciszej dokończył: - Radźmy więc, co należy nam odtąd czynić. Kto chce, niechaj przemówi.

Milczeli długo, gdyż żaden z nich nie wiedział, co czynić trzeba, by przebłagać bogów, choć wszyscy pojmowali, że widok Angelosa płynącego ku krańcom świata musiał ich rozgniewać.

Stali tak, myśląc rozpaczliwie i przestępując z nogi na nogę, gdy nagle wszystkie oczy zwróciły się w jedną stronę.

Oto piękna Wasan uniosła rękę, a księżę spojrzawszy na nią i rzuciwszy później okiem na stojących, czy żaden z mężów nie pragnie przemówić, skinął głową.

- Mów, piękna żono Terteusa. Wysłuchamy cię, choć jesteś niewiastą. Obyś rzekła coś, co uspokoi nasze serca.

- Panie - rzekła Wasan. - Wiem, że jestem jedynie niewiastą i nie ośmieliłabym się rzec słowa pośród zgromadzenia mężów, gdyby któryś z nich pragnął przemówić. Lecz milczą wszyscy, a jak rzekłeś, serca ich są strwożone, więc powiem, gdyż nie znam wielkiego świata i spraw między ludźmi a bogami. Otóż patrzyłam i ja, pełna przerażenia, gdy potwór ów okrażał nasz okręt. I widziałam go, gdy nie uczyniwszy nam żadnej krzywdy oddalił się na pełne morze ku południowi. Zniknął wreszcie sprzed naszych oczu, gdy blask słońca ukrył go przed nami, a może sam odszedł w głębinę, gdzie ma mieszkanie swoje. Jakkolwiek uczynił, wierzę jak i ty, księżę, że to bogowie zesłali go nam jako ostrzeżenie. Lecz skoro nie

rzucił się na nas, by roztrzaskać okręt, a okrzywszy go i przepłynąwszy przed dziobem, udał się na południe, kierując ku pełnemu morzu, wierzę, że uczynił tak, pragnąc nam wskazać kierunek, w którym mamy się udać, by ocalić nasz żywot. Podobnie, przepływając przed dziobem Angelosa, pragnął rzec nam, abyśmy nie posuwali się dalej ku północy...

Zamilkła na chwilę, a pośród zgromadzonych przebiegi szmer i głowy poczęły skłaniać się potakując, tak słuszne i jasne wydały się im jej słowa. Lecz Wasan nie skończyła jeszcze.

- W ojczyźnie mej starzy ludzie mówią, że poznawszy wolę bogów człowiek musi wykonać ją na j spiesznie j, gdyż nikt ze śmiertelnych nie wie, jak wiele czasu mu dano! Zamilkła.

I wówczas wszystkie głowy zwróciły się ku widnemu z dala wejściu zatoki. Choć zbliżał się wieczór i głęboki cień otaczających gór legł na ziemi, tam gdzie stali, lecz na morzu nadal trwał słoneczny dzień, ujrzeli jasną powierzchnię wód. Wód, z których wynurzył się potwór i w których zapewne nadal przebywał, spoglądając może z głębin na skały, gdzie zniknęła jego zdobycz.

A choć wielu pośród nich było nieustraszonych i nie lękali się śmierci w boju i podczas burzy morskiej, zadrżeli, a wszystkie oczy znów zwróciły się ku Wasan. Lecz ona cofnęła się już i skromnie skryła za potężnymi ramionami małżonka. Wówczas wzrok ich spoczął na księciu. On i syn jego byli potomkami Byka. i Wielkiej Matki, kogóż więc mieli wysłuchać w godzinie trwogi, jeśli nie ich?

- Zawstydziała nas małżonka twoja, Terteusie... - rzekł bogom podobny Widwojos - która, gdy dzielność zbiegła z serc naszych, rzekła to, co rzec był winien każdy z nas! Gdyż słowa jej były prawdziwe. Jeśli bogowie sprzyjają nam i znak ów przerażający od nich pochodził, wówczas nie zwlekając winniśmy postąpić według ich woli. Jeśli jest inaczej, a przypuszczenia nasze zwiódły nas i musimy zginąć w tej krainie lub na morzu w paszczy owego potwora lub innych, straszliwszych jeszcze, wówczas i tak nie umkniemy naszemu losowi. Albowiem nie możemy pozostawać tu do końca dni naszych i musimy powrócić na morze. Wypłynęmy więc i choć przyjdzie nam walczyć z przeciwnym wiatrem, oddalmy się od tego ładu i pożeglujmy wprost ku domom naszym przez królestwo łaskawego Posejdona. A że nie wiemy, jak długo przyjdzie nam płynąć ani na jakich brzegach spoczna nasze oczy, gdy czas się dopełni, powierzmy się łaskawości bogów, przydając jej moc naszych ramion! Bowiem nic innego nam nie pozostało! Niechaj każdy z was odpowie, czy pragnie, abyśmy tak uczynili, aby później nie pomyślał, że choć uczynił to, co inni, doradzał jednak poniechania tego zamiaru.

W milczeniu wszyscy pozdrowili bogów, a później każdy wznosił prawe ramię na znak zgody.

- Poszukajmy więc czystego źródła! - rzekł Widwojos.

- A gdy nabierzemy w pithosy dość słodkiej wody, ruszajmy nie zwlekając.

Gdy po pewnym czasie Angelos odepchnięty wiosłami odbił od brzegów półwyspu i skierował się ku skalnej bramie zatoki, książę z Terteusem stanęli na dziobie, wpatrując się z natężeniem w powierzchnię wód. Lecz nic

nie zmaciło swobodnej gonitwy fal.

Gdy znaleźli się na morzu, pojęli wnet, że wiatr południowy przycichł i przemienił się w łagodny zachodni powiew, co uznali za dobrą wróżbę, gdyż wioślarzom łatwiej było teraz pracować i tej nocy Angelos z pewnością przebędzie większą połać morza, jeśli...

Lecz słowa owe nie padły z ich ust, a nikt z załogi nie rzekł słowa o potworze.

Okręt oddalał się od lądu łagodnym łukiem zmierzając ku południowemu zachodowi, tam gdzie stało opadające słońce. Zanurzało się ono z wolna w morze i Terteus, który nie spuszczał oka z nieskończonej powierzchni wód przed dziobem, myślał z niepokojem o nastaniu zmroku. Za nimi czarne góry poczerwieniały w świetle zachodu. Okręt oddalał się od nich i zapewne, jeśli noc upłynie szczęśliwie, rankiem będą one już tylko mglistą linią na wschodnim widnokręgu.

Lecz słońce, zanurzwszy się niemal całym swym jasnym kręgiem w morzu, zawisło nieruchomo tuż pod widnokręgiem i blask półkolistego skrawka jego oblicza trwał nadal na falach.

Terteus spojrział raz i drugi, nie pojmując, a później serce jego ścisnął nagły lęk.

- Czy widzisz? - rzekł ksiązę. - Ten dzień nie kończy się!

Cała załoga także pojęła, że dzieje się coś straszliwego i choć ludzie nie wypuścili wiosła, a głos żeglarza nawołującego śpiewnie spod masztu: - Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le... - nie cichł, nad Angelosem ponownie zawiśła groza.

Bo to na pół ukryty krąg światłości - miał zniknąć wreszcie - począł z wolna wznosić się i wkrótce oderwał od powierzchni wód szybując w górę i ku południowi po swej codziennej drodze.

Ksiązę odwrócił się i poszedł ku środkowi okrętu, a stanąwszy na podwyższeniu pod masztem i dawszy znak dłonią nawołującemu

żeglarzowi, aby ucichł, zawołał ochrypłym głosem:

- Przestańcie wiosłować i powstańcie, dzielni towarzysze moi! Oto mamy widomy znak, że bogowie umiłowali nas i potwór ów był wysłany od nich z rozkazem, abyśmy nie płynęli dalej ku północy! Gdyż dopłynęliśmy niemal do krawędzi świata, gdzie słońce zachodzi!

I zwróciwszy się ku przeciwnemu kręgowi, który teraz stał już w pełni nad widnokręgiem, uniósł ku niemu wyprostowane ramiona, a wszyscy powstawszy uczynili podobnie, dziękując bogom za łaskę i ocalenie z niebezpieczeństwa, jakiego nie zaznał dotąd żaden ze śmiertelnych.

Okręt, pozbawiony steru

i wiosła, kołysał się lekko
pod ich stopami, tańcząc na
falach.

Wreszcie Widwojos opuścił
ramiona, a inni uczynili to
za nim i zasiedli do wiosła.
Zabrzmiał śpiew żeglarza
stojącego pod masztem
i Angelos drgnął, a później
ruszył nabierając szybkości,
gdyż nowe siły wstąpiły w załogę.

- I cóż ci rzekłem?! - zawołał Harmostajos obracając
się na ławie ku Białowłosemu i ciągnąc ku sobie wiosło. -
Dopłynęliśmy do krańców świata i nawet sam boski syn
Byka przyznał to teraz! I dobrze się stało, gdyż za dzień
lub dwa moglibyśmy ujrzeć białe oblicze Posejdona,
a któż ze śmiertelnych mógłby nie paść bez życia na ów
widok!

Białowłosy nie odrzekł nic, lecz odpowiedział mu
uśmiechem, gdyż i on uwierzył nagle, że bogowie czuwają
nad okrętem i jego załogą.

A bogom podobny Widwojos powrócił na dziób i długo
stał wpatrując się w słońce. Brwi miał zmarszczone, jak
gdyby próbując pojąć, co mogło spowodować, że wydarzyło
się to, co się wydarzyło.

Na dnie serca swego nadal pragnął pojąć istotę rzeczy
tego świata bez uciekania się do pomocy bogów. Bowiem
nie wierzył w bogów, choć od pewnego czasu począł się
ich lękać. Tak zdumiewający i pogmatwany bywa umysł
człowieczy.

I być może pozostałby długo pogrążony w myślach, nie
umiejąc znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, które zadał
sobie pragnąc pojąć zdumiewające i straszliwe wypadki
tego dnia nie zakończonego nocą, gdyby w końcu
nie nastąpiła rzecz najstraszliwsza, która wstrząsnęła jego
sercem i kazała mu skorzystać przed tajemną mocą bogów.

Albowiem on, książę Widwojos, syn i wnuk królów, sam
ujrzał owego dnia oblicze Boga Niezmierzonych Głębin,
a wraz z nim ujrzała je cała załoga Angelosa!

A stało się to, gdy płynęli już długo i wiatr odmienił się
z zachodniego w nieco chłodniejszy, północno-zachodni.
Podnieśli wówczas wielki żagiel, pod którym okręt wspo-
magany połową wiosła począł płynąć szybko, kierując
dziób ku nagiemu bezmiarowi błękitu na południowym
zachodzie. Gdzieś tam krył się utęskniony ład, który
pragnęli napotkać, by wzdłuż jego brzegów podążyć ku
domowi. Wypatrywali go więc nieustannie, a książę wraz
z Terteusem stali na dziobie, rozmawiając i zastanawiając
się, czy ujrzą ów ład dziś jeszcze, czy też minie wiele dni,
nim ukaże się on na widnokręgu... gdy nagle Terteus
przymrużył oczy i przysłonił je dłonią. Wydało mu się
bowiem, że na zachodzie, pośród morza, dostrzegł odle-
gły błysk, jak gdyby zamigotało tam wielkie światło.

- Cóż dostrzegłeś? - spytał bogom podobny Widwo-
jos spoglądając w tym samym kierunku.

- Nie wiem... boski książę... - Terteus pochylił się ku
przodowi trzymając dłonią za belkę obramowania dzio-
bu. - Zapewne oczy moje omamiły mnie...

- Czyś dostrzegł blask, jak gdyby słońce nagle zapło-
nęło na zachodzie i zgasło w mgnieniu oka? - zapytał
Widwojos.

- Dostrzegłem! - rzekł Terteus cicho. - I znowu go dostrzegam!

Angeles nie płynął w kierunku owego światła, które pojawiała się i gasło nagle, by znów się pojawić. Słońce weszło już wysoko i dzień zbliżał się ku południowi. I znów oczy całej załogi spoczęły na owym miejscu pośród morza, aż nagle Białowłosy, który miał wzrok sokoła, zawołał:

- Widzę je!

- Cóż widzisz? - zawołał Harmostajos.

- Białe i lśniące... migocze jak klejnot... na krawędzi wód... Jak wielka głowa! Oblicze zanurzone w morzu! A nie stało ono w miejscu, lecz z wolna sunęło za nimi odległe, niemal niedostrzegalne, wysyłając im błyskawice blasku. Posuwało się w tym samym kierunku co oni, podążając z północnego wschodu. Aż wreszcie, gdy zbliżyło się nieco, ujrzeli wszyscy to, co pierwszy ujrział Białowłosy: ogromne, białe oblicze lśniące na granicy wód i widnokręgu!

I znów powstałi wszyscy i pozdrowili Go, pochyliwszy głowy i spuściwszy oczy, aby nie poraził ich śmiercią za zuchwalstwo.

Gdyż pojęli, że oto dostąpili laski największej, jakiej mógł dostąpić żeglarz przemierzający wody; ujrzeli, choć z tak wielkiej odległości, olbrzymie Białe Oblicze Posej-dona, spoglądającego na nich spoza krawędzi wód!

I tak, szczerkając zębami z trwogi i korząc się w myślach przed owym Wielkim Obliczem, ślącym im z dala oślepiające promienie, jak gdyby było niezmierną, zanurzoną w morzu bryłą lodu, odbijającą słoneczny blask, napierali na wiosła, oddalając się od owej okolicy morza, by nie zakłócić Panu Wód jego boskiego spokoju. Pojęli jednak w owej chwili, że choć wiele jeszcze trudów ich czeka, lecz żadna siła nie zawiąże już drogi ich powrotu.

Gdyż temu, który ujrział Oblicze Boga i nie padł rażony błyskawicą gniewu, ludzie, moce ziemi i morza niewiele złego mogą uczynić.

Aż wreszcie dalekie Oblicze posłało im ostatni ostry błysk z granicy wodnego widnokręgu i znikło.

Pan Morza zstąpił zapewne do cichych podwodnych pałaców, w których przebywał pośród dusz dzielnych żeglarzy i zatopionych okrętów.

Angeles parł dalej, sunąc ku swemu odległemu, nieznanemu celowi.

Tej nocy wydało im się, że tarcza słoneczna skryła się nieco bardziej pod powierzchnię, a następnej gotowi byli przysiąc, że jedynie maleńki jej skrawek pozostał widomy.

I być może trzeciego wieczora ujrzeliby z radością, że słońce całe zniknęło, kryjąc się na krótki odpoczynek. Lecz w południe nadeszły niskie chmury z północy, a wkrótce biała mgła opadła na morze, przesłaniając wszystko tak gęstą powłoką, że z dziobu okrętu zaledwie można było dostrzec wierzchołek masztu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Krąg olbrzymich głazów

Białowłosy otworzył oczy. Ktoś szarpnął jego ramieniem, lecz był tak znużony, że minęła chwila, nim poznał pochylone nad sobą oblicze Terteusa.

Usiadł przecierając powieki. Terteus puścił go, postąpił ku następnemu śpiącemu i zaczął nim potrząsać:

- Wstawaj, Kalaurosie, czas nadszedł!

Ludzie z wolna unosili się i wstawali, klęcząc cicho lub milcząc.

Białowłosy rozejrzył się. Pokład nie kołysał się niemal. Okręt płynął, popędzany połową wiosła, po morzu spokojnym jak staw. Terteus zniknął w oparze i z dala tylko było słycać jego ciche nawoływanie, gdy budził śpiących kamiennym snem wyczerpanych ludzi.

Białowłosy zadarł głowę. Czy to dzień, czy noc teraz? Któż mógł odgadnąć w tej przerażającej krainie wód rozjaśnionych zachodzącym na krótko słońcem, a równocześnie pokrytych gęstym, nieprzebytym oparem?

A jednak wydawało im się, że mrok zapadał nieco dłuższy co dnia i mgła przemienia się w prawdziwą ciemność... Być może działo się tak dlatego, że zawrócili z krawędzi świata i płynęli odtąd nieustannie ku południowi. Lecz któż mógł mieć pewność, że to było przyczyną?

Białowłosy ruszył ku tyłowi okrętu, gdzie piękna Wasan wraz ze starym Nasiosem piekła placki na płaskim kamieniu paleniska. Pozdrowiła go jak zawsze z uśmiechem, gdyż nie zapomniła, komu zawdzięczała żywot swój ocalony, gdy żegnała już młode dni. Podała mu placek, a stary Nasios wyciągnął ku stojącemu kubek z wodą, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej stęchła.

Jedząc Białowłosy myślał o tym, ile dni już płynęli od chwili, gdy po raz ostatni postawili stopę na lądzie? Osiem, dziewięć?... A może było ich już dwa dziesiątki!... Zagubił rachubę upływającego czasu, a wraz z nim wszyscy inni, gdyż nie widząc zapadania nocy, a kładąc się do snu i powstając z niego po to jedynie, aby zjadłszy pośpiesznie kawałek placka, zasiać znów przy wiosła, tkwili jak gdyby w zaczarowanym kręgu, nie widząc niczego, prócz pleców najbliższego towarzysza, wynurzających się z cichego, mlecznego oparu, nie rozkołysanego najmniejszym wiatrem. Gdyby choć wiedzieli na pewno, że przykładając się do wiosła skracają chwile oczekiwania! Lecz nie widząc ładu, morza, słońca ni gwiazd być może zataczali wielki krąg? Wiosłując i zaciskając zęby drżeli na myśl, że gdy wreszcie mgła opadnie, ujrzą znów przed sobą czarne wierzchołki gór, które żegnali przed wielu dniami.

Lecz Eriklewes, który nieustannie spoglądał na wodę przepływającą wokół burt okrętu, twierdził z uporem, że nie zgubili kierunku. A cóż innego pozostawało im, jak zaufać sternikowi, choć oblicze jego zapadło się, a oczy miał czerwone, bowiem nie spał niemal od chwili, gdy zanurzyli się w milczące morze mgły. A gdy tylko kładł się zmorzony nieustannym czuwaniem, wkrótce niespokojne myśli, kołające się w głowie nawet podczas snu, budziły go i zrywał się, powracając na tył okrętu. Zwykle w takich razach, biorąc za wiosła sterowe powiązane z sobą liną, naprowadzał dziób okrętu nieco w lewo lub w prawo, jak gdyby wiedział, że zboczył on podczas jego snu, gdy inny czuwał nad kierunkiem żeglugi.

Zdumiewało ich to początkowo, wkrótce jednak zobojętnieli niemal na wszystko, zaprzestawszy wierzyć w ducha, aby podróż ta skończyła się kiedykolwiek. Płynęli więc, odpędzając od siebie straszliwe przypuszczenia o nieskończonym morzu bez kresu lub o krawędzi wód,

która wessie ich jak wir ogromny i rzuci w bezdenną otchłań. Niektórym śniły się potwory i bogowie, a wówczas krzyczeli przez sen i płakali budząc innych. A okręt płynął równo, po łagodnej fali, otoczony białym mrokiem, jaśniejącym, gdy słońce wznosiło się, i głębszym, gdy opadało za niewidzialny widnokrąg. Lecz nie dostrzegli słońca ani razu, choćby na krótką chwilę, od owego czasu, gdy ujrzeli głowę Boga wędrującą widnokretem.

Białowłosy stanął nad wiosłującym towarzyszem i lekko dotknął jego ramienia, a później wyciągnął dłonie i ujął wiosło, aby nie wysunęło się z szeregu. Zmienili się cicho i szybko.

Tamten zniknął odchodząc ku tyłowi okrętu, a Białowłosy naparł lekko na wiosło wsłuchany w zaśpiew żeglarsza stojącego pod masztem:

- Płyn przez fa-le...

Nagle we mgle zabrzmiał okrzyk, powtórzony przez siedzących.

- Unieść wiosła! Unieść wiosła!

Odruchowo naparł na wiosło z góry, wyczuwając, że wynurza się ono z wody. Ujrzał Terteusa wyłaniającego się z oparu i podążającego szybko ku tyłowi okrętu. Angelos zwolnił i zatrzymał się.

Padły szybkie rozkazy i smukły kadłub zawrócił małym łukiem. Terteus i Eriklewes biegli teraz ku dziobowi.

- Czyżby ktoś wpadł do morza? - zapytał Harmostajos wiosłując z wolna, tak jak chciał tego głoś zaśpiewu, który nakazywał im leniwie muskać wodę.

- Nie! - odparł Białowłosy. - Bowiem nawoływaliby inaczej! A teraz wzywaliby go głosem, aby mógł się odnaleźć pośród mgły.

Głos nawołującego ucichł, unieśli więc wiosła i okręt posuwał się teraz już tylko siłą rozpędu, zwalniając ciągle.

- Jeśli ktoś z was ujrzy w morzu pływającą gałąź, niechaj zawoła wielkim głosem, abyśmy ją wyłowili! - krzyknął spod masztu Terteus.

Białowłosy cofnął wiosło i na pół uniósł się z ławy, wpatrując w mały skrawek jasnego, oleistego nurtu widoczny tuż przy burcie. To samo uczynił Harmostajos i inni. Drobne fale ocierały się cicho o ciemne deski kadłuba i szeleszcząc odchodziły w półmrok. Woda była pusta, niezmacona...

- Być może minęliśmy ją? - usłyszeli głos Eriklewesa.

- Dostrzegłem ją w chwili, gdy okręt ją wyminął, lecz musi znajdować się w pobliżu...

- Jeśli... - odparł Terteus.

Lecz Białowłosy nie usłyszał reszty jego słów. Bo oto dostrzegł nagle na wodzie kołyszącą się, zieloną gałąź, okrytą liśćmi.

- Jest! - krzyknął Harmostajos. - Tam jest! - i wyciągnął ramię.

Białowłosy był już przy burcie, odbił się mocno i skoczył pomiędzy uniesionymi wiosłami.

Dotknąwszy powierzchni, mocnym zamachem skierował się w lewo, gdzie pośród ciągnącego się nad wodą oparu zniknęła gałąź. Jeszcze dwa ruchy ramion. Ujrzał ją przed sobą i pochwycił.

Woda była zimna, zimniejsza nawet nieco niżli morze w pobliżu owych czarnych gór północnych. Nie myślał jednak o tym. Spojrzał w górę. Ostatnie wiosła zniknęły

mu we mgle i dostrzegał jeszcze przez chwilę wolno oddalający się czarny, wysoki okręt. I oto nagle został sam pośród mgły.

Lecz nadal słyszał ich okrzyki i odpowiedział tak głośno, jak mógł, płynąc w ich kierunku.

Po chwili znów dostrzegł Angelosa, który wynurzył się, najpierw jako mglisty zarys, a później wyrósł tuż przed nim.

- Tu jestem! Mam ową gałąź, którą pragnałeś ujrzeć, Terteusie! - zawołał.

Zbliżył się jeszcze bardziej i oto stojący na tyle dostrzegli go.

Chwycił za jedno z wiosel sterowych, a gdy rzucili mu sznur, owiazał się jego końcem, nadal trzymając gałąź. Wciągany z wolna, wbijając bosc stopy w deski okrętu i odchyliwszy się jak najbardziej do tyłu, wznosił się ponad wodę, widząc wyciągnięte ku sobie ramiona, które pochwyliły go i postawiły na pokładzie. Stał przez chwilę szcękając zębami w rosnącej kałuży wody u stóp, a dostrzegłszy przed sobą boskiego Widwojosa, podał mu gałąź. Książę trzymając ją zwrócił się do Eriklewesa. Sternik dotknął gałęzi palcami. Liście były młode i nie-które rozwijały się dopiero, choć inne były tak wielkie jak bywają pośrodku lata. Zнали je wszyscy dobrze. Była to gałąź dębu.

- Cóż sądzisz, Eriklewesie? - zapytał książę, a ludzie stłoczeni wokół zamilkli wstrzymując oddech.

- Sądzę, boski potomku bogów, że gałąź ta... - Eriklewes urwał i oderwawszy liść, uniósł go ku wargom, dotknął końcem języka, a później z wolna zmiął w dłoni i otwarłszy ją, rozprostował go palcami drugiej ręki - jeszcze dzisiejszego ranka rosła na drzewie macierzystym... I niechaj bogom będą za to dzięki, bo choć nie dostrzegacie tego, płyniemy walcząc z wielce łagodnym powolnym prądem, który zapewne uniósł ją od wybrzeży krainy, gdzie rosła!

- Wierzysz więc, dzielny sterniku, że ład jest w pobliżu?

- Wiem o tym, panie! Bowiem gałęzie dębu nie rosna na falach! -1 dodał z namysłem, przyglądając się gałęzi: - Wiem także, że nie wichur lub wezbrane wody wyniosły ją na morze. Spójrz, boski książę, jak równo ją ucięto. Uczyniono to nożem. Bo gdyby ścięto ją mieczem, odcięta zostałaby gładko, a oto widzisz nacięcie na korze, gdzie nóż obsunął się, i drugie, uczynione zaraz potem, które ją odcięło.

- To prawda - rzekł Widwojos. - Wiemy więc też, że ów ład jest zamieszkaany.

Gdy powrócili do wiosel, wydano rozkaz, by osłonili burty wielkimi tarczami i mieli broń na długość ramienia przed sobą.

Terteus zakazał też rozmów. Wiosłowali więc w ciszy, bez zaśpiewu, jak rozbójnicy morscy zbliżający się nocą do uspionego grodu nadbrzeżnego.

A gdy płynęli już tak długo, że wiosłarze ponownie zmienili się na ławach, poczał padać cichy deszcz, początkowo drobny, a później coraz gęstszy i mgła jak gdyby poczęła rzednać, lecz zrobiło się mroczniej, gdyż nadciągnęły niskie ciemne chmury, a wraz z nimi chłód przejmujący.

I oto w pewnej chwili strzępy mgły przed dziobem

rozwiały się i w nikłym świetle gasnącego dnia, pod nisko ciągnącymi, skłębionymi obłokami, stojący na dziobie ujrzeni ciemniejszą jeszcze linię rozciągającą się jak okiem sięgnąć po granice widnokręgu. A wówczas deszcz ustał i obłoki otwarły się na chwilę, ukazując czyste oko niebios nad owym ładem. Lecz nie było ono błękitne, a rozświetlone purpurowym blaskiem zachodzącego słońca!

Widząc to powstali wszyscy i wydali radosny okrzyk. Nie omylił się bowiem roztropny Eriklewes i oto przed nimi był ład na zachodzie, ku któremu żeglowali przez tyle dni!

Brzegi owej krainy były wysokie i skaliste, a skały te miały niemal białą barwę, jak niektóre wyspy na północ od Krety. Za nimi ciągnęła się równina porośnięta gęstym lasem, gdyż widzieli wszędzie drzewa na skałach, a będąc na morzu nie dostrzegali wysokich wzgórz w głębi ładu, lecz jedynie pasmo łagodnych wzniesień. Żeglowali więc wzdłuż wybrzeża kierując się ku południowi i tak zastała ich na morzu noc krótka, lecz wreszcie prawdziwa.

Wzniesli więc oczy ku ciemnemu niebu, wpatrując się z podziwem w gwiazdy, jasno lśniące po deszczu. Dał porywisty, chłodny wiatr, a nikt nie usnął tej nocy, lecz ci, którzy nie wiosłowali, stali przy burtach, gdyż z dala widzieli nieustannie ciemną linię upragnionych brzegów. A gdy nadszedł pierwszy blask przedświt, zbliżyli się ku ładowi i wkrótce napotkali miejsce, gdzie skały obniżały się ku opadającej w morze niskiej przełęcz, która wydała im się ujściem rzeki.

Lecz gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, dostrzegli ku swemu zdumieniu, że morze powoli wlewa się do owego ujścia. A że było ono szerokie, zwrócili ku niemu dziób Angelosa i weszli w głąb ładu niesieni leniwym, wezbranym nurtem.

Żeglowali tak do południa, mając po obu burtach gęsty las. Krzewy rosnące na jego skrajach zdawały się zalane wpływającymi od morza wodami. Wkrótce ów ruch nurtu ustał, a gdy zapragnęli przybić do leżącej wśród lasów rozległej łąki nadbrzeżnej, dostrzegli z trwogą, że rzeka poczyna płynąć na powrót ku morzu, a zwierciadło jej opada. Wreszcie, gdy zdało im się, że rzeka dąży ku morzu zwykłym sposobem jak wszelkie inne rzeki, które znali, przybili do brzegu.

Zeskakując każdy z nich dotykał otwartą dłońią ziemi, by pozdrowić bogów ukrytych w jej głębi. Bowiem nieje-
1' - Czarne okryty t. IV

Jen z nich zwątpił podczas ostatnich dni, że stopa jego kiedykolwiek zazna słodczych dotknięcia trawy zielonej. A byli tak znużeni, że Terteus z trudem wybrał niewielu, którzy mogli jeszcze udźwignąć oręż, by czuwali nad snem innych.

Wydawało mu się jednak, że wśród tych nieprzebytych lasów byli bezpieczni, jeśli nieznany wróg nie pojawi się nadciągając wodą. Lecz jeśli Posejdon nadal otacza ich opieką, niechaj odwróci to niebezpieczeństwo, gdyż żadnemu wrogowi nie mogliby dziś stawić czoła w boju, a niejedno ramię nie uniosłoby nawet ciężkiego spiżowego miecza.

Tak więc nie jedząc i nie rozpalając ognia runęli na ziemię i usnęli. A gdy zbudzili się, znów była noc, lecz siły ich powróciły i poczuli głód, a wraz z nim nowa radość

wstąpiła w ich serca. Niektórzy więc udali się przed świtem na łowy, a inni zasiedli wokół ogniska susząc przemoczoną odzież i czyszcząc piaskiem miecze i groty strzał pokryte lekką rdzą.

Terteus przechadzał się pomiędzy nimi wraz z księciem i uśmiechał, gdy w ucho wpadały mu nucone cicho przy ogniu pieśni, których od tak dawna nie słyszał. Lecz mając oko i umysł wodza poznał, że załogi tej nie powiedzie dziś ani jutro ku domowi, lecz musi dać jej znać wypoczynku, aby odzyskała siły po nieustannej, trwającej dni czternaście, jak obliczył, podróży o zwiniętym żaglu, podczas której ludzie zmieniali się przy wiosłach zaznając jedynie krótkiego wytchnienia.

Ksiażę zgodził się z nim i postanowili, że nie będą szukać miejsca innego niżli to, na którym się znajdują, gdyż zapewne dość tu było zwierzyny, wody słodkiej w rzece i okolicznych źródłach, a także suchych gałęzi do podsycania ognia. A jeśli wróg jakiś wypatrzy ich i zechce uderzyć, wówczas broniąc się wsiądą na okręt i odpłyną kierując się znów ku morzu.

A gdy postanowili, że zostaną tu, Terteus umyślił wysłać kilka par ludzi, aby rozszedłszy się od obozowiska w różnych kierunkach, jak to czynią promienie słońca, zbadali, czy okolica ta jest jedynie bezludną puszcza, czy też mieszkają tu ludzie. Pamiętał o owej znalezionej w morzu gałęzi. Lecz od chwili gdy Białowłosy wydobył ją z wody płynęli jeszcze długo, a być może prąd przyniósł ją 7. jeszcze dalszych stron.

Uczylił tak jak postanowił, a gdy Białowłosy powrócił wraz z Harmostajosem z łowów, wlokąc zabita sarnę, której szyi dosięgły ich strzały, odwołał ich wraz z paru innymi nad wodę i tam wyjaśnił, że pragnie, aby wyruszyli. Szybko też podzielił ich na pary, a że Perilawos także stał wraz z nimi, kazał mu iść wraz z Białowłosym, mówiąc, że Harmostajos wyruszy z nimi, bowiem byli najmłodszy i najmniej doświadczony z całej załogi. - Choć równie dzielni! - dodał śmiejąc się na widok ich posępnych spojrzeń.

Tak więc gdy po jego ostatnich słowach Harmostajos wdrapał się na najwyższe drzewo i zawołał z góry, że widzi w oddaleniu łagodną wyżynę na zachodzie wznoszącą się łańcuchem niskich wzgórz, Terteus tam właśnie wysłał ich wszystkich nakazując, by rozproszyli się szeroko dla zbadania całej okolicy i pamiętali, że zabłądziwszy w puszczy powracać mają ku rzece, bowiem idąc jej brzegiem odnajdą obozowisko.

Ruszyli szybko i w milczeniu, torując sobie drogę przez gęste leśne poszycie i bacząc, by mieć po lewej ręce słońce stojące już niemal u wierzchołka swej dziennej drogi.

Po długim marszu weszli wreszcie na polanę wśród puszczy i dostrzegli ów łańcuch wzgórz tak blisko, że wyraźnie widać było pojedyncze porastające je drzewa. Lecz najbliższe wzgórze, będące rozległym, pokrytym trawą łagodnym wzniesieniem, stało nagie, a jedynie na jego szerokim płaskim wierzchołku dostrzegli coś, co kazało im cofnąć się ku drzewom i ukryć w cieniu.

Choć odległość była jeszcze znaczna, ujrzeli wyraźnie krąg olbrzymich ociosanych jak kolumny głazów, nakrytych innymi długimi kamiennymi belkami, tak że stykały się one z sobą. Kręgów tych było dwa lub trzy, a na krańcach wzgórz dostrzegli jeszcze pojedyncze strzeliste

głazy stojące jak samotne wieże.

- Cóż to jest? - szepnął Perilawos. - Przypomina świątynię, lecz nie ma dachu ni miasta naokół, którego bóg zamieszkiwałby w niej! Nawet stąd dostrzeglibyśmy zapewne ludzi, gdyby krążyli wokół niej!

- To prawda... - Harmostajos skinął głową. Nie uśmiechał się teraz, jak to miał w zwyczaju. - Lecz pomyśl, Perilawosie, że lud, który wzniósł tę budowlę, musi być liczny i potężny, gdyż dzikie barbarzyńskie plemię nie miałoby sił ni rozumu, by przyciągnąć tu te głazy i wydzwignąwszy ustawić je tak przemyślnie. Jeśli każdy z owych słupów wyciosany jest z jednego kawałka skały, a sędzę, że jest tak, wiele setek ludzi trzeba było, aby przynieść go tu, nie mówiąc o tym, że unieśli oni niektóre z nich wysoko i złożyli na innych! - Zamilkł.

- Czy zawrócimy, by donieść twemu boskiemu ojcu i Terteusowi o tym, co ujrzeliśmy tutaj? - zapytał Biało-włosy spoglądając jednak, gdy mówił, nie na młodego księcia, lecz na Harmostajosa, który odparł:

- Trzeba tak uczynić, lecz może spróbujemy zbliżyć się nieco do owej budowli, a może nawet obejść wzgórze, by przekonać się, czy lud ów nie ma swych siedzib po drugiej stronie grzbietu, choć nie sędzę, aby było tu tak cicho, a las nie nosił żadnych śladów człowieka, gdyby w pobliżu znajdowało się miasto.

- Słusznie rzekłeś! - Perilawos skinął głową. - Być może lud, który spiętrzył te głazy, dawno już zginął, a pozostały one na świadectwo dziejów, których nigdy nie poznamy. Lecz ruszajmy już, abyśmy się przekonali. I ścisnąwszy oszczep w dłoni, chciał ruszyć przez polanę wprost ku owej wyniosłości, od której dzielił ich jeszcze las ciągnący się aż do jej podnóża. Lecz Harmostajos wstrzymał go ruchem ręki.

- Jeśli nie dostrzegamy tam ludzi, nie znaczy to wcale, że nie możemy ich tam napotkać. A źle byłoby, gdybyśmy ściągnęli na siebie ich uwagę, gdyż zaniepokojeni mogą przeszukiwać okolice i wówczas natrafią na Angelosa. Nie wiemy, czy byłby to lud przyjazny cudzoziemcom, czy też nienawidzący każdego obcego jak wiele plemion, które napotkaliśmy. A nie zapominajmy, że w pobliżu na lewo od nas idą Anomedes z Deukionem, a po prawej Metalawos z Kalaurosem. Oni także ujrzą zapewne ową budowlę wynurzywszy się z lasu, lecz wiedząc, że znajdziemy się bliżej, nie skierują się ku niej, pozostawiając jej wybadanie nam. Tak więc baczmy, abyśmy widzieli nie będąc widzianymi i dotarli na szczyt sąsiednich wzgórz, gdzie rosną krzewy i drzewa, choć nie tak gęsto jak tu. Stamtąd rozejrzemy się, a jeśli okolica owa okaże się pustkowiem, wówczas przedziwna budowla kamienna przestanie nas trwożyć i zajmować. Bowiem nie nasi przodkowie ją wznieśli i nie na cześć naszych bogów! Po krótkiej naradzie postanowili, że nie będą dalej szli razem, lecz rozejdą się, idąc jeden o kilkaset kroków od drugiego i bacząc odtąd pilnie, czy ziemia nie nosi śladów niedawnej bytności człowieka. Harmostajos nalegał, by dwaj z nich obeszlą wzgórze szerokim kręgiem z dwu stron, wdrapując się na oba sąsiadujące z nim wzniesienia, aby ujrzeć, co kryje się za nimi. Trzeci miał czekać w miejscu, gdzie stali teraz, aż powrócą. A jeśliby nie powrócili, gdy słońce pocznie się chylić ku zachodowi, winien ruszyć najspieszniej ku obozowisku, by opowiedzieć

o budowli owej i niepewnym losie swych towarzyszy. Rzucili losy, biorąc do ręki małe różnobarwne kamyki, z których najmniejszy miał pozostać. Harmostajos odwrócił się, ukrył dwa w dłoniach, a jeden w ustach. Perilawos, który wskazał lewą dłoń, wyciągnął najmniejszy kamyk i cofnąwszy się za rozłożysty pień, skinął im głową na pożegnanie.

Ruszyli trzymając się drzew i okrażając polanę, a później zagłębili w las.

Początkowo szli razem, stąpając cicho po gęstym mchu i bacząc, by nie nadepnąć na suchą gałąź. Oczy ich starały się przebić gąszcz leśny, który z wolna począł rzednąć. Po pewnym czasie dostrzegli przed sobą przesłonięte niemal pniami drzew i zaroślami łagodne, oświetlone słońcem zbocze, gęsto porośnięte wrzosem i krzakami jałowca. Idąc powoli od pnia do pnia i zatrzymując się co pewien czas, zbliżyli się do skraju lasu.

Zbocze wraz z owym budzącym zdumienie kamiennym kręgiem było przed nimi. Głazy wydawały się stąd większe nawet niż wówczas, gdy spoglądali na nie z dala. Gdyby trzech ludzi stanęło jeden na ramionach drugiego, ów ostatni zaledwie sięgałby ku leżącym poprzecznie, pięknie ociosanym odłamom skalnym, równie wielkim jak owe, na których spoczywały, a tak ciężkim zapewne, że siły wielu ludzi i niezwykłej przemyślności trzeba było, aby dźwignąć je i położyć tam, gdzie leżały.

Białowłosemu przyszły na myśl opowieści o olbrzymach północnych, o których nasłuchiwał się w Knossos przed wypłynięciem wyprawy. Zadrżał. Lecz później wspomniał na kamienne świątynie i posagi Egiptu, które były przecież nieporównanie większe, a wznieśli je zwykli ludzie.

Stali przez długą chwilę wpatrując się w płaszczyznę na wierzchołku wzgórza, a później Harmostajos dotknął lekko palcami ramienia przyjaciela i wskazał oczyma las w prawo, równocześnie dając mu znak, by ruszył w lewo. Uśmiechnął się i pochylony, ściskając oszczep w dłoni, zniknął pomiędzy drzewami idąc cicho jak cień.

Białowłosey odprowadzał go wzrokiem, póki smukła skradająca się postać nie rozplynęła się w mroku rzucającym przez gęste korony drzew. Później, cofnąwszy się nieco w głąb lasu, ruszył w przeciwnym kierunku, nadal widząc z dala zbocze, które począł okrażać, starając się dotrzeć do łagodnego skłonu łączącego je z drugim wzgórzem o zboczach porośniętych lasem dającym osłonę przed oczyma mieszkańców tej ziemi, gdy któryś z nich zabłąkał się tutaj.

Z wolna grunt począł podnosić się i w pewnej chwili Białowłosey ujrzał, że przez las biegnie długie odkryte pasmo traw nękane na wyniosłości. W przeciwnym kierunku ciągnęło się ono ku wzgórzom, gdzie stała kamienna budowla.

Zbliżył się i nagle stanął wstrzymując oddech, zupełnie nieruchomy, mimowolnie opuścił dłoń na rękojeść miecza i przełożywszy wolno oszczep do lewej ręki. Środkiem owej pokrytej trawą przecinki leśnej biegła wyraźna ścieżka ze śladami stóp ludzkich.

Białowłosey stał skryty za drzewem, wpatrując się w ścieżkę i nie wiedząc, co ma czynić.

Widział wyraźnie, że nie minęło wiele czasu, odkail przeszli tędy ludzie. Sądząc ze śladów, było ich wielu.

Ziemia, jeszcze wilgotna po wczorajszym deszczu, oddawała wyraźnie odciski nagich stóp.

Gdzieś w pobliżu przebywali mieszkańcy tej krainy. Winien był teraz zawrócić i podążyć wraz z przyjaciółmi do księcia, aby oznajmić mu o tym. Lecz może lepiej byłoby przekonać się, dokąd owa ścieżka zmierza? Gdyby udało mu się niepostrzeżenie zbliżyć do siedzib tych ludzi lub obozowiska, Kretcńc/ycy dowiedzieliby się, czy jest to wielkie miasto, czy też mała osada o niewielu mieszkańcach, nie mogących zagrozić załodze Angelosa w otwartym boju. Im więcej książę, i Terteus będą wiedzieli, tym lepiej.

Pomyślawszy tak, położył się w trawie i wysunął nieco na pozbawiony osłony pas ziemi. Nie unosząc głowy doczołgał się do ścieżki, przekroczył ją i doczołgał się do przeciwległej krawędzi lasu, gdzie powstał i ruszył wprost pod górę. Pragnął znaleźć się na szczycie i rozejrzeć się stamtąd, mając u stóp całą okolicę.

Las był tu gęsty, a grunt podnosił się wolno, gdyż zbocze było łagodne. Wreszcie wznoszenie się ustało. Był zapewne na wierzchołku wzgórza, lecz splątane gałęzie młodych drzew i zwarte poszycie nie zezwalały wzrokowi przedrzeć się dalej nim na kilka kroków. Postanowił więc wejść na drzewo. Widząc potężny wiąz, którego zwisające konary niemal sięgały ziemi, położył oszczep i miecz u jego stóp, a później dorzucił do nich łuk i kołczan, aby nie przeskadzały mu we wspinaniu się.

Wchodził szybko i po chwili nie widział już ziemi, odgradzony od niej szumiącym morzem liści w dole. Wspinał się dalej i wkrótce ujrzał rozległą pofalowaną równinę lasów ciągnących się ku północy, a na prawo drugą błękitną równinę zajmującą cały wschodni widnokrąg i rozlewającą się na południe, gdzie wrzynał się w nią długi półwysep łądu. Zwrócił oczy ku wschodowi na leżący w pobliżu sąsiedni szczyt najbliższego wzgórza. Kamienna budowla wydała mu się tak bliska, że wystarczyłoby niemal sięgnąć ręką, by jej dotknąć.

Lecz widok, który dostrzegł za nią, sprawił, że wspiał się jeszcze wyżej. Utrzymując się z trudem na wierzchołku drzewa, który kołysał się pod jego ciężarem, spojrział na szeroką, prostą, jasną drogę biegnącą ku wzgórzom. Niknęła ona zasłonięta zboczem i zapewne kończyła się u stóp kamiennych kolumn. Na drugim jej krańcu - zaledwie widoczne w oddaleniu - ujrzał długie szeregi szarych domów o spadzistych dachach zbiegające się kuliście ku okrągłej powierzchni, która była zapewne placem zebrania osady. Więcej nie dostrzegł, gdyż odległość była zbyt wielka, aby prócz zarysu dachów mógł dojrzeć pojedynczych ludzi, gdyby się tam znajdowali. Lecz osada ta była tak rozległa, że w myśli nazwał ją miastem. Ciągnęła się na dużej przestrzeni i sięgała niemal ku morzu, gdzie dostrzegał, jak mu się wydawało, kształt okrętu, maleńkiego z tej odległości jak mrówka. A więc było tu duże miasto i port. Gdyby Angelos płynął wczoraj dalej nie wchodząc do ujścia rzeki, wkrótce dotarłby do południowego krańca półwyspu, a posuwając się na zachód wzdłuż linii wybrzeża, musiałyby ujrzeć ową przystań i miasto, którego mieszkańcy nie zapuszczali się zapewne nad bagniste brzegi rzeki, od której dzielił ich niemal dzień drogi przez gęstą puszczy. Jeśli kraina owa była wyspą, musiała to być wielka wyspa, gdyż spogląda-

jąc na zachód i ku północy nie dostrzegał nigdzie owej niskiej błękitnej pustki świadczącej o obecności odległego morza. Przeciwnie, wydało mu się, że widzi w słońcu dalekie pasma wyższych wzgórz na zachodzie uciekających daleko w głąb.

Patrzył jeszcze przez chwilę, aby dokładnie zapamiętać ów widok i zmierzyć okiem odległość, a później począł zsuwać się w dół. Schodził szybko i znalazłszy się na przedostatnim konarze, skoczył z wysoka i odbiwszy od ziemi wyprostował szczęśliwy, że tak wiele ujrzał. Odwrócił się w stronę pnia, by podnieść pozostawiony pod nim oręż. Podszedł i rozejrzał się. Był pewien, że tu go pozostawił. Gdzież były miecz, łuk i oszczep? Szybko obszedł pień, lecz nic nie leżało w trawie. I wówczas nagły lęk chwycił go za serce.

Uniósł oczy.

Cicho, jak gdyby nie byli żywymi istotami, wysunęli się spoza krzaków i otoczyli go z wszystkich stron przypatrując mu się nieruchomymi oczyma. Włosy ich były ciemne jak włosy Kreteńczyków, a skóra jasna. Odziani byli wszyscy w krótkie, sięgające kolan proste, płócienne szaty, a w rękę trzymali długie siekiery bojowe o lśniących ostrzach z polerowanego brązu. Lecz najstraszliwsze były ich oblicza, pokryte na policzkach i na czole dwoma cienkimi pasmami czerwonej i błękitnej farby, nadającymi im wygląd dziki i surowy.

Stali nie poruszając się z siekierami na pół wzniesionymi i gotowymi do zadania ciosu. Białowłosy dostrzegł, że jeden z nich ma siekiere zatkniętą za skórzaną, otaczającą szatę pas, a w rękę trzyma jego oszczep.

Było ich kilkunastu i stali ciasnym kręgiem nie spuszczać z niego oka. Wiedział, że nie zdaży uciec. Nie przedarłby się pomiędzy nimi, cios siekiery zatrzymałby go na zawsze.

- Nie jestem waszym wrogiem... - rzekł głośno, unosząc otwarte dłonie na znak, że nie kryje nieprzyjaznych uczuć.

Nie odpowiedzieli i zbliżyli się o krok, zacieśniając pierścień. Białowłosy opuścił ręce. Wiedział, że za chwilę zginie, i pomyślał z rozpaczą, że załoga Angelosa nie dowie się o grożącym niebezpieczeństwie. Bowiem ludzie ci zapewne pochodzili z owej osady, a postać ich świadczyła o dzikości i nienawiści do obcych.

Czekał. Zbliżyli się jeszcze o krok w milczeniu.

I nagle wszyscy skoczyli ku niemu.

Zakrył twarz rękoma oczekując ciosu, który rozpląta mu głowę. Lecz uderzenie nie nadeszło.

Przewrócono go na ziemię i skrępowano mu ręce.

Później trzymające go dłonie zwolniły uścisk. Odstąpili. Poczł gwałtowne szarpnięcie sznura, które niemal wyrzuciło mu dłonie ze stawów i poderwało na nogi. Nikt nie uderzył go już i nikt nie przemówił.

Jeden z ludzi, najwyższy, o siwiejących włosach, wskazał trzymaną w ręce siekiere kierunek i otoczywszy jeńca ze wszystkich stron, poczęli szybko schodzić ze wzgórza. Po krótkim czasie znaleźli się na przełęczy i iść otwartym zboczem po wrzosowisku poczęli wspinać się ku kamiennej budowli.

Gdy znaleźli się przed nią, Białowłosy dostrzegł, że cała przestrzeń otoczona jest głębokim rowem, nad którym ruszyli obchodząc szczyt, aż doszli do miejsca, gdzie

kamienny okrąg łączył się z nadbiegającą od strony dalekiego miasta drogą. Stały tam dwa samotne wysokie głazy tworząc jak gdyby bramę. Dostrzegł, że nie przepięknie tu rowu, zapewne dlatego, by mieszkańcy miasta mogli swobodnie wchodzić do koliska.

Przed owymi wejściowymi głazami stała grupka wojowników odzianych podobnie jak ci, którzy go schwycili, prócz jednego, z którego ramion spływała długa, czerwona szata, sięgając ziemi. Różnił się on od innych, a stopy jego były obute prostymi skórzanymi sandałami.

Siwy człowiek, prowadzący Białowłosego, podszedł do niego i pochylił nisko dotykając ziemi ostrzem siekiery. Ów w czerwonej szacie spojrział nad jego głową na jeńca. Później przemówił.

Głos miał cichy i spokojny, lecz Białowłosa nic pojął ani jednego z wypowiedzianych przez niego słów, gdyż mowa jego nie przypominała żadnej z tych, które kiedykolwiek słyszał.

Siwiejący człowiek odpowiedział wskazując las i szczyt sąsiedniego wzgórza, zapewne wyjaśniając teraz, gdzie go schwytali.

A wzrok Białowłosego poszybował ku skrajowi lasu u stóp wzgórza. Perilawos z tej odległości zapewne nie mógł dostrzec ni jego, ni otaczających go wojowników. Lecz Harmostajos? Gdzie był? Musiał znajdować się w pobliżu, gdzieś tam, w lewo... Jeśli i jego nie schwytali...

Człowiek w czerwonej szacie skinął głową, a później zbliżył ku niemu i wyciągnawszy rękę dotknął, jak gdyby z podziwem, jego jasnych włosów... Zapewne nie widział jeszcze młodzieńca, na którego ramiona spadałyby fale białego niemal złota...

Później człowiek ów powiedział coś i wojownik niosący oręż pojmanego zbliżył się i podał mu miecz i łuk. Tamten przypatrywał im się uważnie przez długą chwilę, a później spojrzawszy na Białowłosego wypowiedział kilka słów, najwyraźniej zwracając się ku niemu.

- Nie pojmuje cię, panie... - odparł jeniec starając się, aby tamten zrozumiał. Mając skrępowane ręce potrząsnął przecząco głową.

Najwyraźniej człowiek w czerwonej szacie pojął ów ruch, gdyż zwrócił się znów ku siwiejącemu wojownikowi i wskazał dłonią drogę.

Białowłosa poczuł gwałtowne szarpnięcie. Otoczony strażą począł schodzić ku widniejącemu w oddali miastu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jakże więc się tu znalazł?

Czcigodny Assebal nigdy nie żeglował po morzu leżącym pośrodku świata, choć wiedział dobrze o jego istnieniu i znał imię miasta, z którego wywodził się jego ród: Gubal o wysokich murach. Lecz urodziwszy się w warownej osadzie portowej za słupami Wielkiej Bramy łączącej owo morze z oceanem, spędził cały swój dotychczasowy młody żywot żeglując początkowo z ojcem - a po jego śmierci jako właściciel okrętu - ku Wyspom Cynowym i na powrót. Okręt ich niósł tam broń, sukno i wino oraz ozdoby i paciorki, a powracał wioząc na pół wytopione bryły cyny, które później ładem lub okrętami kierowano na południe. A był to najcenniejszy z ładunków, gdyż bez cyny nie byłoby brązu, spiżowych mieczy, grotów, oszczepów, strzał i owych niezliczonych przedmiotów, które

świat nauczył się wykuwać. Jedyne okręty jego rodu i dwu innych zaprzyjaźnionych i panujących wspólnie w rodzinnym porcie przybijały do Cynowej Przystani na wielkiej północnej wyspie, gdyż miejsce, z którego brano kruszec, było jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic synów Aszery Pani Mórz, a nikt, kto nie żeglował tam, nie znał jej.

Któż zresztą, nie narodziwszy się w owej małej najdalej wysuniętej na zachód i północ przystani fenickiej, mógł ją poznać? By uczynić to, człowiek ów musiałby przepłynąć świat cały na swym okręcie, nie znając drogi ani tego, który by mu ją wskazał. Musiałby przebyć niezmierną drogę przez otwartą pustynię oceanu zachodniego, a później skierować się przez mgliste i niedostępne przez większą część roku burzliwe morze i cieśniny ku przystani Ludu Cynowego. Lud ów sprowadzał rudę z głębi swego chmurnego ładu i nienawidził obcych, czyniąc wyjątek jedynie dla kupców fenickich z owych trzech rodów. Mieli oni tu swe domy i składy na wybrzeżu, które stały puste podczas długich zimowych miesięcy, gdy olbrzymia fala i lodowate wichry odcinały Wyspę Cynową od świata. Lecz teraz nadszedł czas żeglugi i oto Assebal stał przed składem, gdzie ludzie o twarzach pokrytych wstęgami farby składali na stosy płasko skute młotami bryły cyny.

- Jutro nie załadujemy okrętu, gdyż lud ów cały uda się o świcie na wzgórze, by święcić wschód najdłuższego dnia! Lecz gdy dzień święta minie, pragnąłbym następnego ranka podnieść żagiel. Jeśli nie uczynimy tego, wiatr może zmienić się wkrótce, jak zwykle o tej porze roku, i podróż nasza mogłaby się nadmiernie przeciągnąć. A wówczas, mój wierny Sekkaharze, niechaj Baal ulituje się nad nami! Znaczyłoby to, że powrócimy tu zaledwie raz jeszcze przed nastaniem zimy, co ciężkie przyniosłoby nam straty!

- Wiem, panie mój! Lecz niebo rozjaśniło się dziś i sądzę, że ruszymy z pomyślnym wiatrem, a będzie on towarzyszył nam do samego domu twojego!

- Oby słowa te usłyszała Aszera! Bo jeśli...

Lecz nie dokończył. Piaszczystym traktem od strony miasta nadbiegł wysoki, potrzęsający toporem wojownik i zatrzymawszy się przed nim, zawołał:

- Czy jesteś obcym kupcem, Assebalem?

- Rzekłeś! - Assebal skinął głową. Rozumiał dobre mowę owego ludu, przezywając tu co roku od dzieciństwa. - Jestem nim! Czegóż chcesz ode mnie?

- Ja nie chcę od ciebie niczego, lecz pan mój wzywa cię, byś przybył do niego... - Zawahał się, jak gdyby szukając słów, które nie byłyby zbyt uprzejme wobec cudzoziemca. - Pragnie on mówić o pewnym schwytanym człowieku, więc spiesz się nie zwlekając.

Assebal zmarszczył brwi.

- O schwytanym człowieku?... - powtórzył. I dodał: - Biegnij przede mną i donieś twemu wspomniałemu królowi, że nadejdę niebawem!

- Uczynię tak! Lecz nie zwlekaj, aby pan mój nie zniecierpliwiał się i gniew jego nie starł cię z czoła ziemi! Były to zwykłe słowa, jakimi wysłannicy króla zwracali się do kupców dla okazania im, że są jedynie nędznymi cudzoziemcami. Lecz Assebal nie dbał o nie. Odkąd sięgała pamięć ludzka, nigdy żadnego z kupców fenickich

nie spotkało na tej ziemi nieszczęście i nie uderzył w nich gniew królewski, bowiem gdyby nie oni, lud ów nie umiejący budować wielkich i sprawnych okrętów, mogących żeglować po wzburzonym morzu, a zagubiony na dalekiej północnej wyspie okolonej niespokojnymi wodami, na których deszcze i mgły nawet latem były rzeczą powszednią, zdany byłby na swe dawne siekiery i młoty, a władcy jego powróciliby do dawnego barbarzyństwa, gdyż choć mieli cynę, bez której nikt dotąd nie wytopił złocistego brązu, jednak nie wiedzieli, jak w piecach i sztuką kowalską doprowadzić do właściwego zmieszania rud i wykucia z nich lśniących ostrzy, narzędzi i ozdób. Sama cyna była zbyt krucha i słaba, by można z niej uformować coś, prócz słabych naczyń i łamliwych kolczyków.

Tak więc" od stuleci już niemal przystań owa służyła kupcom fenickim, a że nie pragnęli oni zdobywać cyny mieczem, lecz płacili za nią godziwie, zezwolono im prowadzić handel. Żaden z nich jednak nigdy nie wyruszył w głąb tej krainy, gdyż nie wolno im było oddalać się od wybrzeża i miasta, aby nie widzieli zbyt wiele. Wydawszy rozkaz wiernemu Sekkaharowi, by zważone bryły już dziś załadować na dno okrętu, co oszczędzi załodze pracy w dniu odpłynięcia, Assebal ruszył szybkim, lecz nie nadmiernie pospiesznym krokiem drogą prowadzącą z przystani ku miastu.

Po obu stronach ciągnęły się jednakże uplecione z łoży oblepionej gliną domy o wysokich spadzistych dachach, aby deszcz, który padał tu często i długo, mógł prędzej spłynąć na ziemię. Domy owe rozrzucone były nierówno i otoczone usypiskami śmietnisk, na których walały się potłuczone gliniane garnki, nieczystości i resztki pożywienia. Włóczyły się wśród nich psy, rozgrzebując usypiska i obgryzając kości.

Lud ów siał mało ziarna i jadł go także niewiele. Za miastem tuż przed nieprzenikniętą zieloną ścianą puszczy było królewskie pole uprawne, gdzie rosło zboże, podobne nieco do żyta, lecz bardziej przypominające wysoką trawę o małych, ostro zakończonych kłosach. Wczesną jesienią ścinano je kościanymi sierpami i powiązane w snopki, pożółkłe już, bito pękami różeg na ubitych twardo podłogach chat, skąd dzieci zbierały ziarno do glinianych wysokich naczyń, gdzie przechowywano je, by służyło w zimie jako pożywienie.

Lud ów żył głównie z myślistwa i hodowli zwierząt. Na rozległych łąkach ciągnących się za domami pasły się liczne stada małych czerwonych krów i półdzikich świń, szybkoogich, a pilnowanych przez pasterzy o licach pomalowanych na sposób barbarzyński.

Assebal siedł przyglądając się półnagim dzieciom i kobietom odzianym w długie szaty, utkane z jednego kawałka szarego grubego płótna i spięte na ramieniu kościana lub brązową spinką. Kobiety wydawały mu się rosłe

13 - r/amc okn;ly t. IV
i piękne, piękniejsze niżli mężczyźni, którym ów obyczaj malowania lica nadawał wygląd dziki i złowrogi. Śmiały się także chętnie i głośno. Idąc Assebal czuł na sobie ich ciekawe spojrzenia. Nie były lękliwe. Szedł długo, gdyż miasto, będące wielką wsią bez kamiennych budowli i świątyń, rozciągało się szeroko i liczyło około dziesięciu tysięcy mieszkańców, jak sądził.

Było ono stolicą wielkiego państwa lub może siedzibą króla, naczelnika innych, pomniejszych królów, panujących nad ludami, które przybywały tu tłumnie, wraz z kobietami i dziećmi, w ów najdłuższy dzień roku, aby pozdrowić wschodzące słońce, które było ich jedynym bogiem. Choć ni on, ni żaden człowiek z załogi fenickich okrętów nie był nigdy w dniu święta na wzgórzu z dala od miasta, gdyż cudzoziemcom dostęp był tam wzbroniony pod karą gardła, jednak ojcu jego udało się pewnego dnia spić winem jednego z odzianych w czerwone szaty starszych tego ludu, będących także kapłanami, składającymi w ów dzień ofiary wraz z królem i przybyłymi naczelnikami pomniejszych ludów.

Człek ów, gdy wino pomieszało mu język, opowiedział ojcu Assebala o tym, jak o wschodzie słońca na kamieniu ofiarnym w świętym kręgu głazów, które w niepamiętnych czasach ustawili ich przodkowie, król otwiera pierś człowieka przywiązanego do ołtarza, wyjmując z niej ciepłe jeszcze serce i unosi w górę w chwili, gdy pierwszy promień słoneczny nadbiegający nisko nad ziemią oświetli spoczywający kamień. Jedynie w owym dniu blask wschodzącego słońca mógł dotrzeć tam w owej chwili pomiędzy kamiennymi kolumnami. Następną ofiarę zabijał naczelnik, idący tuż za królem w chwale, a za nim inni w kolejności dostojności swego. Każdy, poczynając od króla, zjadał owe dymiące jeszcze, żywe niemal serca, przed obliczem ludu, mażąc swe oblicze krwią ofiary, aby zapewnić całemu ludowi szczęście i przychylność promiennego boga na nadchodzący rok. Wówczas zgromadzone na wzgórzu i wokół niego rzesze wznosiły dziękczynny okrzyk i zwracały wyciągnięte ramiona ku słońcu, radując się i błagając, aby dobra wróżba spełniła się i rok ten był rokiem wesela.

Później owych zabitych nieszczęśników grzebano we wspólnych kamiennych grobach na wzgórzu. A byli to zarówno mężczyźni jak niewiasty i dzieci, bądź wybrani losem, bądź też rybacy-rozbitkowie, których zagnała tu burza z wielkiego, leżącego na południu ładu, oddzielonego od Wyspy Cynowej cieśniną, która w najwęższym swym miejscu pozwalała widzieć przeciwny brzeg. Lecz owo najwęższe miejsce leżało o dwa dni żeglugi stąd. Assebal zawsze tam dopływał wędrując morzem z południa. Gdy wiatr był pomyślny, zmierzał wprost ku widniejącym na północnym widnokręgu białym wyniosłym skałom, aby trzymając się odtąd wybrzeży osiągnąć cel. W podobny sposób powracał. Lecz gdy wiatr był przeciwny, często wiele dni musiał ukrywać się w ustronnych zatokach, gdyż cieśnina owa była burzliwa, a gdy zadał potężny wiatr, fale urastały wielkie jak pałace książąt, o jakich mówił Assebalowi dziad, który przemierzył Morze Pośrodku Świata i dotarł do Gubal, skąd ród ich się wywodził.

Zbliżał się teraz ku szerokiemu placowi pośrodku miasta, gdzie był dom królewski. Pierwsi przybysze z głębi krainy, którzy mieli wziąć udział w jutrzejszym święcie, przybyli już, gdyż na wąskich, piaszczystych ulicach panował zgielek i wrzawa. Pomiedzy domami rozkładały się całe rodziny, koczując nie opodal śmietnisk i pałac ogniska, przy których kobiety piekły kawały mięsa wbite na zastrzone żerdzie.

Gdy szedł, tuż przed nim rozległ się wysoki kwik

zarzynanego prosiaka, trzymanego przez dwóch męż-
czyzn, podczas gdy trzeci podcinał mu gardło kamiennym
nużem nie zważając na krew bluzgającą mu na szatę.
Wielu także rozłożyło się na placu przed domem
królewskim, choć uzbrojeni wojownicy przepędzali
drzewcami siekier tych wszystkich, którzy zbliżyli się
zanadto.

Assebal wymijał siedzących i stojących grupkami ludzi,
starając się nie otrzeć o żadnego z nich, gdyż gardził nimi
i wzbudzali w nim obrzydzenie. Mimo to, gdy stanął przed
domem królewskim, który był większy niż inne, choć jak
i one nie miał okien, a miał drzwi zawieszane nad
otworem wejściowym i sięgające ziemi zszyte z sobą skóry
zwierzęce, przybrał pogodny wyraz oblicza i z uśmiechem
zwrócił się do stojącego przed domem starego człowieka
w czerwonej szacie, będącej oznaką jego dostojności:

• - Powiedz mi, o czcigodny, czy wielki król twój jest
w swym domu? Gdyż goniec jego przyniósł mi wieść, że
pragnie mówić ze mną!

- Jest i oczekuje cię, kupcze!

Człowiek w czerwonej szacie odstąpił nieznacznie,
odsłaniając wejście, a dwaj stojący po obu jego stronach,
niedbale oparci o ścianę domu rośli wojownicy obrzucili
przybyłego baczny spojrzeniem, lecz nie drgnęli, gdy
uniósł dłonią zasłonę ze skór. Uzbrojeni byli obaj w dłu-
gie włócznie o lśniących ostrzach z brązu. Assebal, który
umiał wiele dostrzec jednym spojrzeniem, poznał po
owych ostrzach swój towar przywieziony tu przed dwoma
laty.

Wnętrze królewskiego domu było mroczne, a rozjaś-
niał je jedynie, blask padający z wyciętego w dachu
otworu, znajdującego się ponad kamiennym paleni-
skiem pośrodku rozległej izby, której ściany zawieszane
były futrami zwierząt, stanowiącymi też niskie łóżka w ro-
gu. Na kołkach wisiał oręż królewski. W przeciwległej
ścianie inna zasłona ze skór odgradzała to pomieszczenie
od reszty wielkiego domostwa. Assebal nie był tam nigdy.
lecz wiedział, że mieszka tam żona królewska wraz z dzie-
wczętami, które władca sobie upodobał. Mieszkały tam
także dzieci jej i owych dziewcząt. Gdy żona władcy
umierała, najstarsza z owych dziewcząt zostawała jego
małżonką, a gdy umarł król, następca jego mógł je
wszystkie wygnąć lub zatrzymać wedle woli, bowiem syn
nie dziedziczył tu królestwa po ojcu, lecz lud wybierał
władcę na wielkim zgromadzeniu, by później służyć go
ślepo aż do dnia jego śmierci.

Król był sam. Siedział na posłaniu ze skór i pił mleko
z glinianego dzbana. Na widok Assebala odstawił dzban
na podłogę i skinął nań ręką, by przybliżył się.

Kupiec podszedł i skłoniwszy głowę czekał.

Władca Cynowej Wyspy nie był człowiekiem starym
i gdyby nie owe pasy farby pokrywające jego oblicze,
Assebal nazwałby go, być może, pięknym barbarzyńcą.

- Siądź - rzekł król i nie czekając dodał: - Bowiem
chcę cię zapytać, czy nie umknął nikt z twej załogi?

- Z mej załogi, władco? - Kupiec uniósł brwi ze
szczerym zdumieniem.

- Tak rzekłem. Bowiem z dala od miasta ludzie strze-
gący świętego kręgu, idąc przez las ujrzeli pod wysokim
drzewem broń, a gdy skryli się, człowiek ów zszedł
z drzewa, gdzie wdrapał się zapewne po to, by spojrzeć

z dala na miasto. Znajdował się wówczas na szczycie wzgórza. Schwytali go i przywieźli tu, a zdaje się on nie rozumie naszej mowy. Czy nie ma w załodze twojej młodzieńca, którego włosy byłyby niemal tak białe jak włosy starców?

- Młodzieńca o białych włosach? Nie, królu. Choć kilku niewolników przykutych do wiosł ma włosy jaśniejsze niżli twoje lub moje, a to dlatego, że schwytano ich w głębi wielkiego ładu na południu i sprzedano mi. Krainy te zamieszkuje ludy jasnowłose. Lecz żaden z mych niewolników nie ma włosów niemal białych. A gdyby nawet miał, wiem, że żaden z nich nie uciekł, gdyż doniesiono by mi o tym bez zwłoki i zawiadomiłbym ciebie, prosząc pokornie, aby oddano mi go po schwytaniu.

- Tak sądziłem... - rzekł król z namysłem. - Lecz^ pragnąłem zapytać cię wprzód, by się upewnić. Ucieszyłyby mnie wieść, że to twój człowiek...

- Dlaczego, królu? - zapytał szczerze, nie mogąc pojąć, czemu ucieczka jego młodego, zdrowego niewolnika miałyby ucieszyć władcę Cynowej Wyspy.

Król raz jeszcze wskazał na miejsce obok siebie. Assebal siadł na brzegu posłania, starając się nie dać znać po sobie, że ostra woń źle wyprawionych skór jest mu niemiła.

- Dzień kończy się... - rzekł król, jak gdyby bez związku z tym, co rzekł uprzednio. - Jeśli człowiek ów nie należał do twej załogi, musiał przybyć morzem. A nikt, kto nie jest rozbitkiem, nie przybywa morzem sam, lecz wraz z innymi. Schwytano go, gdy przyglądał się z dala memu miastu, jak gdyby wysłano go na zwiady. Pragnąłbym wiedzieć, kto go wysłał?

Zamilkł na chwilę. Assebal nie przerywał milczenia żadnym pytaniem. Nadal nie pojmował, czemu oblicze króla jest zasępione, gdyż jeden człowiek, a nawet jeden uzbrojony okręt, który przypadkiem przybił do brzegów tej ogromnej wyspy, nie mógł zagrozić tak licznemu i dzielnemu ludowi.

Król podjął:

- Po dwakroć... choć nie działało się to ni za mojej, ni za twojej pamięci, ni za pamięci naszych ojców, nieprzyjaciel uderzył na nas z morza... Przybyli na licznych, szybkich okrętach, lecz odparliśmy ich. Wielu zginęło, a inni uciekli. Byli to ludzie jasnowłosi... A nie uderzyli na miasto wprost z morza, lecz przybili do brzegu z dala od miasta i podstępnie próbowali zbliżyć się tu bezdrożami leśnymi, by uderzyć na nas spoczywających we śnie... Lecz ojcowie nasi, podobnie jak my, czujnie strzegli naszych brzegów. I stało się po dwakroć tak, że nie oni uderzyli na nas, lecz my na nich, a że było nas więcej, ginęli... Oto dlaczego widok obcego wojownika, podkradającego się do miasta, myśleć mi każe o obronie. Wysłałem więc wielu zbrojnych ludzi, aby przetrzasnęli las w stronie, w której pojawił się ów człowiek. Lecz ludzie ci muszą powrócić przed zmrokiem... A zapewne nie zdołają przetrzasnąć przed zachodem całej puszczy, aż po rzekę na północ i dalej...

- Czemu więc, wielki królu, nie każesz im stanąć obozem przed miastem, wystawiwszy naokół czujne siraze, które uprzedzą cię o zbliżaniu się wroga, gdyby miał nadejść?

Władca uniósł głowę i przez długą chwilę siedział

spoglądając na niego w milczeniu. Wreszcie, jak gdyby utwierdziwszy się w myśli, że może rzec prawdę, powiedział:

- Bowiem bóg tego nie pragnie.

- Bóg?

- Odkąd świat istnieje, ojcowie nasi w nocy, która poprzedza Święto Poranka, i w dniu, który następuje po niej, nie biorą oręża w dłoń, a także żaden człowiek nie może uderzyć na drugiego, choćby nie uzbrojoną dłonią i choćby był ojcem, który pragnie skarcić dziecko. Noc przed Porankiem i dzień cały po nim, aż do zachodu słońca, wolne są od wojny, zabójstwa i przemocy. Dnia tego umrzeć muszą jedynie ofiary złożone bogu, aby go uweselić!

- Lecz słońce zajdzie niebawem! - Assebal nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia. - Cóż jeśli ludzie twoi doniosą ci, że wróg wysadził wojsko z okrętów i zbliża się ku twemu miastu?

- Jeśli bóg zechce, abyśmy zginęli, wszędzie wcześniej i spali ich swoimi promieniami. A gdy słońce dziś zajdzie, cały lud mój odrzuci oręż, a ja wraz z całym moim ludem. Albowiem nadchodzi noc i dzień po niej, gdy najsłabszy będzie równy najsilniejszemu. Tak chce prawo. Gdybyśmy uczynili inaczej, bóg starłby nas z czoła ziemi. Assebal pomyślał z nagłym niepokojem o sobie i czekającym w przystani okręcie. Słyszał o wojowniczych ludach na wybrzeżach położonych wiele dni drogi na wschód od Wyspy Cynowej. One to zapewne uderzyły ongi po dwakroć na tę krainę. Jeśli tak było, dzielnymi musieli być żeglarzami i trudno byłoby mu ratować się ucieczką morzem przed nimi, gdy napadną na miasto.

- Czy pragniesz mi ukazać owego człowieka, królu?

Nie zabili go twoi wojownicy, lecz przywiedli tu, jeśli dobrze pojąłem twe słowa?

- Tak uczynili. Albowiem nie zabijamy obcych zabłąkanych na nasze brzegi, lecz składamy ich w ofierze bogu. On także jutro o świcie... - Urwał. - Lecz czemu pytasz mnie o to, kupcze?

- Pytałem cię jedynie, królu, czy pragniesz mi go ukazać? Znam mowę wielu ludów i być może pojałbym jego słowa i dowiedziałbym się, co czyni w twoim królestwie.

- To prawda... - Król uniósł głowę, lecz nie wezwał

stojących przed domem ludzi. Wstał i podszedł do ściany, gdzie wisiał oręż. Zdjął z kółka długi łuk, miecz wraz z pasem i uniósł oparty o ścianę lekki oszczep. - Oto jego broń... - rzekł. - Wejź na nią, jeśli pragniesz. Być może powie ci więcej niż mnie.

Assebal uniósł się z posłania i trzymając w rękach łuk podszedł do miejsca, gdzie z dachu padało najwięcej światła. Dzień zbliżał się ku końcowi, lecz był bezchmurny, a wieczór w tych okolicach trwał długo o tej porze roku.

W blasku spływającym przez otwór w dachu, nad którym stało czerwieniejące niebo, młody kupiec fenicki długo wpatrywał się w srebrną nakładkę pośrodku wygiętego misternie kabłąka, opasująca go w miejscu, gdzie łuczniczka zaciska dłoń. Był to dar boskiego Widwojosa i wyobrażono na nim Wielką Matkę trzymającą w dłoniach węża, a także kapłana oddającego jej cześć. Wize-

runek, choć mały i wykonany na cienkiej srebrnej blaszce, był tak wyraźny, że Assebal cmoknął z podziwem.

- Rzecz to zdumiewająca... - rzekł. - Albowiem tak pięknej roboty nie zna ta część świata, a łuk musiał przybyć z tak daleka, że wierzyć nie śmiem własnym oczom!

- Uwierz im... - rzekł król bez uśmiechu i wyciągnawszy miecz z pochwy podał mu go. Spiż zalsnił ciemnym, złocistym połyskiem. Fenicjanin ujął brzeszczot miecza i począł przyglądać się rękojeści, która, choć nosiła ślady ręki ludzkiej i użycia, gdyż była w kilku miejscach płytko pokryta rysami, wykonana była z czarnego drzewa o wielkiej twardości. Assebal widział wyroby z owego drzewa i miał w domu wykonaną z niego szkatułkę, którą pradziad jego przywiózł z Gubal.

- Miecz ten pochodzi z Morza Pośrodku Świata, z którego i ja pochodzę, choć ród mój zamieszkuje w połowie drogi pomiędzy nim a twoją wyspą, królu!

- Jakże więc znalazł się tu, jeśli nie przywiozłeś go ty ani dwaj inni kupcy, z którymi wymieniamy nasze dobra?

- Tego nie wiem... Lecz wizerunek bogini z węzami w dłoniach każe mi myśleć, że łuk ów pochodzi z wysp} pośrodku owego morza, która, jak słyszałem, włada mocą swych licznych i potężnych okrętów nad wieloma innymi wyspami i wybrzeżami... Tam bogini owa jest czczona, a zwą ją Matką. Lecz więcej nie umiem ci rzec, gdyż nie byłem tam, a nie mam tu z sobą nikogo, kto mógłby więcej rzec o tym, choć być może Sekkahar, mój stary zarządca składów, mógłby rzecz bliżej określić, gdyż odbył wiele podróży.

- A czy potężne i liczne okręty z owej wyspy mogłyby przypłynąć tu, by uderzyć na nas, pragnąc podbić tę krainę, jak to uczyniły z innymi?

- Nie mogłyby tego uczynić, gdyż dzieli je od twego królestwa świat cały! Jakżeby choć jeden z nich mógł przebyć tak wiele mórz nie znając kierunku i nie zawijając do miast i przystani? I jakże mógłby żeglować wymijając niepostrzeżenie nasze osady, a my nie wiedzielibyśmy o tym, będąc żeglarzami i znając te morza od pokoleń? Gdyż jedynie mój lud zna drogę do twej krainy, a miastu nasze i przystanie sięgają na wiele dni drogi morzem poza obszar, gdzie dopływają inni. Nigdy jeszcze obcy okręt nie przemknął się ku północy z Morza Pośrodku Świata! Jakże zresztą mogłyby dopłynąć tu wojska tak liczne, by uderzyć na was?! Świat cały wiedziałby o takiej wyprawie na długo przedtem, nim wyruszyłaby z rodzinnej przystani. I gdyby nawet nie udało się zatopić owej floty, doniesiono by niezwłocznie nam, którzy mieszkamy na krańcach ziemi w miastach nie znanych naszym wrogom. Śledzilibyśmy każdy ich ruch i ostrzegalibyśmy przed nimi wszystkie ludy, aby nie przechwycili handlu naszego i nie napadli na was łupiąc i mordując, lecz musieli płacić nam za towary, które stąd sprowadzamy...

Król wyciągnął dłoń i dotknął nią łuku.

- Rzekłeś, że oręż ten należy do owego dalekiego królestwa, które włada na licznych wyspach. Jakże więc się tu znalazł?

- Zezwól mi, królu, abym ujrzał owego jeńca i przemówił do niego. Znam mowę niejednego plemienia. Być może pojmie on moje słowa i rzeknie, że zagnała go tu burza czy też może okręt jego roztrzaskał się we mgle,

która tak długo leżała nad morzem. Zapewne zabłąkał się tu ze wschodu i nie wie nawet o istnieniu owego dalekiego morskiego królestwa, o którym ci rzekłem. A jeśli chodzi o miecz ten, łuk i oszczep, wiem, że oręż daleką może odbyć drogę, bowiem handel przenosi dzieła rąk człowieka z miejsca na miejsce, a często zmieniają one także właścicieli jako łup wojenny. Lecz po cóż mamy zadawać sobie pytania, na które nie znajdujemy odpowiedzi, skoro człowiek ów być może odpowie nam na nie?

Król skinął głową. W izbie zapadł już niemal zmrok, lecz słońce nie zaszło jeszcze, gdyż niebo nad otworem w dachu nadal było jasne.

- Leży związany w izbie, której strzegą dwaj wojownicy... - rzekł, nadal zasępiony. - Wkrótce nadejdzie noc i jedyna rzecz, którą będą mogli wówczas dla ciebie uczynić, to wskazać ci go. Gdyż żaden z nas nie tknie go d(> chwili, gdy łagodnie powiodą go ku ołtarzowi na wzgórzu. A tam ja sam złożę go w ofierze, gdy dzień rozbłyśnie! Lecz jeśli pragniesz tego, niechaj go przywiódą. Być może dowiesz się od niego prawdy, która ulży sercu memu, pełnemu niepokoju.

Podszedł do zasłony, uchylił ją i rzekł coś do stojących na zewnątrz ludzi. Później zawrócił.

- Nie lękam się, królu, że człowiek ten przybył wraz z wielu innymi wojownikami z owej dalekiej krainy... - rzekł po namyśle Assebal. - Lecz niechaj bóg twój strzeże was, by ludy mieszkające bliżej nie zwiedziały się, że każdego roku w krainie twej następuje noc, gdy nikt z twych wojowników nie ujmie oręża. Bowiem może nadejść chwila, gdy nieliczni, lecz dzielni, uderzą na was i wielką rzeź wśród was sprawią.

- Skoro nie uczynili tego od dni niepamiętnych, czemu mieliby to uczynić dziś? Prócz was nie gościmy obcych na tej ziemi. A i z was nikt nie zna owego dnia zawczasu. Albowiem nie wypada on zawsze jednako. - Władca Cynowej Wyspy uśmiechnął się lekko. - Nie wie o tym także i mój lud, lecz jedynie ja i starzy kapłani, którzy ślą wieść po całej krainie wzywając plemiona z wszystkich krańców oblanego morzem świata pod mym władaniem. aby przybyły w porze oznaczonej. Jakże więc mogliby wiedzieć o tym obcy?

Zasłona uniosła się i dwaj wojownicy wprowadzili jeńca, który nadal miał ręce ciasno spętane na plecach, a także i obie nogi związane sznurem w kostkach, tak aby mógł postępować jedynie małymi krokami i z wolna. Zatrzymali się wszyscy trzej przy drzwiach. Król wskazał jednemu z wojowników palenisko, na którym tlił się nieustannie mały ogień. Ów podszedł i dorzucił tam kilka grubych, suchych, ociosanych siekierą gałęzi. Zaczęły one trzeszczeć i w izbie zrobiło się jaśniej.

Assebal, który zaledwie dostrzegał więźnia w półmroku, zbliżył się do niego i zajrzał mu w oblicze.

Lecz kupca także oświecił rosnący blask ogniska i wydało mu się, że spojrzawszy na niego młody jeniec drgnął. A Białowłosy spoglądał ze zamienieni na jego purpurową, sięgającą kostek spódnice, twarde sandały, a nade wszystko na falistą, pięknie utrefioną brodę, pomalowaną ciemną czerwoną farbą. Nie wierząc własnym oczom pojął, że człowiek stojący naprzeciw niego jest Fenicjaninem znacznej godności. Lecz cóż mógł czynić fenicki kupiec na owej odległej wyspie, leżącej pośród mgieł na

krańcu świata? I nagle pomyślał, że być może znajdują się bliżej domu, niżli przypuszczali... Lecz czyż było możliwe, aby płynęli niemal przez rok na północ, aby później w ciągu niewielu dni powrócić?

Człowiek ów otworzył usta i przemówił do niego.

A choć wiele czasu minęło od chwili, gdy stary niewolnik w Gubal uczył go mowy Fenicjan, Białowłosy pojał, co tamten rzekł.

- Skąd przybyłeś tu i czemu nosisz oręż kreteński? - zapytał Fenicjanin nie wierząc, że otrzyma odpowiedź i szukając w myśli słów plemion zamieszkujących wybrzeża wielkiego ładu.

Z kolei na jego obliczu odmalowało się największe zdumienie, gdy Białowłosy odparł powoli i kalecząc wyrazy, lecz zrozumiałe:

- Łuk tenj miecz otrzymałem w darze, gdy uratowałem wnuka królewskiego z fal morza...

- Czy pojałeś jego słowa?! - zapytał król chwytając Assebala za ramię. - Jeśli tak, pytaj go, skąd przybył! Lecz kupiec zaniemówił na długą chwilę i stał wpatrując się z przerażeniem niemal w smukłą postać młodzieńca, jak gdyby ów był duchem przybyłym z Krainy Umarłych.

- Skąd jesteś? - zapytał wreszcie zduszonym głosem.

- Jestem z Troi, panie.

- Troi?... - Imię owego miasta niczego nie rzekło Assebalowi. - Czy przybywasz stamtąd?

- Tak, panie.

- Gdzie leży owa Troja?

- Nad cieśninami, które prowadzą ku drugiemu morzu... - Białowłosy z trudem szukał słów. - Czyżbyś nie słyszał o niej?

Assebal nie odpowiadając zadał szybko następne pytania:

- Czemu jesteś sam? Gdzie twój okręt? Czemu inni nie byli z tobą, gdy cię schwytano? Czy rozbiliście się na skałach we mgłę?

Białowłosy otworzył usta i zamknął je ponownie. Po chwili wahania powiedział:

- Tego ci rzec nie mogę.

- Czemu? Czy pragniesz, abym przebił cię oszczepem? Wiedz, że człowiek, który stoi u mego boku, jest władcą tej krainy i karze wydrzeć ci oczy i serce, jeśli nie poczujesz mówić!

Zwrócił się ku królowi, który wodził oczyma od jednego do drugiego z nich marszcząc czoło, jak gdyby pragnął pojać, co mówią w nieznannej mowie.

Lecz Assebal nagle zapytał cicho i bez gniewu:

- Jak daleko jest od twojej Troi do Gubal o wysokich wieżach?

- Niewiele dni żeglugi przy sprzyjającym wietrze... - odparł szczerze Białowłosy, któremu po roku podróży na ławie Angelosa odległości na Morzu Pośrodku Świata wydały się niewielkie. - Byłem w Gubal i wiem to.

- Byłeś w Gubal?!... Niewiele dni? - Assebal znów spojrział ze zdumieniem, starając się wyczytać kłamstwo w oczach młodzieńca. Lecz najwyraźniej nie znalazł go w nich, gdyż bezradnie niemal zwrócił się do króla: -

Mówi on rzeczy przedziwne i choć pojmuje słowa jego, nie pojmuje, skąd wziął się tu, gdyż nie chce mi tego rzec!

- Spytaj go, czemu nie chce! Zapewne kryć się w tym musi zdrada!

- Czemu nie chcesz rzec, gdzie jest twój okręt i ci, którzy przybyli z tobą?

Białowłosy nie odpowiedział. Patrzył spokojnie w oblicze stojącego przed nim człowieka.

- Mów! - krzyknął Assebal i sięgnawszy pod szatę, wyciągnął długi, cienki sztylet o złocistej rękojeści. - Mów albo przebiję cię tym ostrzem i nigdy już nie przemówisz!

Białowłosy nie poruszył się. W tej samej chwili na placu rozległ się długi, zawodzący okrzyk i wnet podjęły go niezliczone głosy.

- Słońce zaszło! - rzekł król. - Nie wolno ci przelać krwi jego pod dachem moim!

Położył łagodnie dłoń na ramieniu Assebala, który z wolna ukrył sztylet w fałdach szaty. Dostrzegł, że dwaj stojący za więźniem wojownicy wbili ostrza swych oszczepów w ubitą twardo glinianą podłogę izby i cofnęli się o krok.

Assebal próbował uśmiechnąć się, lecz przez chwilę stał ze zmarszczonymi brwiami, targając brodę palcami i kręcąc głową.

- Odejdź w pokoju... - rzekł król - i niechaj stanie się to, co się ma stać, lub niechaj nie stanie się nic, gdyż będzie, jak zechce bóg, a młodzieniec ów niechaj oddali się do izby, z której go przywiedziono, aby przed świtem mógł odejść wraz z nami na wzgórze i być złożony w ofierze...

- Wielki władco... - rzekł nagle kupiec, przestawszy szarpać brodę i prostując się. - Czy właśnie on musi być złożony w ofierze?

- Będzie to słuszne, gdyż jest obcy, a gdyby jego to nie spotkało, musiałyby oddać swe życie na ołtarzu jeden z naszych młodzieńców, naznaczony losem.

- Zapewne, lecz gdyby miał twój wielki świetlisty bóg otrzymać w ofierze innego obcego, czyż rozgniewałby się na ciebie o to?

- Czemuż miałyby okazać gniew, skoro ofiara zostałaby złożona? Lecz nie mamy innego obcego, który mógłby leć na ołtarzu miał twój wielki bóg. A gdybyśmy nawet pojмали drugiego, zginęliby obaj, gdyż tak chce prawo... aby zostali złożeni w ofierze wszyscy.

- A gdybym ci dał za niego innego człowieka? Któregoś z mych niewolników przykutych do wiosła?... -

I widząc wahanie króla, dodał szybko: - A wraz z nim pięć siekier z brązu i lśniące naramiennice dla twej umiłowanej małżonki?... A także sztukę purpurowego płótna na cztery lub pięć szat, która wczoraj wydała się miła oczom twoim?

Król przygryzł dolną wargę. Oczy jego nie schodziły z oblicza mówiącego.

- Gdybym przyjął owe dary od ciebie, kupcze, dając ci w zamian tego młodzieńca, czy rzekniesz mi, czemu pragniesz tak wiele zapłacić za niego, choć nigdy dotąd go nie widziałeś? Utracisz przy tym także zdrowego niewolnika, a nie zdaje się martwić cię to?

- Powiem ci prawdę, wielki władco, gdyż brzydzę się kłamstwem, a będąc w krainie twojej winienem postępować z tobą szczerze i uczciwie, jak czynił to ojciec mój i jego ojcowie z tymi, którzy byli królami przed tobą. Jest

dla ludu mego sprawą niezmierniej wagi, aby nikt inny nie odkrył drogi na północ, przebywszy ją okrętem tam i na powrót. Rzecz ta wydaje się niewiarygodna, lecz zważyłem w me rozeznanie spraw i rozum, słysząc go mówiącego. Jeśli wydarzyło się tak nieszczęśliwie, że okręt należący do innego ludu dotarł tu, sprawić należy, by nigdy nie mógł powrócić. Nie jestem ni księciem, ni arcykapłanem stojącym jak syn umiłowany przed obliczem naszych wielkich bogów, lecz jedynie kupcem wiodącym żywot na skraju świata, gdzie szeroko rozsiany na jego wyspach i wybrzeżach przebywa mój mądry i pracowity lud... Wielka część naszych bogactw pochodzi stąd, że szlaki handlowe i miejsca, skąd towary nasze przybywają, otoczone są tajemnicą pilnie strzeżoną przed innymi. Otóż młodzieniec ów nosi oręż wykuty w królestwie będącym największą przeszkodą dla handlu naszego na wszystkich morzach i we wszelkiej krainie pod słońcem. A choć nie prowadzi ono z nami otwartej wojny, gdyż książęta mego ludu płacą królowi jego daninę, jednak zazdrosny jest on

13 - Czarne okręty t. IV

i groźny, a mając wiele, pragnie mieć jeszcze więcej! Muszę więc, choćbym miał młodzieńca owego obedrzeć ze skóry i kapać w ukropie, wyrwać z ust jego prawdę, i Albowiem sprawa jego jest tajemnicza i pojąć nie mogę, skąd wziął się tutaj, jeśli nie udało mu się przemknąć na szybkim okręcie pośród mórz otaczających środek świata? A jeśli, co jest niemal nie do uwierzenia, okręt ów należy do królestwa Krety, uczynić muszę wszystko, aby nigdy nie powrócił, gdyż tego żądają duchy mych czcigodnych przodków i Aszera Pani Mórz strzegąca naszych żagli. Albowiem jedna tylko droga prowadzi morzem na powrót ku ich wyspie. A na drodze tej wiele jest przystani mego ludu i wiele okrętów gotowych do boju. Natomiast moc Krety nie dociera tam wcale. Muszę więc poznać prawdę, tak jak i ty ją pragniesz poznać, królu, choć dla innej przyczyny. Jeśli powie mi na mękach, gdzie ukrywają się jego towarzysze wraz z okrętem lub gdzie roztrząsał się on o skały, wówczas powiadomię cię, abyś gdy minie czas święta, uderzył na nich i starł ich do ostatniego z oblicza twej krainy! I niechaj bogowie twoi i moi wspomagają nas w tym przedsięwzięciu, aby żaden nie umknął niosąc wieść panu swemu!

Król spoglądał na niego długo w migotliwym świetle ogniska, a później przeniósł oczy na stojącego nieruchomo jeńca.

- Czy pragniesz odejść z nim do domu twego nad brzegiem morza?

- Tak, królu, a stamtąd każę ludziom mym niezwłocznie przyprowadzić zdrowego, młodego niewolnika, aby ci go zastąpił o świcie, gdy będziesz składał ofiarę. Gdy poznam prawdę dziś. ..-uśmiechnął się ponuro - a uwierz mi, wielki władco, że poznam ją... wówczas bądź sam wyprawię się, by ułović tych rozbitków, bądź też wstrzymam się do chwili, gdy słońce jutro zajdzie, i niechaj uczynią to twoi niezliczeni wojownicy, aby ciała tych rozbitków złożono na ofiarę bogu twojemu!

Król milczał przez chwilę. Wydawało się, że nie może pojąć, co może łączyć owe opowieści o dalekich krainach z jego mglistym królestwem.

- Uczyn tak! - rzekł wreszcie. - Lecz bacz, gdy będziesz go prowadził ku przystani, aby ci nie uciekł.

- Tak spętanego poprowadzę go jak krowę na rzeź... - rzekł niemal wesoło Assebal. - A że nie jestem z ludu twego, bóg wasz nie będzie gniewny na mnie, jeśli wbiję pojmanemu sztylet w plecy, gdyby próbował się wyrwać!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czy pragniesz mówić?

Perilawos czekał na nich długo, aż wreszcie niepokój wkradł się w jego serce. Uradował się więc, gdy nie opodal trzasnęła nadepnięta nieostroźnie gałązka i odwróciwszy się z uniesionym oszczepem, ujrzał Harmostajosa, który przemykał się ku niemu pospiesznie, od krzewu do krzewu.

- Bogom niechaj będą dzięki!-rzekł Perilawos z ulgą.

- Gdzież Białowłosey? Czy rozłączyliście się?

- Pojmali go! - rzekł krótko Harmostajos.-Wiodą go spętanego ku miastu, które jest daleko za wzgórzami!

- Pojmali? Któż to uczynił?

Harmostajos chwycił go za rękę.

- Idź najspieszniej, jak umiesz, lecz ostrożnie, gdyż las ów może nie być pusty! Rzeknij księciu, ojcu swemu, i Terteusowi, że daleko za wzgórzami tymi rozciąga się wielkie miasto. Wybrzeże skręca tam ku zachodowi i miasto owo leży nie opodal morza. Widziałem z daleka duży okręt spoczywający na brzegu... A Białowłosego pojmali liczni wojownicy i wiodą go do owego miasta! Niechaj więc Angeles opuści miejsce, w którym się znajduje, aby wróg was nie zaskoczył na rzece! Niechaj wypłyną na morze i ruszywszy w przeciwnym kierunku, na północ, skryją się w pierwszej zatoce, czekając nocy! A gdy nastanie ciemność, niechaj podpłyną w pobliże owej przystani i czekają na morzu. Jeśli ujrzą wielki ogień lub płonący dom, niechaj przybliżą się jeszcze bardziej, gdyż będzie to jedyny znak, jaki nocą dać można. Lecz niechaj czekają także, jeśli ognia nie ujrzą, gdyż któż z nas wie, co stać się może. Gdyby Białowłosey już nie żył lub gdybym nie dotarł do niego, sam spróbuję powrócić, lecz będę pragnął rryć go ze sobą. A jeśli będziemy "jeszcze między żywymi, rzucimy się ku wam wpław lub łodzią. Jeśli nie ujrzycie żadnego znaku ni nas, a świt się przybliży, odpłynicie i usypcie nam kopiec na brzegu, do którego przybijecie, aby dusze nasze nie błąkały się bez grobu! Idź, Perilawosie!

- A ty?

Harmostajos wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami.

- Czyż nie pojmujesz, że wiodą go spętanego, a nie wiem dokąd? Czyż mam go pozostawić samego?

- A jakże pragniesz pójść za nim do obcego miasta, gdzie i ciebie pojną niezwłocznie?

- Nie wiem! Skądże mam wiedzieć?! I nie dowiem się nigdy, póki nie odejdiesz! Idź, gdyż jeśli ów lud liczny, sądząc z rozległości miasta tego, wypatrzy nasz okręt, wówczas śmierć zajrzy w oczy wszystkim, nie nam jedynie! Idź już!

Perilawos zawahał się.

- Jakże was tak opuścić?... - zapytał niepewnie. -Cóż rzekną na to towarzysze?... I jakże ja sam usnę dziś wiedząc, że jego schwytali, a tyś ruszył mu na pomoc, gdy ja uciekłem do obozowiska.

Harmostajos spoważniał nagle.

- Jesteś księciem! - rzekł. - Synem królów! I żywot

twój wart jest tysiąca żywotów takich jak mój lub Biało-
włosego! Będziesz kiedyś królem i cały świat padnie ci
u stóp... A jeśli cię to nie przekonało, wiedz, że gdy ty
ślęczałeś mozolnie, ucząc się znaków pisma i ogłady
dworskiej, ja kradłem, oszukiwałem, wdzierałem się do
cudzych sadów i piwnic! Gdybym tak nie uczynił, gdybym
nie miał oka orła i przemyślności lisa, zginałbym marnie
po tysiackroć, nim pierwszy włos zakręcił mi się na
brodzie! A bogowie jedni wiedzą, czy cała moja nauka
posłuży mi tu, gdyż sam nie wiem jeszcze, co czynić, a czas
ucieka! Któż wie, czy nie zabili go już? Idź więc, Perilawo-
sie, i wspomnij nas czasem, gdy będziesz królem!
Uśmiechnął się, dotknął lekko jego ramienia i zniknął
pośród krzewów nie czekając odpowiedzi.

A Perilawos gniewny i oszołomiony ruszył ku obozowi-
sku, od którego dzielił go rozległy bór. Lecz po chwili już
pojął, że los wszystkich spoczął w jego ręku i począł iść
ostrożnie, rozglądając się czujnie i nieustannie przyspie-
szając. Sam nie wiedział, kiedy wreszcie szczęśliwy traf
wyprowadził go wprost na obozowisko, gdzie poczęto się
już o nich niepokoić, a bogom podobny Widwojos z tru-
dem ukrył radość na widok wynurzającej się spośród
drzew postaci syna.

Lecz radość owa szybko przemieniła się w smutek
i niepokój, gdy usłyszeli opowieść młodego księcia. Po
krótkiej naradzie postanowili pójść za radą Harmostajo-
sa, gdyż spoczywający na grzaskim pokrytym trawą brze-
gu okręt padłby niechybnie ofiarą napaści, gdyby wróg
wynurzył się nagle spoza zakrętu rzeki na licznych ło-
dziach.

Zepchnęli więc Angelosa na wodę i okrywszy burty
tarczami popłynęli ku ujściu ze sprzyjającym nurtem
nowego odpływu. A gdy nastał mrok, wynurzyli się
z odludnej zatoki, otoczonej wysokimi osłaniającymi ich
niemal ze wszystkich stron skałami. Zatoczywszy szeroki
łuk po mrocznym morzu wyminęli z dala długi półwysep
i nie zbliżając się do brzegów, poczęli posuwać w kierun-
ku owej opisanej przez Harmostajosa przystani. Dostrze-
gli ją wkrótce, gdyż na ładzie płonęły niezliczone ogniska,
jak gdyby obozowały tam wielkie wojska.

Zdumiało to początkowo Terteusa, lecz pojmując, że
różne ludy różne mają obyczaje, osądził, że być może lud
ów z nadejściem lata przygotowuje posiłek przed
domami.

Jakakolwiek zresztą była przyczyna owych ogni, można
było z nich osądzić, że miasto jest rozległe i liczące wiele
tysięcy mieszkańców, bowiem czerwone migotliwe punk-
ciki ciągnęły się pośród nocy aż ku dalekiemu wzniesieniu
gruntu na widnokręgu i świeciły nawet na jego zboczach,
jak gdyby zawieszane w powietrzu. W blasku najbliższych
ognisk dostrzegli z dala czarne zarysy kilku większych
domostw stojących tuż nad wodą. Zapewne były to
składy. Tam musiała znajdować się owa przystań, gdyż;
rozpoznali w mroku na skraju morza kadłub dużego
wyciągniętego na ląd okrętu.

Ujrzawszy go Terteus nakazał, aby Angeles zatoczyw-
szy krąg na morzu oddalił się nieco i czekał w bezpiecznej
odległości, do której nie mógłby dotrzeć blask ogni.

Tak uczyniono i cała załoga, siedząc przy wiosłach, lecz
mając także oręż w pogotowiu, rozpoczęła długie oczeki-
wanie.

Skład, do którego wprowadzono Białowłosego, był wielki i pusty, a zew kamiennym palenisku pośrodku tlił się ogień, dostrzegł, że nie ma tu okien, lecz podobnie jak w domu króla dym ucieka jedynie dziurą w dachu.

Przysłonięty skórami otwór wejściowy był tu szerszy, zapewne po to, by ułatwić wnoszenie towarów.

Pod ścianą .w pobliżu ognia stał wsparty na dwu nie ociosanych pniach stół z jednej grubej deski. Załogi okrętów fenickich spożywały tutaj swe posiłki, a czcigodny Assebal tu właśnie kazał wprowadzić więźnia, gdyż w drugim jego składzie, stojącym nie opodal, znajdowali się przykuci na czas postoju wioślarze-niewolnicy, a nie pragnął, by widzieli oni to, co miało nastąpić, a nade wszystko by usłyszeli, co powie pojmany.

Wskazał ruchem ręki stół. Czterej ludzie porwali Białowłosego i zdarłszy z niego szaty, położyli nagiego na stole. Dwaj przytrzymali więźnia, choć nie próbował się bronić, a dwaj inni przywiązali ciało jego do stołu, rozdawszy na rozkaz swego pana więzy, którymi był skrzepowany od chwili, gdy pojmano go w lesie.

- Niechaj ręce spoczywają po obu bokach ciała - rzekł Assebal - gdyż wyrwiemy mu paznokcie, jeśli nie będzie chciał mówić!

Wypowiedział to głośno, aby pojmany młodzieniec mógł pojąć każde jego słowo, choć kupiec pozornie nie zwracał na niego teraz uwagi.

- Być może potrzebna będzie tu rozpalona cyna w naczyniu... - Assebal pogładził brodę. - Gdyby trwał w uporze, wlejemy mu ów straszny napój do gardła...

- Lecz jeśli tak uczynisz, nie będzie on mógł nic rzec, choćby i pragnął tego, panie mój... - wtracił wierny Sekkahar. - Wszelako sędzę, że powie ci wszystko, gdy ujrzy, że jeden z twych ludzi gotuje się do otwarcia mu nożem brzucha, a drugi czeka, by lać kropla po kropli rozpaloną cynę w otwartą ranę. Widziałem, gdy czyniono rzecz tę, i ręczę prawą dłonią, że nie znajdzie się człowiek, który ból ów zniesie, a nie powie wszystkiego, o co go zapytają. Albowiem jeśli oprawca, który brzuch rozcina, i drugi, który będzie lał cynę, pewną mają rękę i nie popadają w zbyt ni pośpiech, człowiek ów nie utraci zmysłów ani nie omdleje i będzie błagał jak o zmiłowanie, by mu poderżnięto nożem gardło, co uzna za dobrodziejsstwo uwalniające go od cierpień tak straszliwych, jakich nie sprowadzą żadne tortury barbarzyńców lub okrucieństwo palenia ogniem i obdzierania ze skóry... Czy mam tę rzecz przygotować, panie?! Racz objawić, czy taka jest wola twoja, gdyż przygotowanie zajmie mi czas pewien?

AssebaJ podszedł do stołu i pochylił się nad leżącym zaglądając mu w oczy. Białowłosy opuścił powieki. Lecz nim to uczynił kupiec fenicki poznał, że więzień pojął wszystko, co zostało wypowiedziane.

- Nie sędzę, aby okazał się tak wielkim głupcem, Sekkaharze... - Ponownie pochylił się nad stołem. - Czy słyszałeś, co rzekł mój wierny sługa?

- Słyszałem - odparł cicho Białowłosy.

- Cóż mi więc powiesz? Wiesz, że pragnę poznać całą prawdę o tobie i tych, którzy przybyli z tobą, gdyż nie mogłeś sam dotrzeć do tej północnej wyspy! Jeśli odpowiesz na pytania moje, być może każę cię przykuć do wiosła... - Ujął dłoń Białowłosego i obrócił ją ku światłu.

- Jesteś wioślarem, widzę to! A że jesteś rosły i silny, uratujesz żywot swój. Oddałem n; i. śmierć innego niewolnika, więc bogowie słusznie wynagrodziliby mi ową zbyteczną stratę. A tobie przedłużyliby żywot i uniknąłbyś niewypowiedzianych mąk. Mówię ci to, gdyż jeśli będziesz trwał w uporze, a ludzie moi rozprują twój brzuch i wleją weń kropla po kropli płonąca roztopioną cynę, wówczas nie zdasz mi się już na nic i gdy powiesz wszystko, każę cię zabić, a twe porabane siekierami okrętowymi ciało rzucę głodnym psom, których wiele włóczy się po tym barbarzyńskim mieście, jak to sam zapewne dostrzegłeś, gdy prowadziłem cię związanego. Umilkł.

Białowłosy milczał. Sekkahar podbiegł do ognia i chwyciwszy rozpaloną głównię podszedł do stołu. - Odpowiadaj, psie, gdy pyta cię szlachetny Assebal! - zawołał przytykając głównię do ramienia leżącego. Rozległ się cichy syk. Czterej słudzy stojący w pełnym uszanowania oddaleniu, tuż przy wejściu, zrobili krok ku przodowi, patrząc ciekawie.

Ciałem leżącego wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Jęknął i ucichł od razu.

Sekkahar odjął żagiew i cisnął ją na powrót w kamienne palenisko, gdzie strzeliła jaśniejszym płomieniem. Assebal skinął na wiernego zarządcę, a gdy ten zbliżył się, rzekł półgłosem:

- Niechaj ludzie ci oddala się. A przypilnuj, by żaden nie słuchał pod domem. Nie pragnę, by ktokolwiek usłyszał to, co rzeknie ów pojmany.

- Rzekłeś, panie!

- Idź więc i zaprowadź ich do domu niewolników, by tam spoczęli. A gdy to uczynisz, przygotuj cynę, bowiem myśl twoja była dobra. Gdy tego dokonasz, wróć tu, by przystąpić wraz ze mną do dzieła. Gdyż nie pragnę, aby był tu ktoś prócz mnie i ciebie!

- Rzekłeś, panie! - powtórzył wierny Sekkahar i chciał odwrócić się, by ruszyć ku wyjściu i wydać sługom rozkaz, aby szli za nim. Lecz Assebal zatrzymał go raz jeszcze.

- Być może sam zdołam go zmusić do mówienia... - zniżył głos jeszcze bardziej. - Żał mi go zabijać. Cóż mi po jego śmierci? A, jak rzekłem, żywy niewolnik byłby godziwą opłatą wysokich bogów za wierność, którą okazuję im i memu ludowi. Mędracy powiadają, że niepotrzebna strata i trwonienie dóbr obrażają Baala na równi z bluźnierstwem.

- Słodka mądrość spoczywa na wargach twych, panie. Lecz cóż uczynisz, jeśli nie zmusisz go inaczej do mówienia?

- Cóż... - Assebal rozłożył ręce. - Bogowie rządzą wszystkim. Jeśli zginie w mękach, niechaj wini swą głupotę, nie mnie, bowiem nie chciałem tego. Lecz będę próbował zmusić go do mówienia, nie niszcząc jego sił na zawsze. Po cóż miałbym pozbywać się nawet małej cząstki dóbr? Idź!

Sekkahar wycofał się wraz z sługami. A gdy gruba zasłona ze skór opadła za nimi, kupiec i jego więźniów pozostali sami.

Assebal zbliżył się do ognia, dorzucił kilka suchych gałęzi i w rozległej izbie rozwidniło się.

Podszedł do stołu. Nie opodal leżała zdarta z więźnia szata i rzucony na nią nóż w pochwie z koziej skóry, który

wisiał na jego szyi, a zapewne pozostał nie zauważony przez wojowników króla, gdyż krótka tunika zakrywała go-

Kupiec wyciągnął nóż z pochwy. Był on nędznej roboty, lecz dostatecznie długi i ostry, by zadać nim najstraszliwszy nawet cios. Rękojeść uczyniona była z rogu.

Assebal stanął nad stołem trzymając w uniesionej dłoni nóż. Skóra wokół czarnej, pokrytej spalenizną rany na ramieniu poczęła czerwienieć.

- Pragnąłbym, abyś rzekł teraz wszystko, co rzecz musisz... - głos kupca był niemal łagodny. - Jeśli bowiem podejrzenia moje są prawdziwe, a bogom jedynie znanym cudownym sposobem udało się tu przemknąć okrętowi kreteńskiemu lub należącemu do któregoś z ludów pod władzą Krety, wówczas dobrze się stanie, jeśli wieść o tym nie rozbiegnie się daleko. A im więcej ludzi ją pozna, tym dalej może ona zawędrować, gdyż do przystani miasta mego zawijają nasze okręty z południa, a do ich miast z kolei zawijają z południa inne okręty. Pragnę, aby ślad zaginął po twych towarzyszach, a przypuszczam, że okręt wasz rozbił się u brzegów tej krainy, a załoga ocalała i w jakiejś ustronnej zatoce trzuci się pospiesznie, by ftaprawić uszkodzenia. Ciebie wysłali zapewne, abyś wybadał, gdzie się znajdujecie i czy w pobliżu są ludzie... Bo gdybyś znał uprzednio ową okolicę, nie schwytano by cię siedzącego na drzewie... Tak sądzę... Aty powiesz mi, czy się mylę. Lecz nie uda ci się skłamać, bowiem nie dam ci skonać, póki nie przekonam się, czyś rzekł prawdę... Wiem dobrze, że męki, które gotuje ci mój wierny Sekkahar, każą ci zapomnieć o kłamstwie. Wyjac jak zwierzę będziesz błagał, bym zechciał cię wysłuchać! Czy pragniesz mówić?

- Panie... - rzekł Białowłosy zaciskając zęby, gdyż rana piekła go straszliwie. - Żaden człowiek nie pragnie konać w niewypowiedzianych mękach, jeśli może ich uniknąć. Lecz cóż ma uczynić ów, który ich uniknąć nie może? Pragniesz, bym wskazał ci, gdzie są towarzysze moi. Jeśli tak uczynię, wówczas lud twój nieprzeliczony rzuci się na nich za twą namową i zginą. Nie uczynię więc tego... Trzymasz w ręku nóż mój, z którym nie rozstawałem się nigdy wierząc, że przynosi mi szczęście. Dziś pojmuję, że szczęściem będzie dla mnie, jeśli wbijesz go w serce moje. Uczyni to, a okażesz mi łaskę. Bowiem nie rzeknę słowa więcej, jeśli zdołam.

I zamilknawszy przymknął powieki, jak gdyby uwierzył, że kupiec fenicki spełni jego prośbę. Lecz Assebal roześmiał się.

- Nikczemny głupcze! Czy sądzisz, że jest mi potrzebny twój nędzny żywot? Wolę, abyś żył, choć jeśli będę musiał doprowadzić cię do przedśionka śmierci i przemienić ciało twe w jedną ranę, abyś przemówił, uczynię to! Lecz nim to nastąpi, dowiesz się, czy nie nazbyt wysoko myślałeś o sobie, wierząc, że nie zdradzisz swych towarzyszy. Gdyż ze słów twych pojąłem niezbitcie, że masz towarzyszy i kryją się oni gdzieś w tej krainie! A nie może to być zbyt daleko. Nim nadejdzie mój wierny sługa, sam zechcę przekonać się, że jesteś głupcem, i upór twój na nic się nie zda. Oto nożem tym, który, jest dla ciebie tak szczęśliwy, najpierw podważę i wyrwę kolejno paznokcie na nogach twoich, a później uczynię podobnie z twymi dłońmi. Będzie to jedynie igraszka, gdy przyrównasz

cierpienia swoje do tych, które zadam ci później wraz z mym wiernym sługą! Oto rozpoczynam od wielkiego palca twojej nogi prawej! Czy wiesz już, który to... - Dotknął lekko dłonią stopy leżącego, który drgnął mimowolnie.

Assebal roześmiał się i odstąpiwszy o krok, zastanawiał się przez chwilę. Nigdy nie czynił podobnej rzeczy. Postanowił, że pochwyciwszy palec silnie jedną ręką, drugą...

Zbliżył się i chwycił nogę Białowłosego, który szarpnął nią, a choć był mocno przywiązany, jednak udało mu się poruszyć nieznacznie stopą.

- Wierzgasz, ty psie! - mruknął przez zęby kupiec i pochwyciwszy mocniej pochylił się, by...

Białowłosey leżał przez chwilę, nie mogąc unieść głowy, gdyż sznur biegł mu przez gardło, dusząc przy najlżejszym poruszeniu. Usłyszał łoskot padającego ciała, odgłos uderzenia i stłumione rżenie. Ktoś szybko podszedł do stołu. Ujrzał wojownika, podobnego do tych, którzy go pojмали. Ubrany on był w krótką, szarą płócienną szatę opasaną skórzanym pasem, na licach i czole miał pasma błękitnej i czerwonej barwy, a w dłoni trzymał nóż, którym szybko począł rozcinać jego więzy.

- Czy możesz wstać? - zapytał wojownik. -k

Białowłosey siadł dotykając odruchowo zranionego ramienia. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w oblicze wojownika, który szybkim ruchem objął go i zsadził ze stołu, a później rzucił mu uniesioną z ziemi szatę.

- Pójdziesz, czy mam cię zarzucić na plecy? Spiesz się, na wszystkich bogów!

Bez słowa Białowłosey pochwycił pochwę swego noża i rozejrzał się.

Rzucili się ku drzwiom przeskakując leżące ciało, którego głowa rozplątana była straszliwym ciosem siekiery. Białowłosey dostrzegł swój nóż w ręku zabitego i sięgnawszy wyjął go ze stygnących palców. Kątem oka ujrzał, że wybawca jego podbiegł ku palenisku i porwawszy głównię wskoczył na stół. Wspiąwszy się na palce dotknął końcem płonącego polana suchej trzciny poszycia dachu.

A kiedy płomień począł pełznąć po niej rosnać szybko, zeskoczył i wypadł w ciemność.

- Na lewo! - szepnął wojownik. - Po prawej w mroku stoi ich okręt, a zapewne czuwa przy nim straż. Nie biegnij, lecz idź, jak gdybyś oddalał się bez trwogi i był przechodniem.

I z wolna odeszli w ciemność. Za nimi płonęła nieskończona ilość ognisk, ciągnąc się aż ku wzgórzom, lecz ognie ich poczęły z wolna dogasać. Przed nimi był niski ciemny brzeg, a dalej morze, mroczne i ciche pod rozgwieżdżonym niebem, na które jeszcze nie wszedł księżyc.

Obejrzel się. Pierwszy wysoki płomień strzelił z dachu składu i przygasł na chwilę, aby później wybuchnąć z szumem i objąć koniec strzechy.

- Tam! - rzekł półgłosem idący przodem wojownik. -

Dostrzegłem je, gdy przechadzałem się tu...

Łodzi było kilka, wąskich i lekkich, wykonanych z jednego kawałka pnia. Zepchnęli jedną z nich na wodę i odbili. Wewnątrz leżało jedno tylko wiosło, krótkie i ciężkie. Wojownik wiosłował szybko i cicho, starając się nie pluskać zanadto.

- Gdyby kto spoglądał tu z brzegu, ujrzałby nas zapewne - powiedział niemal wesoło. - Spójrz, jak płonie to domostwo! Jeśli znam ludzi, wierz mi, że nikt z tych, którzy są w pobliżu, nie spogląda teraz na morze, lecz na płomienie! Albowiem ludzie wielce miłują takie widowisko, gdy nie ich domy płoną! A gdy płoną ich domy, także nie mają czasu rozglądać się!

Odpłynęli już dość daleko od brzegu, lecz nadal wiosłowali rozpaczliwie, gdyż wydawało im się, że czerwony blask pożaru kładzie się na fale rozświetlając wielką połąć morza.

Gdzież jest okręt? Niechaj go bogowie zatopiają! zaklął wojownik. - Czyżby opuścili nas w potrzebie?! Wytężaj wzrok, bowiem nie przepłyniemy morza czółnem, a jak dostrzegłem, nie masz zapewne chęci powrócić do owego miasta, gdzie tak gościnnie cię przyjęto! Lecz choć nie dostrzegli Angelosa, osiem dziesiątków oczu spoglądających na brzeg ujrzało maleńką łódź sunącą smugą blasku rzucanego przez płonący dom.

I wielki czarny okręt cicho ruszył jej na spotkanie. Tej nocy, gdy piękna Wasan opatrzyła ranę Białowłosego, a Harmostajos klnąc i trac oblicze mokrą szmatą zmył wreszcie z niego pasy czerwonej i błękitnej farby, legli obaj na dnie okrętu okryci skórą, gdyż noc była chłodna. Leżeli w milczeniu spoglądając w gwiazdy, pod których nieruchomym rojem Angelos mknął na południe.

- Czyż nie powiesz mi, jak tego dokonałeś? - rzekł wreszcie Białowłosy przerywając milczenie.

Harmostajos roześmiał się cicho. Gdy po wyciągnięciu ich na pokład książę zadał mu to pytanie, odparł, że wróg był jeden, odwrócony tyłem i bezbronny jak małe dziecko, więc rzecz cała nie jest godna uszu boskiego potomka bogów.

A że książę wraz z Terteusem i Eriklewesem musiał właśnie postanowić, w jakim kierunku poprowadzić okręt, więc poprzestał na tym.

Mimo to wszyscy byli pełni zadziwienia, wynosząc pod niebiosą męstwo i przemyślność człowieka, który samotnie w nieprzyjacielskim mieście odnalazł towarzysza, oswobodził go z rąk wrogów i podpaliwszy ich dom, uciekł wraz z nim szczęśliwie, jak gdyby bogowie nie mieli nic innego do czynienia, prócz prostowania jego ścieżek, gdy był w niebezpieczeństwie!

- Nie uwierzyłem, aby mieli cię zabić niezwłocznie... - rzekł Harmostajos. - Byliby głupcami czyniąc tak. Sądziłem, że powiodą cię do swego króla, wszyscy bowiem tak czynią, gdy pochwycą obcego. Szukałem więc największego domu w tej barbarzyńskiej, wielkiej wsi, a gdy dostrzegłem go i' dwu ludzi strzegących wejścia, nie spuszczałem go z oka. Cóż innego mogłem uczynić?

- Lecz jak mogłeś dotrzeć tam nie poznany?

- Widziałem cię prowadzonego do owego człowieka na wzgórzu, gdzie stoi świątynia uformowana z głazów. Dostrzegłem też z dala, że ludzie ci mają oblicza pokryte farbą. Przyszło mi więc na myśl, że gdybym miał szatę podobną do ich szat i pomalował czoło i lico, jak oni to czynią, przejdę zapewne nie poznany, a to dlatego, że nieustannie z lasów wynurzały się ich całe krocie z kobietami i dziećmi. Szli z daleka, gdyż byli utrudzeni i stopy ich pokrywał kurz. Pojąłem więc, że dzień ów musi być dniem święta lub zebrania całego ludu tej krainy. A któż może

znać wszystkich ludzi w swej krainie, by rzekł o innym:
"Ten jest obcy!" Więc zdobyłem sobie szatę... i farby... -
Roześmiał się. - Później, gdy ujrzałem Fenicjanina, który
prowadził cię jak zwierzę na postronku, zapragnąłem
ruszyć za wami, wbić mu niepostrzeżenie nóż w plecy
i uwolnić cię. Lecz wokół było mnóstwo ludzi, a prowadził
cię on ku morzu, tam gdzie i ja pragnąłem, abyśmy się
znaleźli. Szedłem więc za wami.

- I cóż uczyniłeś później?

- Wiesz, co uczyniłem później! - Harmostajos znowu
roześmiał się cicho. - Być może owe obietnice, które
poczynił ci nasz fenicki czerwonobrody przyjaciel, ode-
brały ci pragnienie snu. Lecz ja, któremu nie chciał on
uczynić krzywdy, niczego tak nie pragnę jak tego, abyś
zamilkł wreszcie. Czyż nie wiesz, że Terteus pojawi się tu
wkrótce, szarpiąc nas i każąc wstawać? Albowiem gdy
oko jego nie widzi naszych grzbietów pochylonych nad
wiosłem, dusza jego boleje.

- Płyniemy pod żaglem... - rzekł Białowłosy - i bę-
dziemy mogli wyspać się do woli. Rzeknij mi więc, jak...

14-Czarne okręty t. IV

- Czy zamilkiesz wreszcie?! - jęknął Harmostajos. -
Czemuż nie pozostawiłem cię na owym stole Fenicjanom
na pożarcie?! Spałbym już od dawna!

Lecz Białowłosy długo leżał patrząc w niebo. Gdy
próbował przymknąć oczy i usnąć, pojawiała się przed
nim uśmiechnięte smagłe oblicze kupca Assebala i słyszał
spokojny głos zachwalający przymioty roztopionej kapią-
cej w otwartą ranę cyny, jak gdyby była ona doskonałym,
godnym wypróbowania towarem.

Usnął wreszcie ukołyszany przechyłami okrętu sunące-
go przez rozgwieżdżoną noc.

- Opowiedz mi o wyspie, gdzie królem jest ojciec twój
i mieszka matka twoja! - rzekła piękna Wasan. - Jakaż
ona jest?

- Skalista i niewielka, zagubiona pośród morza, a nie-
przystępna, tak że kreteńska stopa nie stanęła nigdy na
niej niosąc nam śmierć, a kobietom naszym niewolę.
Nienawidzą nas oni, gdyż jesteśmy rozbójnikami morski-
mi i wrogami Minosa.

- Nie o wyspę twą pytałam cię.

- O cóż więc? - zdumiał się Terteus.

- O matkę twoją.

- Czemuż pytasz o nią? Pytałaś wczoraj i rzekłem ci,
co umiałem.

- A siostry twoje? ^

- I o nie pytałaś także. Jeśli ujrzemy kiedyś brzeg
rodzinny, wprowadzę cię do domu mego i będziesz żyła
pośród nich.

- Pragnęłabym, aby to się stało wkrótce.

Terteus zmarszczył brwi, lecz uśmiechnął się po chwili.
Stali oboje na dziobie, patrząc na niewielkie fale tańczące
w słońcu. Angelos płynął przez wiele dni na zachód, lecz
teraz łódź skręcił ku południowi i uwierzyli wreszcie, że
powracają.

- Bogowie jedynie wiedzą, jak daleko jesteśmy od
stron znajomych... - rzekł Terteus. - Lecz matka moja
dobrą jest niewiastą i nie lękaj się jej.

- Nie lękam się jej - rzekła Wasan - lecz pragnęłabym
ujrzeć ją wkrótce i zamieszkać w domostwie stojącym na
ziemi, a nie kołyszającym się na wodzie.

- Czyż morze jest dla ciebie udręką? Zła to wróżba dla mnie, myślałem bowiem, że w przeciwieństwie do innych niewiast nieraz będziesz mi towarzyszyć, gdy powrócisz wyruszę w nowe wyprawy...

Wasan potrząsała głową, a jej piękne długie włosy rozsypały się spływając po silnych ramionach.

- Nie jest mi ono udręką, lecz może się nią stać. Pragnęłabym wkrótce zamieszkać w prawdziwym domostwie, otoczona niewiastami. Bowiem będziemy mieli dziecko, a nie rodziłam nigdy i jakżebym miała uczynić to na okręcie pośród samych mężów, jeśli podróż ta przeciągnie się jeszcze przez zbyt wiele dni?

- Dziecię?!... - rzekł Terteus i oniemiał.

- Czyżbyś nie dostrzegł jeszcze tego? - Roześmiała się. - Nieprędko to nastąpi, lecz proszę bogów o to, by dali mi szczęśliwie zstąpić na wyspę, gdzie żyje matka twoja, siostry i, wiele innych niewiast.

- Posejdonie! - rzekł Terteus i pełen lęku chwycił się za głowę. - Cóż mam uczynić?!

- Nic! - Roześmiała się znowu. - Czyżbyś przeląkł się jednego nie narodzonego jeszcze dziecięcia, mążny żeglarzu? Rzekłam ci o tym, gdyż słusznym jest, abyś wiedział zawczasu. A czyż dziwisz się, że pragnę być w domu twoim, gdy mój czas nadejdzie?

- Bogowie! - rzekł Terteus i odwróciwszy oczy od widnokrepu przed dziobem, spojrział na nią bezradnie. - Czyż nie pojmujesz, że dzieli nas od wyspy mojej nie tylko morze niezmierzone, lecz i nienawiść straszliwa władcy Krety? Czyż nie wiesz, że walcząc, trując się i unikając niebezpieczeństw, dążymy na spotkanie największego niebezpieczeństwa, jak gdyby bogowie, wyrwawszy nas z paszczy potworów, barbarzyńców i gromów burzy, czynili tak jedynie po to, by ucieszyć serce Minosa? Tak dawno opuściliśmy ów świat i tak silną jest rzeczą tęsknota, że wszyscy niemal zapomnieliśmy o najgorszym, które nas czeka nie tu, na obcych wodach, lecz tam, gdzie choć dokonaliśmy czynów wielkich, nikt nie powita nas jak bohaterów!... - Umilkł na chwilę. Później rzekł zniżając głos: - Uradziliśmy z boskim Widwojosem, że wpłynawszy na wielkie Morze Pośrodku Świata wynajdziemy małą wysepkę lub inny odludny zakątek. Tam pozostając księżę wyśle człowieka do Ariadny, by wybadał, czy sprzyja mu ona, a także drugiego, który pocznie rozpuszczać wieści, że książe powrócił z wielkiej wyprawy wioząc niezmierzone bogactwa, lecz lęka się powrócić, gdyż brat jego dybie na żywot jego i syna jego. Wierzy on, że wówczas dojdzie być może do układów z Minosem lub nastąpi coś po jego myśli... Lecz sprawa ta wydaje mi się zdradliwa i pełna niebezpieczeństw, gdyż Minos nie jest głupcem, a potęga jego jest wielka...

- Czemu książe nie chce poprowadzić okrętu ku twej wyspie, jeśli jest ona tak nieprzystępna, a przystań jej ukryta jest przed oczyma Krety i nie znana obcym?

- Gdyż, aby uczynić to, musielibyśmy przebyć niemal całe morze, wymijając Kretę i wiele innych wysp pozostających pod władaniem podwójnego topora, a jest nie do wiary, by nie dostrzeżono tak potężnego okrętu, jaki nigdzie dotąd nie pojawił się na wodach świata. A gdy to nastąpi, Minos nie spocznie, póki nie odnajdzie brata swego. Czyż długo mógłby Widwojos żyć tu pod jego bokiem, aby nikt się o tym nie dowiedział i nie doniósł

królowi? Jest z nami osiemdziesięciu wolnych ludzi. Wszyscy oni powracają z wielkim bogactwem. Jakże utrzymać ich przez czas długi na maleńkiej skalistej wysepce, nie dopuściwszy, by zbuntowali się lub umknęli chyłkiem, jeśli nie wszyscy, to część z nich? Czyż ubogi młody człowiek, stając się nagle bogaczem, zechce ukryć się i zakopać swój skarb, miast korzystać z radości życia uratowanego z tak wielu i tak straszliwych niebezpieczeństw, gdy dla zdobycia swych skarbów co dnia narażał głowę, a wielu jego towarzyszy padło w drodze i nigdy już nie ucieszą ich kobiety, piękne domy i winnice, które mogą na jedno skinienie stać się jego udziałem?... - Potrząsnął głową. - Gdyby nawet udało nam się dotrzeć niepostrzeżenie do wyspy mojej, wiem, że wkrótce poczęłyby się swary, ucieczki, doszłoby do tego, że bogom podobny książę, przestawszy być ich umiłowanym przywódcą, stałby się wraz z synem swym przeszkodą leżącą na drodze ich powrotu! Ileż trudu ponieśliśmy, by ustrzec go przed jednym nasłanym nań mordercą! A cóż stanie się, gdy niemal cała jego dawna załoga pojmie, że największym szczęściem dla nich będzie śmierć Widwojosa! Czyż któryś z nich nie uciekłby w końcu morzem skradzioną łodzią lub wraz z paru towarzyszami na jednym z okrętów, by powiadomić Minosa o miejscu, gdzie kryje się brat jego? Zdrajca ów mógłby wierzyć wówczas, że choć okręty kreteńskie przybędą na wyspę, by przemienić ją w cmentarzysko, on sam uratuje swe skarby i będzie żył szczęśliwie! I zapewne miałyby słuszość. Lecz wówczas sprowadziłbym nieszczęście nie na boskiego Widwojosa jedynie, lecz i na ród mój cały, bowiem zginęliby wszyscy! Lepszą więc sprawą będzie czekać gdzieś w ukryciu i wierzyć, że bogowie, którzy tyle nam dobrego uczynili, zechcą uczynić jeszcze więcej!

- Pojęłam twe słowa... - rzekła piękna Wasan. - I choć pragnęłabym, aby syn twój lub córa, jeśli ci ją ześle bogowie, narodzili się w domostwie, w którym ty ujrzałeś światło dnia, lecz stanie się tak, jak się stać musi. Wszelako pragnęłabym wielce, aby podróż ta dobiegła końca, gdyż przewiduję że niełatwo mi wkrótce będzie żyć na okręcie, a gdybym miała nieco lnu lub wełny, uprzedłabym dla mego dziecięcia powijaki i to, co godziwe, aby miało, gdy się narodzi...

Uniosła głowę i próbowała się uśmiechnąć, lecz nagle złożyła ją na piersi małżonka swego i rozplakała się cicho. Terteus objął ją ramieniem i stał spoglądając na morze, którego nie dostrzegał. Oblicze jego zasępiło się. Od chwili, gdy pozostawili Kamona, nie widział łez pięknej Wasan, a nie znajdował słów, które by je łatwo osuszyły. Po chwili jednak żona jego otarła powieki i roześmiała się.

- Nie frasuj się mną, bowiem jestem jedynie niewiasta i jak ptak unoszony w przestworzu pragnę gniazda, by w nim spocząć. Lecz gdyby nawet syn twój miał narodzić się tu, będzie on kiedyś żeglarzem jak ojciec jego, a bóg twój Posejdon zapewne bardziej umiłuje zrodzonego na falach niżli tych, których narodziła ziemia!

I uśmiechnawszy się odeszła na tył okrętu, gdyż zbliżał się czas posiłku, który, jak to było w zwyczaju, odkąd wstąpiła na pokład Angelosa, przygotowywała wraz ze starym Nasiosem, zbyt sędziwym, aby ująć za wiosło lub linę żagla, a nie pragnącym być bezużytecznym wśród

dzielnej załogi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Człowiek ów

zwał się Ekedamos

Tego dnia, nim słońce zanurzyło się w falach morza na zachodzie, ujrzeli pomiędzy sobą a dalekimi brzegami okręt sunący ku północy.

Skręciwszy ku niemu, dostrzegli wkrótce, że jest to wielka łódź fenicka o niewielu wiosłach wspomaganych żaglem, taka, jakich używali kupcy tego ludu do przewozu swych towarów na niewielkie odległości po wodach przybrzeżnych między sąsiadującymi przystaniami. Płynęła powoli, głęboko zanurzona, najwyraźniej pod brzemieniem przewożonego na dnie ładunku.

Na widok zbliżającego się potężnego okrętu Fenicjanin nie zawrócił ku brzegowi wiedząc, że nie zdążyłby się tam ukryć, lecz płynął dalej. Zapewne nie sądził też, aby na tych wodach, gdzie panowały okręty jego ludu, mogło mu coś zagrażać.

- Cóż uczynimy, synu bogów? - spytał Terteus stojąc na dziobie w hełmie i z włócznią w dłoni. - Czy zatopimy ich, aby nie donieśli o naszym pojawieniu się na tych wodach?

- Nim dobiją oni do swej przystani i nim wieść stamtąd rozejdzie się, będziemy daleko, zmierzając ku naszemu celowi... - Widwojos potrząsnął głową. - Lecz ludzie ci zapewne zamieszkują w pobliżu i znają drogę ku Bramie Świata, którą musimy przekroczyć.

- Byłoby słusznym, gdybyśmy porwali jednego z nich, aby nam wskazał drogę... - rzekł Terteus. - A co mamy począć z nim, gdy nam tę drogę wskaże, postanowisz później, książę!

-l Tak uczynimy... - Widwojos skinął głową.

Angeles okrążył łódź i zwolnił wyprzedziwszy ją nieco. Patrząc z burty dostrzegli, że załogę przy wiosłach stanowią przykuci do nich niewolnicy. Pod masztem stali dwaj Fenicjanie, a kilku żołnierzy w skórzanych pancerzach otaczało ich ze wzniesionymi tarczami spoglądając na wielki okręt z nie ukrywaniem przerażeniem. Choć wszyscy mieli w rękach włócznie i długie miecze u boku, dostrzegli las lśniących ostrzy, gdy wielkie tarcze pokrywające Angelosa uniosły się, a wiosłarze, cofnawszy wiosła, powstali. Ujrzeli także łuczników, którzy mierzyli w nich z góry, opierając łokcie o burtę.

- Zatrzymajcie wasz okręt! - zawołał Terteus stojący w lśniącym pancerzu i z dumną kitą powiewającą nad hełmem. Lecz rozkaz ów był zbyteczny, gdyż jeśli nawet Fenicjanie owi nie znali mowy, w której został wypowiedziany, niewolnicy przestali wiosłować i zamarli przy wiosłach, a okręt kołysał się na falach popychany jedynie lekkim wiatrem. Angelos zwolnił i zatrzymał się, a gdy Terteus wskazał wyciągniętym mieczem niski i szeroki purpurowy żagiel fenicki, na rozkaz jednego z dwu stojących pod masztem ludzi opuszczono go prędko.

W ciszy zupełnej wielki okręt przybliżył się do małego, a niewolnicy pospiesznie wciągnęli wiosła, aby nie uległy zgruchotaniu. Gdy stało się to, Terteus z okrzykiem pierwszy skoczył na dół.

Lecz nie uderzył, gdyż Fenicjanie odrzuciwszy broń upadli na kolana i trwali tak zakrywszy oblicza, czekając tego, co nastąpi.

Białowłosy wraz z kilku innymi, pojmującymi mowę fenicką, znalazł się w łodzi tuż za Terteusem, który zna[^] wiele słów wszelkich żeglujących ludów.

- Kim jesteście? - zwrócił się stojąc z uniesionym mieczem nad oboma klęczącymi, podczas gdy ludzie z Angelosa zbierali porzucony oręż i podawali go tym, którzy stojąc na pokładzie okrętu wyciągnęli z góry ręce, aby go pochwycić. Morze było spokojne i Angeles nie oddalał się, choć burta fenickiej łodzi kołatała lekko o jego bok.

- Jesteśmy kupcami, panie! - rzekł jeden z Fenicjan. - Płyniemy wioząc wino, narzędzia i naczynia z brązu, by wymienić je za niewolników, których pragniemy sprzedać w naszym mieście kupcom z południa.

- Jakże zwie się wasze miasto?

- Gades, panie!

- Czy jest ono wielkie i bogate?

- Jest to przystań, panie... do której przybywają towary z Morza Pośrodku Świata, abyśmy mogli je wymieniać na dobra barbarzyńskich ludów północy...

W tej samej chwili Białowłosy, który cofnąwszy się szedł wraz z Perilawosem wzdłuż kołyszącej się łodzi ku jej tyłowi, gdzie złożono towary, zatrzymał się nagle, słysząc słowo wypowiedziane w znajomej mowie.

- Wojownik! - rzekł jakiś głos. - Czy jesteście sługami boskiego Minosa?!

Perilawos także odwrócił się. Patrzyli obaj ze zdumieniem na roslęgo nagiego niewolnika, który siedział wsparty o wiosło. Nogi jego przykute były do ławy spiżowym łańcuchem oplatającym je w kostkach.

- Kim jesteś, że znasz mowę kreteńską? - spytał Perilawos.

- Byłem dowódcą okrętu, który zatopili oni w pobliżu Acragas sycylijskiego, gdzie znajduje się ostatnia przystań pod władzą świętego podwójnego topora. Odtąd przykuty do ławy wlokę nędzny żywot, gorszy niżli zwierzę, nie mając nadziei żadnej, bym jeszcze ujrzał brzeg rodzinny.

- Wolność twoja wróciła do ciebie! - rzekł Perilawos i zawołał: - Terteusie! Terteusie! Jest tu Kreteńczyk, którego przykuli do ławy!

Terteus porzuciwszy klęczących Fenicjan podszedł i gdy rzecz się wyjaśniła, kazał rozkuć owego człowieka, pytając innych niewolników, czy pojmują jego mowę? Lecz byli to ludzie półdzicy, zapewne należący do barbarzyńskiego plemienia w głębi wielkiego ładu, a schwytani przez inne plemię stali się towarem wymienionym za nieco spiżowych ostrzy lub grotów do strzał.

Spoglądali oni z równym przerażeniem na klęczących kupców fenickich i ich bezbronnych stłoczonych pod masztem żołnierzy jak i na tych, którzy zeskoczywszy z wielkiego okrętu wypełnili teraz łódź błyska jąć orężem. Wszyscy oni nosili na plecach i nogach ślady okrutnych razów, pochodzących od bata, zakończonego cynowymi kulkami, który miał zatknięty za pas szaty jeden z kupców. Rany owe były otwarte i roilo się w nich od robactwa, a słona woda morska z opadających bryzgów fal wgryzała się w nie.

Uwolniony Kreteńczyk powstał ciężko i podszedłszy do masztu spojrzął na obu klęczących kupców.

- Czy nie oddasz mnie znów, dostojny panie, owym

okrutnym bestiom? - zapytał drżąc na całym ciele, nie wiadomo: z trwogi czy z tajonej nienawiści.

- Nie, gdyż zabierzemy cię i pożeglujesz z nami ku brzegom Krety. Albowiem jest to okręt bogom podobnego Widwojosa, brata królewskiego, a młodzieniec, który stoi obok ciebie, to syn jego, Perilawos, wnuk zmarłego Minosa, twego władcy! Nie pozostawia cię tu oni. Niewolnik w milczeniu uniósł ramiona pochylając głowę i uczcił oba imiona książąt, jak gdyby pozdrawiał bogów. Lecz gdy opuścił ręce, rzekł:

- Ludzie ci tak wiele okazali okrucieństwa mnie i owym barbarzyńcom, że pragnąłbym, abyś ujrzał, jak nas batożyli, gdyż inaczej nie pojmiesz, że człowiek może być tak zajadły, by osłabiać tych, którzy są jego zwierzętami roboczymi. Mnie wszelako dręczyli bardziej niż innych, zmuszając, bym wzywał pomocy Wielkiego Byka, którego nazywali bezrozumnym bydlęciem i wierzchowcem owej wszetecznej Aszery. A nie było okrucieństwa ni poniżenia najnędnieszego, którego bym nie zniósł od nich! Czyż bogom podobni książęta, którzy są tu z tobą, zechcieli puścić ich żywych, zabrawszy ich towary? Mówiąc to obrócił się ukazując im swe straszliwie poranione plecy, a spoglądający z burty Angelosa bogom podobny Widwojos wstrząsnął się na ów widok. Terteus zwrócił ku obu Fenicjanom płonące zimnym blaskiem spojrzenie.

- Przywiążcie ich do masztu! - rzekł. - A wraz z nimi i owych żołnierzy!

A gdy to uczyniono, zwrócił się ku Widwojosowi.

- Sądziłem, że dla wielu przyczyn lepiej będzie, aby okręt ów nie dopłynął już do swej przystani, lecz wiem, jak bardzo nie pragniesz, boski książę, abyśmy zabijali, jeśli da się tego uniknąć. Wszakże ci zajadli wrogowie twej krainy niegodni są, aby żyć, a okrucieństwo ich widzisz wypisane na grzbiecie tego szlachetnego żeglarza, który tak wiele od nich wycierpiał jedynie dzięki temu, że był poddanym władcy Krety, ojca twego.

- Czyń, co ci się słusznym wyda! - rzekł donośnie Widwojos.

- Dzięki ci, boski książę!

Terteus zwrócił się ku swym towarzyszom nakazując rozkuć niewolników. Bowiem brak mu było rąk przy wiosłach, a gdyby ich nie wziął, musieliby zginać wraz z innymi.

Gdy wszelkie przedmioty i towary, wraz ze zdartym z masztu żaglem, przerzucono już na pokład Angelosa, Terteus podszedł ku stojącym pod masztem i przykrępowanym doń ciasno ludziom, by sprawdzić moc ich więzów. Gdy uzyskał pewność, że żaden z nich nie oswobodzi się, rzekł do swoich, aby wdrapali się na okręt i odczekawszy, aż pozostał tylko jeden z nich, Metalawos o potężnych ramionach, którego zatrzymał rozmyślnie, rzekł do niego:

- Ujmij jedną z dwu okrętowych siekier, które kazałem tu pozostawić, a ja ujmę drugą, byśmy razem mogli szybciej wyrąbać dziurę w dnie tego okrętu! Lecz niechaj nie będzie zbyt wielka, aby mogli nacieszyć się jeszcze żywotem, wspominając, jak smagali grzbiety swych ofiar!

I zabrali się do dzieła. A kiedy woda trysnęła im spod stóp pośród okrzyków przerażenia ludzi przywiązanych

do masztu i ich błagalnych jęków, obaj pochwycili za liny rzucone im z burty Angelosa i wdrapali się tam pospiesznie.

Potężny okręt drgnął i oddalił się, zataczając krąg. A choć rozwinięto żagiel, gdyż wiatr był sprzyjający, żaden z wiosłarzy nie siadł ni legł na dnie, by zaznać wypoczynku, lecz wszyscy zgromadzili się spoglądając na fenicką łódź, która stała nieruchomo na morzu kołysząc się lekko.

Milczeli, a z dala do uszu ich dobiegały żalosne okrzyki, lecz wkrótce szum fal i śpiew wiatru w linach zagłuszyły je. Zdawało się, że łódź trzyma się na powierzchni wód i pozostanie na niej, lecz oto nagle maszt przechylił się, a płaskie kamienie leżące na dnie balastu, mającego utrzymać ją w równowadze przeciw uderzeniom fal, pociągnęły kadłub w głąb i powierzchnia wód cicho zamknęła się nad fenickimi żeglarzami.

A wówczas nagi człowiek o pooranym razami grzbiecie począł śmiać się głośno, lecz nagle ukrył oblicze w dłoniach i zapłakał.

Wiedzieli, że nie oplakuje on prześladowców swoich, lecz bogowie różnie objawiają radość w człowieku uratowanym od zguby w chwili, gdy utracił już wszelką nadzieję.

Białowłosa ujął go pod ramię i bezwolnego jak dziecko poprowadził na tył okrętu, aby piękna Wasan opatrzyła jego rany i mógł spocząć na posłaniu ze skór, nim nakarmią go i napoją.

Człowiek ów zwał się Ekedamos i pochodził z Phaustos, gdzie rodzina dawno oplakała go jako zmarłego, gdy nie powrócił wraz ze swym okrętem.

Gdyby nie on, nie wpłynęliby zapewne nigdy na Morze Południowe, bowiem gdy tego wieczora przybili do bezludnego, porośniętego lasem wybrzeża, dostrzegł ich nadpływający okręt, który zawinął, także na noc, do małej ocienionej drzewami zatoki leżącej na południe od miejsca ich postoju.

A że widok zbliżającego się ku brzegowi olbrzymia sunącego pod żaglem, na którym, choć odległość była wielka, dostrzec można głowę Byka, wydał się dowódcy owego fenickiego okrętu zdumiewający i groźny, nakazał on po zapadnięciu zmroku podnieść żagiel i chwycić za wiosła. A mimo że wypłynął właśnie z Gades powrócił tam pospiesznie, donosząc o nieznanym, płynącym z północy okręcie, który, niechaj Aszera Pani Mórz to poświadczycy, nie mógł być okrętem fenickim, gdyż przewyższał je wszystkie swą potężną budową.

Uwierzono mu, przepytawszy załogę, która także widziała ów okręt.

Następnego ranka o wschodzie słońca dwadzieścia okrętów miasta Gades wypłynęło na morze, a pokłady ich roiły się od zakutych w spiż wojowników. Płynęły szeroko rozrzucone, badając zakątki wybrzeża i ujścia rzek, a także zapuszczając się na pełne morze. Wypatrywały go wszędzie, lecz gdy wreszcie dostrzegły ciemny kształt na widnokręgu, był to jedynie jeden z ich okrętów, powracający z towarami nadmorskiej osady na północnych brzegach krainy, zwanej później Akwitanią.

Tego wieczora, gdy dostrzegł ich ów okręt fenicki, sam nie będąc przez nich widzianym, książę siedział przy ognisku i wraz z Terteusem przepytawał Ekedamosa

o jego żywot niewolniczy wśród Fenicjan, o ich obyczaje i drogę, która leżała przed Angelosem.

- Jesień jest tu porą piękną i ciepłą jak i na naszej wyspie, boski potomku bogów! - rzekł Ekedamos. - A choć wiosną morze to bywa niezmiernie burzliwe i nawet latem zatopiło już niejedyn okręt, który nierozważnie zapuścił się zbyt daleko, tracąc ład z oczu, lecz wierzyć można, że jeszcze przez trzy lub cztery dziesiątki dni fale nie poczną ryczeć i tłuc o brzeg. A że Gades jest grodem potężnym o wielu okrętach i licznym wojsku, ostatnim z wielkich miast świata i jedynym leżącym za Słupami Bramy, więc zatopiliby was lub gonili na południe, póki nie dognaliby gdzieś z pomocą innych. Bowiem morze, przez które musimy się przedrzeć, i wybrzeża jego, są we władzy Fenicjan. A strzegą go oni zazdrośnie i nigdy żaden obcy okręt nie zapuścił się na nie. A nawet w pobliżu jego nie dotarły okręty kreteńskie. Mnie także pojmano o wiele dni drogi na wschód, a choć byłem już doświadczonym żeglarzem, nie wiedziałem wówczas o owej drodze zwanej Droga Cynową, którą Fenicjanie sprowadzają ów najcenniejszy kruszec z Wysp Północy. Gades jest największym grodem nadbrzeżnym na owej drodze, lecz na całym wybrzeżu Fenicjanie utrzymują wiele przystani. Gdy uda się nam wyminąć je i gdy minimy pilnie strzeżoną Wielką Bramę prowadzącą ku Morzu Pośrodku Świata, wówczas po wielu dniach żeglugi ze sprzyjającym wiatrem być może ujrzymy brzeg sycylijski i rozpocznie się tam świat bezpieczniejszy znacznie, gdyż imię Krety budzi postrach i posłuszeństwo... Widwojos wymienił szybkie spojrzenia z Terteusem, lecz uratowany przez nich kapitan nie dostrzegł tego. Widząc niemal całą załogę skupioną wokół ogniska i słuchając jego stów, ciągnął dalej szczęśliwy, że znów słyszy z własnych ust mowę ojczystą i ma przed sobą ludzi, którzy ją pojmują.

- Rzecz więc w tym, aby okręt twój, panie, mógł przemknąć się wzdłuż wrogich wybrzeży ku południowi, a później na wschód, aż wreszcie ujrzysz z dala góry na północy i na południu, a pomiędzy nimi bramę, która prowadzi do Morza Pośrodku Świata. Wiele jest tam w pobliżu osad fenickich i wiele okrętów czuwa, aby nikt nie przedarł się przez Bramę, za którą Fenicjanie prowadzą handel z barbarzyńskimi ludami zachodu. A ludów tych jest wiele, jak to sami ujrzeicie własnymi oczyma, przemierzwszy wielką połąć świata, która mnie jest nieznaną, choć sądziłem dotąd, że jako jedyny syn Krety znam lądy i morza, o których nigdy mi nie będzie danym opowiedzieć, gdyż zginę marnie pod batami tych fenickich psów...

Urwał na chwilę i potarł czoło, jak gdyby myśli jego pomieszały się nagle z radości i znużenia.

- Jakże więc radzisz nam płynąć teraz, jeśli w drodze wyminąć mamy wielkie grody z licznymi okrętami i wojskiem? - zapytał Terteus.

- O tym właśnie pragnąłem wam rzec! - ożywił się ponownie Ekedamos. - Gdy wyruszymy o świcie, natrafimy, płynąc u wybrzeży, na ujście wielkiej rzeki, a Gades znajduje się za nią ku południowi strzegąc Bramy Świata, od której dzieli ów gród dzień żeglugi przy pomyślnym wietrze... Lecz wybrzeże wygięte jest tu jak ułamana połowa koła i cofa się w głąb. Jeśli więc wyruszymy jutro

o świecie, powierzycie swój los bogom i przetniecie morze, wówczas będziemy płynąć z dala od lądu przez "dni dwa i dwie noce, a trzeciego dnia o świecie winniśmy ujrzeć na wschodzie Bramę Świata. Kto raz ją ujrzał, ten nie zbłądzi nigdy i rozpozna ją pośród innych gór i wzgórz na widnokręgu... Wówczas, opuściwszy żagiel i położywszy maszt, aby nikt nas nie mógł dostrzec z wielkiego oddalenia, ruszymy z nastaniem zmroku ku Bramie i minimy ją nocą, bowiem jest ona szeroka, tak że nawet za dnia okręt będący u jednego jej krańca nie ujrzy okrętu przepływającego w pobliżu przeciwległych brzegów. Pamiętać nie-

15-Czarne okręty t. IV
stannie trzeba, że strzegą jej Fenicjanie wielce czujnie. Bogowie jednak chcą, że nadpłyniemy z zachodu, skąd nie mogą spodziewać się obcego okrętu, gdyż nikt prócz nich nie przemierza owych wód, a baczą oni pilnie, by ktokolwiek nie wydostał się Bramą ze wschodu. Tak więc jeśli przybliżymy się nocą do przeciwległego południowego krańca Bramy, a nieszczęśliwy traf nie postawi wrogów na naszej drodze, możemy przedostać się niepostrzeżenie. Jeśli nie uczynicie tak, być może także uda się wam przedostać, lecz stoczyć będziecie musieli bój na morzu z przeważającym nieprzyjacielem. A mając z sobą mnie, który pragnie wywdziękować się za uratowany żywot, miejcie pewność, że rada, którą wam daję, jest ta, którą przyjąłbym, gdybym sam dowodził okrętem waszym!

- Cóż... - rzekł Terteus po krótkim namyśle. - Jeśli rzekłeś to ty, Ekedamosie, który sam byłeś dowódcą okrętu, a jako niewolnik wielokrotnie przemierzałeś te wody i znasz grody naszych wrogów na równi z położeniem brzegów, obok których mamy płynąć, kogóż mamy posłuchać, jeśli nie ciebie? Sami nie byliśmy tu nigdy, a pragniemy żywot nasz ocalić, podobnie jak ty pragniesz ocalić swój. Czy przyzwalasz, boski księżę, abyśmy uczynili, jak radzi ów nieszczęsny i doświadczony żeglarz? A gdy Widwojos skinął głową, załoga, uspokojona i z rosnącą nadzieją w sercach, legła przy ognisku, pozostawiając strażom czuwanie nad snem swym i okrętem. Przed świtem dnia następnego wyruszyli nie kierując się ku południowemu wschodowi wraz z linią wybrzeża, lecz wprost na południe, oddalając się od lądu i wychodząc na pełne morze. A gdy słońce zaczęło opadać, ziemia przemieniła się w pasmo niknących w wielkim oddaleniu wierzchołków górskich;

I tak nie wiedząc o tym wyminęli okręty miasta Gades, choć niewiele brakowało, .by ów, który płynął na skraju szeregu, dostrzegł ich, mimo że opuścili żagiel, posuwając się na wiosłach i wyjęli maszt z otworu grubego kłosa, w którym zwykle tkwił.

Drugiego dnia o zmierzchu Ekedamos rzekł, że znajdują się naprzeciw Bramy Świata.

Morze nadal było spokojne, lecz łagodne fale urosły i stały się tak wielkie, że każda z nich unosiła okręt na swym grzbiecie. Angelos ześlizgiwał się miękko w doliny, by później znów unieść wysoko w górę. Ustawiwszy dziób pod wiatr, który wiał ku lądowi, czekali zapadnięcia nocy.

- Tu nie ujrzy nas nikt!-rzekł Ekedamos do Terteusa, gdy stali obaj na rufie okrętu wraz z nie odstępującym sterów Eriklewesem, wpatrując się w dalekie góry na widnokręgu. - Albowiem tędy nie wiedzie droga ku

żadnemu lądowi, a Fenicjanie wierzą, że nie ma za morzem tym niczego, prócz pustki. Gdyż wielu z nich wypływało tam, poszukując nowych lądów, gdzie mogliby znaleźć przystań i za towary swe kupować inne. Lecz nie znaleźli, choć niejednen z nich płynął przez wiele dni. A wielu nie powróciło, niechaj Posejdónowi będą dzięki za to! Wierzyć trzeba, że morze owo jest bez kresu.

- Kiedyż chcesz, abyśmy ruszyli ku Bramie Świata? - spytał Terteus. - Gdyż wydaje mi się ona odległa, a jeśli nie zdążymy przebyć jej nocą, wówczas, jak sam rzekłeś, wrogowie nas dostrzegą.

- Możemy zawrócić dziób okrętu już teraz, lecz wiosłować trzeba powoli i zbliżyć się przed zapadnięciem zmroku pilnie bacząc, czy nie ujrzymy żagla na widnokręgu. A płynmy nadal nie stawiając masztu, a jedynie pracując wiosłami. Oby bogowie zesłali nam noc ciemną! Noc nie była jednak tak ciemna, jak tego pragnęli, gdyż świecił księżyc. W blasku jego i bladym świetle gwiazd dostrzegli wyraźnie ostrą, wysoką skałę po lewej ręce, wybiegającą w morze. Drugi kraniec cieśniny był pogrążony w mroku, a choć Terteus pragnął płynąć z dala od brzegów, posłuchał znów rady Ekedamosa, gdyż ów rzekł że okręt płynący środkiem wód łatwiej będzie dostrzeżony niżli ów, który przemyka się wzdłuż brzegów pod niebotyczną skałą.

Angelos sunął cicho, gdyż zakazano rozmów i śpiewu, który niosąc po spokojnych wodach mógł dotrzeć do uszu czuwających na strażniczych okrętach. Nikt zresztą nie miał do śpiewu ochoty. Oto jeszcze chwila, a nim zmrok minie i nastanie dzień, znajdą się ponownie na własnym morzu. A choć był to jego najodleglejszy kraniec, gdzie nigdy dotąd nie zawitał żaden okręt kreteński, jednak cokolwiek stanie się później, wiedzieć będą odtąd, jaką drogą mogliby powrócić do ojczyzny.

Ci, którzy nie zasiedli przy wiosłach, wlepiali oczy w mrok, pragnąc dostrzec zawczasu fenickie okręty, gdyby miały pojawić się przed dziobem.

Lecz nie napotkali nikogo, a gdy świt począł wstawać na bezchmurnym niebie, ujrzeli, że brzeg cofnął się daleko. Jedynie wierzchołki gór na północy i innych, dalszych jeszcze, na południu, świadczyły, że wpłynęli na Morze Pośrodku Świata, zamknięte w krąg brzegami wielu krain. Z południa dał gorący, suchy wiatr. Terteus stanął na podwyższeniu obok miejsca, gdzie zwykle zatknięty był maszt i długo rozglądał się. Lecz morze było puste.

Wówczas nakazał wsunąć maszt na powrót i unieść żagiel z dumną głową Byka. A załoga cała powstawszy uniosła ramiona i podziękowała bogom radosnych okrzykiem.

Albowiem cokolwiek miało teraz nastąpić, wiedzieli już, że kości ich nie spoczną w dalekich kopcach nad brzegami mórz nieznanych i rzek w barbarzyńskich krainach, gdzie spoczywały prochy tak wielu ich towarzyszy.

Wzniósłszy okrzyk, poczęli oglądać się na tył okrętu, gdzie stały mocno przytwierdzone linami pithosy z bursztynem, przypomniawszy sobie o nich nagle. A że wiatr wydał rozwinięty żagiel i okręt szedł prosto ku wschodowi, uprosili bogom podobnego księcia, aby zezwolił im teraz spojrzeć na skarb, który wieźli. Gdy zgodził się,

Metalawos o potężnych ramionach nożem przeciął grubą powłokę wosku na pokrywie jednego z pithosów i odjąwszy ją, łagodnie przechylił wielkie naczynie, aż złociste i białawe bryłki posypały się z cichym klekotem na dno okrętu i legły na nim falistym potokiem.

Stali wszyscy spoglądając na nie w milczeniu, aż wreszcie Białowłosy rzekł:

- Leżą tu one jak kobierzec utkany ze złotego runa!

A ksiązę, który stał obok niego, uśmiechnął się i zwracając ku załodze, zawołał donośnie:

- Mili towarzysze moi! Oto powróciliśmy, a choć wiele czasu upłynąć może, nim ujrzymy znów brzegi ojczyste, jednak każdy z was wie już, że wraz z innymi wziął udział w wyprawie, o jakiej nigdy dotąd nie słyszały uszy ludzi, i oglądał oczyma własnymi widoki tak przedziwne i odległe, że nie starczy mu żywota, by opowiedzieć o nich! Odtąd każda kraina i gród każdy z czcią wymawiać będą imiona wasze! Rzekł tu jeden z was, spoglądając na bursztyn leżący u stóp naszych, że mieni się on jak runo złote. Wiedźcie, że póki świat trwać będzie, ludzie z podziwem i czcią wspominać będą was i ową wyprawę po złote runo, a pamięć o niej trwać będzie aż po najdalsze wieki! I tak, choć ludźmi jesteście jedynie, czyn ów przemienił was w nieśmiertelnych!

I po raz pierwszy on sam, wyciągnawszy ramiona przed siebie i pochyliwszy lekko głowę, pozdrowił ich czcąc ich dzielność. A oni odpowiedzieli okrzykiem wielkim na cześć jego, po czym Metalawos o potężnych ramionach z wolna zgarnął lekkie, klekoczące kamyki do pithosa, postawił go i nakrywszy odniósł tam, gdzie miał przebywać do zakończenia wyprawy.

Tego wieczora, gdy Białowłosy stał z Harmostajosem przy burcie spoglądając na słońce, chowające się z wolna za wodnym widnokręgiem, Harmostajos roześmiał się nagle.

- Cóż cię tak ucieszyło? - spytał Białowłosy odwracając wzrok od morza ku obliczu przyjaciela.

- Czy słyszałeś, co rzekł ksiązę? - Harmostajos śmiał się nadal. - Że imiona nasze nie zaginą, póki świat trwać będzie? Czyż to nie ucieszne, że zostałeś nieśmiertelnym Białowłosym, a ja nieśmiertelnym Harmostajosem, choć uczyniliśmy jedynie to, co musieliśmy, by uchronić żywoty nasze i naszych towarzyszy, co na jedno wychodzi? - Spoważniał nagle. - Zaiste wielka to była wyprawa, a gdybym sam w niej nie brał udziału, nie uwierzyłbym w owe potwory, pola lodowe i bursztyn walający się po piasku jak pęknięte skorupy na śmietniku! Nie uwierzyłbym też, że jest kraina, gdzie słońce nie zachodzi, ani w to, że Bóg ukazał nam Głowę Swoją z morza! Lecz choć na wszystko to patrzyły oczy nasze, to gdy wieść o owej wyprawie rozejdzie się, lud każdy z czasem przemieni imiona nasze na swoje imiona, a nawet imię okrętu naszego przemieni na inne!

- Czemuż mieliby tak czynić? - zapytał Białowłosy ze zdumieniem.

- Bowiem każdy pragnie czcić to, co mu bliskie.

A choć bogom podobny Widwojos wierzy, że i jego imię nigdy nie zaginie, któż może rzec, co nastąpi po nim? Gdy minie nieco czasu, wiele miast dorzuci imiona swych bohaterów do tej opowieści, opuszczając inne. A gdy minie go jeszcze więcej, rzecz cala tak się przemieni, że

my, którzy braliśmy w tym udział, nie poznalibyśmy ni siebie, ni czynów naszych, ni wydarzeń, na które patrzyły nasze oczy... Lecz po cóż trapić się tym, co będzie, gdy kości nasze pobieleją i rozpadną w proch! Sen morzy mnie; przez całą noc wpatrywałem się jak głupiec w mrok, pragnąc zawczasu ujrzeć Fenicjan, którzy dzielnie spali na swych wygodnych łóżkach w zacisznych przystaniach, nie frasując się o nas, nieśmiertelnych bohaterów powracających do ojczyzny, która na powitanie śmierć by nam zgotowała, gdybyśmy byli tak nierozważni, aby pragnąć ją ujrzeć! Idę! Żegnaj mi ty, który ujrzałeś złote runo! I odszedł śmiejąc się cicho, by lec na nagich deskach pokładu z tarczą pod głową, bowiem noc była ciepła. A Białowłosa pozostał wsparty łokciami o wysoką burtę okrętu, rozmyślając nad jego słowami, które brzmiały mu jeszcze w uszach, gdy noc zapadła i czarny okręt zanurzył się w srebrny mrok, sunąc cicho po falach rozjaśnionych księżycem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam bądź księciem

Chciał los lub może bogowie, których myśli wysokie nieznane są śmiertelnym, zapragnęli, by książe Widwojos był szczęśliwy na krótko, skoro nie na zawsze. Bowiem na dziesiąty dzień, gdy opływali od południa Sycylię, nie napotkawszy żadnego okrętu i przybiwszy uprzednio po dwakroć do bezludnych brzegów południowych, z których rozciągał się widok na płaską, bezbrzeżną krainę stepową ogrzewaną gorącym słońcem tych okolic, postanowili zawinąć do brzegu po raz trzeci dla nabrania świeżej wody. A gdy żeglując wzdłuż skalistego wybrzeża, opływali wysunięty przylądek, ujrzeli naprzeciw dwa okręty płynące w niewielkiej odległości. Zbyt późno było skryć się przed nimi, lecz spotkanie to wielce zaniepokoiło Terteusa, gdyż płynęli pod wzdętym żaglem, na którym widniała wypłowiała już od słońca i wichrów, lecz wciąż jeszcze wyraźna głowa Byka. Zresztą sam potężny kadłub Angelosa kazałby każdemu żeglarzowi zapamiętać go i opowiedzieć o tak przedziwnym spotkaniu w najbliższej przystani, do której zawinie.

Niepokój ów przeszedł w trwogę, gdy dostrzegł, że jeden z nich był kreteńskim okrętem kupieckim, a drugi, smukły, niski pięćdziesięciowiosłowiec o szerokim żaglu, stanowił jego ochronę. Mieli zapewne w ładowni drogocenny ładunek albo też okrętem kupieckim podróżował dostojnik dworski dążący do posiadłości sycylijskich Minosa.

Klnąc w duchu na swą nieostrożność, nakazującą mu przybliżyć się do owych brzegów, choć wiedział, że leżały one już na granicy morskiego państwa Krety, Terteus podbiegł do Widwojosa stojącego pod masztem i także wpatrującego się w okręty, które zwolniły na ich widok. - Cóż pocniemy, boski książe? Czy uderzymy na nich wierząc, że uda nam się zatopić oba wraz z ludźmi, aby nie uszedł nikt, kto doniesie bratu twemu, że żyjesz i powróciłeś?! Mów prędko, błagam cię, bowiem zbliżają się ku nam!

Spoglądał z napięciem w oblicze księcia. Choć walka nie byłaby łatwa, gdyż pięćdziesięciowiosłowiec prócz wioślarzy miał na pokładzie dobrze uzbrojonych żołnierzy, a i na okręcie kupieckim zapewne także było wielu takich, którzy władali bronią, wierzył, że uderzywszy

znienacka może zatopić dziobem okręt wojenny, a wówczas drugi stałby się ich łupem bez trudu.

- Nie uderzę nigdy na okręt mego ludu, jeśli nie rozpocznie on walki z nami! - rzekł spokojnie książę. - Jeśli tak być musi, niechaj królewski brat mój dowie się, że żyję i powróciłem. Morze jest wielkie i wiele jest miejsc, gdzie możemy skryć się przed Minosem, wyminąwszy tę wielką wyspę. Niechaj płyną, dokąd ich wiatr prowadzi!

Lecz okręty zwolnionszy zatrzymały się, a Terteus spoglądał na nie bezsilnie, klnąc w duchu zniewieścianość książąt, gdyż pojmował, że gdy wieść ta dotrze do Minosa, Angelos przemieni się w zwierzynę ściganą, gdziekolwiek się ukaże, i poszukiwaną przez niezliczone okręty i szpiegów na lądzie.

Wielki okręt wszedł z wolna pomiędzy oba mniejsze, mijając oba w niewielkiej odległości.

- Angelos! Angeles! - zaczęto wołać na obu pokładach i dostrzegli, że ludzie rzucają się ku burtom, wpatrując się w nich ze zdziwieniem. - Król nasz! Król! Minos! I oto dostrzegli, że ludzie na okrętach prostują się wyciągając ramiona.

Terteus zmarszczył brwi. Stojący pod masztem Widwojos rzekł do Perilawosa, który stanął przy nim:

- Czy słyszysz, synu mój? Cóż wołają owi ludzie?

- Zatrzymać okręt! - krzyknął nagle Terteus. - Zwracamy!

Z wolna wiosła uniosły się, opuszczono żagiel i czarny potężny kadłub pochylił się lekko, gdy wiosła na jednej burcie znów opadły razem, a Eriklewes przyparł stery.

Angelos zatoczył krąg na spokojnych wodach zatoki i zbliżył się do stojących okrętów.

- Kim jesteście? - zawołał Terteus.

- Płyniemy z Amnizos do sycylijskich przystani wioząc ładunek! - odpowiedział stojący przy burcie człowiek

O pięknie utrefionych włosach i z kryształowym łańcuchem na obnażonej piersi. Lecz głos jego łamał się z przejęcia. - Czyż nie jest to Angelos? Okręt, którym syn bogów Widwojos wyruszył na swą wyprawę po bursztyn?!

- Jest to Angelos! - rzekł jasnym, donośnym głosem książę. - A jam jest Widwojos! Czyż nie poznajesz mnie?

Człowiek ów nie odpowiedział. Uniósł ramiona, opuścił nisko głowę i trwał tak wraz z całą swą załogą i żeglarzami stojącymi na drugim okręcie. Zapadła cisza.

- Bądź pozdrowiony, Minosie, władco nasz i królu! - rzekł wreszcie ów człowiek drżącym ze wzruszenia głosem. - Zwątpiliśmy, czy żyjesz jeszcze, choć po śmierci brata twego boska Ariadna rozkazała, by lud cały czekał rok na wieść od ciebie, nim obiorą królem dziecię córy jej siostry, w którego żyłach także płynie święta krew wasza!

- Ojczy! - rzekł Perilawos. - Czy słyszysz?!

Lecz Widwojos nie odpowiedział. Stał patrząc niewidzącymi oczyma na morze i kołyszący się przed nim na falach niski okręt, z którego dobiegał ów głos, wieszczący mu, że może powrócić w tryumfie do domu przodków swoich i odbudować chylące się do upadku królestwo, on, bohater największej z wypraw morskich, którego opłakali już zapewne, mając go za umarłego!

- Kiedyż umarł brat mój i król?

- Gdy nastała pora burzliwego morza-Choroba oba-

liła go wówczas i nie wstał już więcej z łoża. A złożono go do grobu, nim nastąpiła wiosna.

Widwojos milczał przez chwilę.

- Jak dawno wypłynęliście z Amnizos?

- Ósmy raz słońce wstało od dnia naszego wyruszenia, a nie zawijaliśmy nigdzie, lecz płynęliśmy wprost ku tym wybrzeżom przez pełne morze nie napotykając żadnego okrętu!

- Czy lud wierzy nadal, że powrócę wraz z moją wierną załogą?

- Wielu wierzyło, potomku bogów, i zanosili oni modły o to, gdyż krążą złe wieści, a obce ludy żyjące dotąd w pokorze pod panowaniem naszym szemrzą głośno...

Zły byłby to znak, gdyby w czasie takim dziecię zasiadło na tronie Minosa, więc lud wypatruje cię z utęsknieniem! Widwojos uniósł dłoń i skinął.

- Przybliź się wraz z twym okrętem! - rzekł jasnym, donośnym głosem. - I wszedłszy tu stań przede mną, abyś mógł powtórzyć słowa swoje! Albowiem przedziwne wieści mi przyniosłeś.

Ósmego dnia o zmierzchu ujrzeli z dala maleńki, ciemny punkt na wschodnim widnokręgu, który począł rosnąć z wolna, aż przesłoniła go zapadająca noc. Lecz nim zniknął, wpatrywali się weń z czcią, jak gdyby ponownie ujrzeli pośród wód Oblicze Boga. W sercach ich nie było dziś lęku, a jedynie radość tak wielka, że niektórzy stojąc nieruchomo i nie mogąc przemówić słowa, płakali nie kryjąc łez przed innymi.

Albowiem wierzchołek owej góry dalekiej wznosił się na zachodnim krańcu Krety.

A gdy nastąpiła noc i brzegi wyspy przybliżyły się, odbili od nich na pełne morze, gdyż boski Widwojos pragnął zawinąć do Amnizos niespodzianie, aby tym większą radość wywołać i podziw. A myśląc tak chciał, aby lud zapamiętał ową chwilę nie przez wzgląd na jego boską osobę, lecz na syna jego, któremu pragnął powierzyć koronę, radząc mu jedynie i bacząc, aby młodość nie pchnęła go do czynów nierozważnych, gdyż morskie królestwo potrzebowało władcy, który byłby nie tylko znamienitym żeglarzem i człowiekiem dzielnym, lecz i rozumnym.

Rozważał to siedząc na rozłożonych pod masztem skórach i wpatrując się w ciemność, która kryła dalekie zarysy brzegów.

A gdy nadszedł świt, dostrzegli z dala góry otaczające Amnizos i święte Knossos w dolinie.

- Wkrótce ujrzemy pierwszy okręt powracający do portu lub wyruszający z niego o wschodzie słońca, ojczy! - rzekł Perilawos. - Czy zatrzymasz go i wyślesz przed nami, aby zgotowano nam przyjęcie należne nie tylko władcom, lecz tym, którzy świat opłynęli?!

Widwojos uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Wiedz, że gdy człowiek czegoś się nie spodziewa, a rzecz ta spadnie nań nagle, pozostaje ona dłużej w jego pamięci i tym większą się wydaje, im bardziej niespodzianie się wydarzyła. Niechaj ujrzą nas powracających, gdy przebudzone miasto rozpocznie swój dzień pracowity... Lecz Perilawos, drżący z niecierpliwości i radujący się wraz z całą załogą z nagłego obrotu ich losu, który otwarł im bramy powrotu, gasząc wraz ze śmiercią Minosa straszliwe, ciężące nad nimi niebezpieczeństwo, wypatry-

wał owej chwili, gdy lud cały zacznie zbiegać na wybrzeże, nie wierząc swym oczom i oddając cześć bohaterom! Wreszcie minęli pasmo wzgórz zachodnich i ujrzeni z dala małą wyspę zagradzającą drogę do portu. I wspomnieli w owej chwili odległy dzień, gdy odbiwszy mijali ją pozdrawiając jako ostatni skrawek ziemi ojczystej. Morze przed nimi było puste, a miasto ciche i jak gdyby uśpione, niewidoczne niemal w błękitnej mgle poranka.

Wiosła opadały i wznosiły się szybko, gdyż każdy z wiosłarzy pragnął przybliżyć chwilę powrotu. I oto z dala ukazało im się wreszcie nadbrzeże i wysokie domy za mną, spoglądające ku morzu...

Terteus, który stał na dziobie wraz z księciem, Perilawosem i tymi, którzy nie zasiedli przy wiosłach, zmrużył oczy i przysłonił je dłonią.

- Cóż to jest? - rzekł na pół do siebie. - Któż nas będzie witał, jeśli w porcie nie widać okrętów, a i na nadbrzeżach nie dostrzegam...

Umilkł. Inni także patrzyli ze zdumieniem. Bowiem wielki port Amnizos leżał przed nimi cichy i martwy, jak gdyby nie był najludniejszym i najbardziej gwarnym nadbrzeżem świata.

Angeles minął wyspę i zbliżał się szybko ku kamiennemu nadbrzeżu.

- Domy... - rzekł nagle zduszonym głosem Perilawos.

- Spójrzcie!

I oto ujrzeni, że widne z dala czoła pięknie malowanych wysokich domów leżą w ruinie, a niektóre z nich padły i przemieniły się w kupę gruzów, odsłaniając nagie, osmalone wnętrza.

Nadbrzeże było puste.

Gdy przybiwszy w milczeniu, zarzucili liny i przywiązawszy okręt zeszli na ląd, nad nadbrzeżem uniosły się chmury ciemnego ptactwa, i kołując zawirowały w jasnym przestworzu, aby później opaść znów tam, gdzie leżał ich żer.

A żerem tym były trupy ludzkie straszliwie pokłute ostrzami włóczni i porabane mieczami.

W południe, gdy stali na ruinach pałacu w Knossos, dostrzegli pierwszego człowieka, który płacząc grzebał w zgliszczach domu. Pochwycili go i nie opierającego się przywieśli przed oblicze bogom podobnego Widwojosa.

Człowiek ów, gdy poznał księcia, rzekł im, że stało się to przed ośmiu dniami. Nadpłynęło z morza mrowie nieprzeliczone okrętów prowadzonych przez wielu królów, składających dotąd hołd Krecie. Część z nich uderzyła na Amnizos pod osłoną nocy, inni, przybiwszy uprzednio do ustronnej zatoki, przeszli przez wzgórze i natarli na uśpiony pałac, gdzie Tezeusz, książę ateński, trzymany tam jako zakładnik wraz z wieloma innymi synami królów, napadł zbrojnie na strażę pałacową i otworzył bramy nacierającym.

A nienawiść ich do Krety była tak wielka, że mało rabowali, mordując jedynie wszystkich napotkanych i paląc miasto, dom po domu. Zburzyli także pałac królewski, gdy ogień, który strawił go, przygasł. Rzekli bowiem, że nie zostawia kamienia na kamieniu z królestwa Krety, aby nikt z żywych nie oglądał już śladów po nim. I opłynęli całą wyspę, burząc wszystkie miasta i docierając wszędzie, prócz wierzchołków gór najwyższych i dzikich wą-

wozów, gdzie skryli się wieśniacy i ci, których najście znalazło poza murami miast, lecz tych było niewielu. A gniew najeźdźców był tak wielki, że ścięli wszystkie winnice i gaje oliwne, tratując ogrody i obalając gołymi rękoma kolumny podtrzymujące osmalone mury. A gdy dokonali dzieła zniszczenia i nie pozostał przy życiu nikt, na kim spoczęły ich oczy, ani też choćby jeden dom, odpłynęli ku innym wyspom, gdzie jeszcze włada Kreta, by wyciąć do ostatniego wszystkich, którzy służyli dwuramiennemu toporowi. Zatapiali też każdy okręt wraz z załogą, nie bacząc na ładunek, jak gdyby nie pragnęli wzbogacić się, lecz jedynie niszczyć. Człowiek ów rzekł także księciu, że skrywszy się na wierzchołku góry patrzył, gdy odpływali na v-schód, a nigdy nie widział tak wielu okrętów, bowiem całe morze pokryte było żaglami. Pragnął jeszcze mówić o zagładzie Amnizos, lecz siły opuściły go i omdlał. Boski Widwojos, który nie odezwał się od chwili, gdy postawił stopę na brzegu, rzekł patrząc na niego: - Oto mój jedyny poddany, którego jestem królem! Więc po to opłynąłem świat, synu mój, abym cię przywiódł na powrót do miejsca, gdzie już nie nienawiść brata mego, lecz świata całego ścigać nas będzie, a gdy dowiedzą się, że ocalał ktoś ze świętego rodu Byka, zagnają nas jak dzikie zwierzęta w matnię i będą tropili tak długo, aż padniemy bez sił! A wówczas rozszarpia nas, by zaspokoić wreszcie swą nienawiść i zdusić na zawsze trwogę, która budzi w nich nasze imię! Z wolna przesunął ręką po czole i postąpił ku potrząskanej krawędzi pałacowego dachu, na którym stali spoglądając na morze ruin w dole. - Czemu nie zginałem od barbarzyńskiej strzały? - rzekł cicho. - Usypalibyście mi mogiłę wysoką w dalekiej krainie i opłakalibyście mnie. Leżałbym w niej cicho, nie wiedząc, że oto świat runął w chwili, gdy wierzyłem, że włożę na twoje skronie, synu, koronę Minosa! Umarły śniłbym o brzegach ojczystych. Lecz oto sny moje wszystkie leżą tu pogrzebane w prochu, a ja żyję! Odwrócił się ku Perilawosowi, który stał za nim zaciśkając wargi, wsparty na włóczni. - Jesteś już dojrzałym mężem - rzekł Widwojos z łagodnym zdumieniem, jak gdyby dostrzegł to po raz pierwszy. - Jeśli masz uratować żywot, lepiej będzie, gdy zostaniesz sam. Jesteś młody i być może odnajdziesz szczęście, choćby nie nadeszło ono w koronie! Bowiem młodość sama jest królestwem! Wyciągnął rękę i lekko dotknął oblicza syna, lecz wnet cofnął ją. Odwróciwszy się nagle, rozpostarł ręce i bez okrzyku runął w dół z dachu jak wielki ptak trafiony w locie strzałą. Usłyszeli łoskot ciała uderzającego o kamienne ruiny w dole. • A gdy dnia następnego powrócili z gór, gdzie pochowali ciało bogom podobnego Widwojosa w głębokiej mogi- le, owinąwszy je wprzód wielkim żaglem, na którym wyobrażona była głowa Byka, pod którą przemierzył świat cały, i złożony na piersi jego kamienny topór Minosa, dar Ariadny, zeszli ku umarłemu miastu i stanęli na nadbrzeżu wiedząc, że nadszedł czas, aby każdy z nich rzekł, co czynić zamierza.

Lecz wszyscy w milczeniu spoglądali na Perilawosa, który od śmierci ojca nie przemówił słowa.

Terteus zwrócił się ku niemu teraz i skłoniwszy głowę rzekł:

- Perilawosie, choć królestwo twoje legło w gruzach i zapewne nigdy już nie dźwignie się, gdyż nie zezwola na to jego wrogowie, jesteś, póki żyjesz, władcą tej ziemi, więc zezwól, że oddamy ci cześć, gdyż nadszedł czas, abyśmy się rozstali.

Mówiąc to przyłożył dłoń do czoła, a inni uczynili podobnie, kłoniąc głowy. Gdyż taka jest moc imienia królewskiego, że choć był ich towarzyszem, jednym z najmłodszych, lecz teraz uczcili w nim jego boskich przodków.

Terteus, mimo że radował się w sercu widząc tak straszliwy upadek Krety, bolał nad śmiercią Widwojosa, który był człowiekiem szlachetnym i mężnym, nie znającym okrucieństwa.

Perilawos uniósł głowę i spojrział na nich, jak gdyby nie pojmując.

- Czemuż mamy się rozstawać? - rzekł i nagle jego oblicze oblało się smutkiem. - Masz słuszność, Terteusie. Bowiem każdy, kto pozostanie ze mną, zginie, gdy wrogowie Krety dowiedzą się, że żyję. Odejdźcie więc w spokoju, przyjaciele!

- Cóż chcesz rzec przez to? - Terteus oblał się rumieńcem. - Sądziłem, że pragniesz pozostać z tymi, którzy nie pragną odpłynąć, a są z twego ludu.

- A gdzież mogę stąd odejść? - Perilawos uśmiechnął się bezradośnie. - Czy znasz krainę, która przyjmie mnie, dziedzica tronu Minosa, syna Krety, której świat cały nienawidził i którą zniszczył, tak że nie pozostało z niej nic prócz wspomnienia, choć tak niedawno rządziła morzami?

- Cóż więc zamierzasz uczynić? - zapytał Terteus.

- Mógłbym'idać w ślady ojca mego rzucić się ze skały "w morze lub wbić sobie miecz w serce... Być może oszczędziłoby mi to cierpienie, które wrogowie moi zechcą mi zadać. Któż bowiem uwierzy, że nie pragnę i nie pragnąłem nigdy być władcą, choć ojciec mój pragnął tego dla mnie. A żywot, który wiodłem od chwili, gdy wyruszyliśmy na sławną wyprawę naszą, był mi najmilszy. Gdyż bliższy był mi ty i Białowłosa, i Harmostajos o wesołym obliczu, i wy wszyscy niżli wszystkie królestwa świata, choć jakże miałem to rzec ojcu memu?

Zamilkł.

- A gdybyś... - rzekł nagle Terteus i zamilkł zmieszany, lecz przemógł się i ciągnął dalej: - Skoro królestwo twoje legło w gruzach, a nie pragniesz odejść w góry, by zebrać tych, którzy jeszcze pozostali, i władać nad nimi, czemuż miałbyś nie wyruszyć z nami? Angelos stoi w przystani i czeka, byśmy zasiedli do wiosł!

- A czy nie lękałbyś się, gdybym zamieszkał na wyspie twojej, Terteusie?

- Jeśli zechcesz tam zawitać, k łóż dowie się o tym? Odpłynąłeś stąd niemal jako dziecię, a powróciłeś jako rosły młodzieniec! Nikt cię nie pozna, a wierni towarzysze twoi tu zebrani nie zdradzą cię! A że świat dawny runął i nikt już nie włada morzami, czemuż nie mielibyśmy wkrótce wyruszyć, by założyć nowe królestwo w miejscu odludnym lub pokonawszy barbarzyńców, którzy je za-

mieszkują, jak to czynili nasi ojcowie, a i twoi także, gdy przybywszy na Kretę zdobyli ją?

Umilkł i rozejrzał się, a spojrzawszy na nich wiedział, że radują się jego słowami, choć żaden nie rzekł słowa. Bowiem straszna im była ta kraina śmierci, a serca ich pełne były tęsknoty do dalekich łądów i wód niezmiernych.

- Lecz wprzódę zezwólcie, abyśmy popłynęli na wyspę moją, gdyż opłakali mnie tam nieraz, a małżonka moja, piękna Wasan, także płacze nocami, nosząc dziecię moje w łonie i pragnąc znaleźć się wśród niewiast, gdy czas jej nadejdzie! - Zwrócił się do Perilawosa. - Jeśli zechcesz więc, przybywaj, a dom mój będzie twoim domem, i jeśli zechcesz za żonę jedną z pięknych sióstr moich, dam ci ją, gdyż choć królestwo twoje leży w gruzach, byłoby to z chwałą największą dla rodu mego!

Perilawos patrzył nań przez chwilę, jak gdyby pragnął pojąć, ile prawdy mieszczą słowa przyjaciela, a ile w nich wyzwania rzuconego światu, do którego należał, a który poprzysiągł zetrzeć nawet ślad imienia Krety. Wreszcie wyczytał zapewne prawdę w jego oczach, gdyż nagle wyciągnął ramiona i objęli się serdecznym uściskiem, a później odstepili od siebie prędko, jak gdyby zawstyżeni.

- Ruszajmy! - rzekł ochryplym głosem Terteus. -

A gdy minie pora wzburzonego morza, wyruszymy znów z mej ukrytej wśród skał przystani! Niechaj żaden z was nie zapomina, że wielkie bogactwa wieziemy w pithosach naszych! Dzięki nim każdy z was może zostać księciem, gdy sposobny czas nadejdzie!

- Sam bądź księciem! - mruknął cicho Harmostajos, który szedł ku okrętowi wraz z Białowłosem, postępując za innymi. - Mnie zaś pozostaw moje bogactwo, bym kupił za nie dzban wina! A gdy ujrzę w nim dno, bym kupił jeszcze jeden!

- A cóż uczynisz z resztą swego bogactwa? - zapytał Białowłosem rozweselony nagle, choć postępowali wśród trupów przez ruiny umarłego miasta.

- Kupię jeszcze jeden dzban! - rzekł Harmostajos po namyśle; - A później jeszcze jeden!

I wskoczył na pokład.

A gdy wiosła zanurzyły się w wodę i minęli małą wyspę wykręcając ku wschodowi, dodał obracając się w ławie ku Białowłosemu, który siedział za nim.

- A później jeszcze jeden!

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poślubisz ofiarę, którą odrzucę 5

ROZDZIAŁ DRUGI

Na pół ukryty w mokrym piasku. 44

ROZDZIAŁ TRZECI

W pobliżu Krainy Mroków. 66

ROZDZIAŁ CZWARTY

A wówczas zginiemy wszyscy 86

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niechaj umrze o wschodzie stońca 105

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Posejdon o białym obliczu 135

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Krąg olbrzymich głazów 155

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jakże więc się tu znalazł?	174
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	
Czy pragniesz mówić?	196
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	
Człowiek ów zwał się Ekedamos	216
ROZDZIAŁ JEDENASTY	
Sam bądź księciem	232